

MIESIĘCZNIK
SPOŁECZNO-
KULTURALNY

SLASK

CENA 10 Zł (w tym 5% VAT) ISSN: 1425-3917 NR INDEKSU 33328X www.slaskgtl.pl Nr 3 (330) • ROK XXIX • MARZEC 2023



ŻYCIE
I MIT

ISSN 1425-3917



9 771425 391707



Tragedia Górnśląska to ogólna nazwa zbrodni, popełnionych na mieszkańcach Górnego Śląska przez wkraczające w 1945 roku oddziały sowieckie oraz reżim komunistyczny w okresie zaraz po wojnie. Obok mordów, gwałtów i aresztowań symbolem tych wydarzeń jest wywiezienie do pracy przymusowej w kopalniach w ZSRR dziesiątek tysięcy mieszkańców regionu – wśród nich znaleźli się nawet cudem ocaleni więźniowie obozów koncentracyjnych. Przez cały okres PRL wydarzenia te były celowo tuszowane. Na zdjęciu pomnik wywiezionych do ZSRR Ślązaków w Bytomiu-Miechowicach.

Szczegóły str. 31



17 marca przypada rocznica wyzwolenia niemieckiego obozu jenieckiego w Łambinowicach na Opolszczyźnie. Podczas II wojny światowej był to jeden z największych obozów jenieckich na świecie. Po wojnie teren obozu był wojskowym poligonem, jego liczne obiekty uległy zniszczeniu i zatarciu a finalnie porósł je gęsty las. Od kilku lat obszar ten badają historycy oraz archeolodzy, znajdujący w ziemi zarówno pozostałości obozowych budynków jak i przedmioty, należące niegdyś do przetrzymywanych w Łambinowicach żołnierzy alianckich pochodzących z nawet najbardziej egzotycznych zakątków świata. Prowadzone w zeszłym roku prace badawcze znów przyniosły efekty. Na zdjęciu warsztaty dla najmłodszych, które stanowiły ważny element tych działań.

Szczegóły str. 34



14 stycznia 2023 w Teatrze Śląskim w Katowicach (a 3 lutego w Teatrze im. J. Słowackiego w Krakowie) miały miejsce premiery sztuki Maliny Prześlugi w reżyserii Gosi Dębskiej. Bohaterką tego artystycznego manifestu jest kobieta, jej portret zwielokrotniony, a właściwie wielość kobiecych doświadczeń rozpisany na grupę aktorów, to jeden wielki monolog opowiadający o kulturowych kliszach, statusie, problemach jak i codziennym życiu.

Szczegóły str. 48



Praca projektantów i wykonawców kostiumów to jeden z filarów sukcesu każdego filmu lub spektaklu. Jak wyglądają ich zadania, skąd czerpią inspiracje opowiada Iga Sylwestrzak z Bielska-Białej, projektująca odzież i teatralne kreacje. Na zdjęciu aktorzy spektaklu „Sztukmistrz z miasta Lublina” w kostiumach zaprojektowanych przez Igę Sylwestrzak.

Szczegóły str. 50

Nr 3 (330). Rok XXIX. MARZEC 2023

WYDAWCA
GÓRNOŚLĄSKIE TOWARZYSTWO
LITERACKIE W KATOWICACH

WSPÓŁWYDAWCA

MARIAN KISIEL
Redaktor naczelnyANDRZEJ JARCZEWSKI
Zastępca redaktora naczelnegoTOMASZ BIENEK
Sekretarz redakcjiMARIA KORUSIEWICZ
Kultura, sztukaTOMASZ KOWALSKI
Redaktor technicznyKATARZYNA DZIUBAŁA
KorektaBOGUMIŁA CYROŃ
Kierownik biuraStali współpracownicy:
EWA BARTOS
JAROSŁAW KAPSA
WOJCIECH LIPOWSKI
ZBIGNIEW LUBOWSKI
PAWEŁ MAJERSKI
KATARZYNA NIESPOREK-KLANOWSKA
JERZY PASZEK
KS. HENRYK PYKA
BOGNA SKWARA
HENRYK SZCZEPAŃSKI
GRZEGORZ SZTOLER
JOANNA WAROŃSKA-GEŚSIARZ
AGNIESZKA ZIELIŃSKAFelietonisci:
MARIAN.G. GERLICH
PIOTR GRELLA-MOŻEJKO
RYSZARD JASNORZEWSKI
ZBIGNIEW KADŁUBEK
KRZYSZTOF ŁĘCKI
JAN MAŁICKI
JAN MIODEKADRES REDAKCJI
40-036 Katowice, ul. J. Ligonia 7
slask.miesiecznik@gmail.comDruk: Zakład Poligraficzny Moś i Łuczak Sp.j.
ul. Piwna 1, 61-065 Poznań tel. 61 633 71 65Materiałów niezamówionych nie zwracamy.
Redakcja zastrzega sobie prawo skrótów, poprawek i zmian
tytułów w tekstach przyjętych do druku oraz skracanie
korespondencji. Wydawca nie przewiduje honorariów
za publikowane materiały prasowe.Warunki prenumeraty:
Bezpośrednio w Biurze
Górnośląskiego Towarzystwa Literackiego
40-036 Katowice, ul. Ligonia 7, p. 120
Wpłaty należy dokonywać na konto:
GTL – redakcja miesięcznika „Śląsk”
Santander Bank Polska S.A.
35 1090 1186 0000 0001 3487 3929Prenumerata roczna – 120 zł, półroczna – 60 zł, kwartalna
– 30 zł. Pismo w prenumeracie jest dostarczane pod
wskazany adres bez dodatkowych opłat.Prenumerata zagraniczna: poprzez Dział RUCH SA
Infolinia 0800 120 029. Tel. +48 022 532-87-31
www.ruch.com.plCena egzemplarza – 10 zł (w tym 5% VAT)
ISSN: 1425-3917 Nr indeksu: 33328XEgzemplarze archiwalne
slask.miesiecznik@gmail.comCzasopismo
„Śląsk. Miesięcznik społeczno-kulturalny”
dostępne w wersji elektronicznej na www.sbc.org.pl
oraz na www.slaskgtl.pl
Nakład: 1000 egzemplarzy

W NUMERZE

PUBLICYSTYKA

- 2 *Marian Kisiel* CZWARTA NAD RANEM
4 *Piotr Skowronek* GÓRNY ŚLĄSK – STULECIE KINA. ROZMOWA Z PROF. DR. HAB. ANDRZEJEM GWOŹDZIEM
9 *Sabina Kwak* PSYCHOANALIZA NA ŚLĄSKU, CZYLI DLACZEGO ZYGMUNT FREUD NIE PRZYJECHAŁ DO BYSTREJ?
12 *Wilhelm Szewczyk* PAMIĘTNIK (13) Z rękopisu opracował *Marian Kisiel*
18 *Dorota Jarosz, Jan Rauch* DR TADEUSZ DENKOWSKI – LEKARZ I HARCERZ 1931–2021
21 *Anna Gurbicz, Witold Turant* DZIENNIK ZDRUZGOTANEGO ŻYCIA (8)
28 *Krzystian Krzemiński* SPOTKAŁAM WIELU, DLA KTÓRYCH POLSKA NIE BYŁA OBCA
31 *Michał Spurgiasz* TRAGEDIA GÓRNOŚLĄSKA – TRAUMA POKOLEŃ
34 *Tomasz Bienek* CO ODNALEZIONO W OBOZOWYM SZPITALU?
36 POŻEGNANIE DAMY. JÓZEFA REBEŚ 26 MARCA 1929 – 22 GRUDNIA 2022
41 *Jakub Jakubik* MARMUR I MŁODOŚĆ CO MA (NIE)WSPÓLNEGO RAP Z POEZJĄ?
48 *Wojciech Lipowski* POTRZEBA WSPÓLNOTY
50 *Zbigniew Lubowski* KOCHA PASTELE I MARZY O FILMIE FABULARNYM
ROZMOWA Z IGĄ SYLWESTRZAK
56 *Grzegorz Pelczyński* WILAMOWICE I ICH JĘZYK
58 PO-GWARKI PROFESORA *Jerzy Paszek* MOWA POLSKIEGO EKSPRESJONISTY O OZIMINIE WACŁAWA BERENTA (2)
66 *Weronika Górka* OD ZAGONU DO PERONU
74 *Urszula Benka* O LITERCE I PORZĄDKU
76 *Stefan Zabierowski* CONRAD W POLSCE (PRZED PÓŁWIECZEM)
80 NOTATNIK KULTURALNY

PLASTYKA, MALARSTWO, FOTOGRAFIA

- 68 GALERIA: ABSTRAKCYJNE KATOWICE. TOMASZ KOWALSKI – FOTOGRAFIA

POEZJA I PROZA

- 3 *Dariusz Tomasz Lebioda* WIERSZ NA OTWARCIE Frankfurt–Buenos Aires
16 *Dariusz Tomasz Lebioda* WIERSZE
24 *Zbigniew Masternak* WOŁOSKI KNIAŻ
54 *Karl Wunster* CZARNA STUDNIA (2) Przełożyła *Nina Nowara-Matusik*
61 *Wojciech Brzoska* WIERSZE
78 *R.S.Thomas* WIERSZE przełożył *Andrzej Szuba*

FELIETONY

- 27 ŚLĄSKA OJCZYZNA POLSZCZYŻNA *Jan Miodek* SKULI, SKIŚ, BEZ TO
44 MUZYKA MOJA MIŁOŚĆ *Krzysztof Korwin-Piotrowski* SZEKSPIR JAKO CELEBRYTA?
45 ZAPISKI REZONERA *Krzysztof Łęcki* ECH, TEN KONSERWATYZM
46 BIAŁE KRUKI *Jan Małicki* KSIĄŻNICA MATKA. BIBLIOTEKA POLSKA W RUMUNII
53 NOTATNIK SPORTOWY *Ryszard Jasnorzewski* PIŁKA POLITYCZNA I METAFORYCZNA
67 *Zbigniew Kadłubek* LUDZIE Z INNEJ PLANETY
73 JĘZYK W STRUNACH *Piotr Grella-Możejko* IWONA, KSIĘŻNICZKA HARMONII

KSIĄŻKI

- 62 *Jan Cofalka* BIOGRAFIA MISTRZA
64 *Julia Dusza* (HER)STORIA PO GRECKU
65 *Piotr Skowronek* GDZIE PATRZEĆ, ŻEBY NIE RAZIŁO
79 KSIĄŻKI NADEŚLANE

Na okładce:

Tomasz Kowalski. Fotografia z cyklu *Abstrakcyjne Katowice*

Trzecia strona okładki:

Tomasz Kowalski. Fotografia z cyklu *Abstrakcyjne Katowice*



Czwarta nad ranem

1 Marzec 1968. — 55 lat temu świat odmienił się po raz kolejny. Stanisław Barańczak pisał: „Właśnie wtedy w sześćdziesiątym ósmym (a nie, jak się często uważa, dwa lata później) otwarły nam się oczy i głowy”. I dodawał znaczące słowa: „Marzec 1968 roku był momentem narodzin nowego okresu we współczesnej literaturze, więcej nawet: w kulturze”. — Tak rozdził się wolny głos, wymierzony przeciwko gadaniu propagandy. I utrzymywał nas przez lata następne.

2 Demokracja. — Przyznano po raz trzeci Nagrodę im. Kazimierza Kutza. W tym roku nominowano Martę Frej, Maję Kleczewską, Roberta Koniecznego, Maję Ostaszewską, Henryka Wańka. Wszyscy wspaniali! Nagrodę otrzymała Maja Kleczewska. W laudacji Dariusz Kortko powiedział: „Dlaczego Maja Kleczewska wciąż wyciąga nasze największe wady, winy i lęki, kieruje na nie reflektory, smaga nas słowami i obrazami, które nie są miłe? [...] Może dlatego, że sama nauczyła się upadać? Niektóre porażki były bardzo bolesne. [...] Dziś nikt już nie ma wątpliwości, że Maja Kleczewska to jedna z najbardziej wyrazistych i niepokornych osobowości w polskim teatrze współczesnym”. — Tytułem honorowym Ambasadora Śląska został wyróżniony prof. Jerzy Buzek. Powiedział, że od tej pory jest nie tylko ambasadorem Śląska, ale i Ukrainy. Brawo!

3 Ubi sunt? — Zwać na tego czy tamtego? Wygodne. A gdzie wy jesteście, głosiciele nowych dróg?

4 Wejdawutas. — *Dewajtis* Marii Rodziewiczówny. Czytam tę powieść po raz setny i czytać będę po raz dwusetny. Nie dla wspólnej historii miłości, nie dla skąpych opisów przyrody, ale dla tego jednego symbo-

lu, który daje nadzieję niezłomności. — Wejdawutas, tak myślę o moim ojcu, żołnierzu Armii Krajowej. — „Bohater to był wielki, nasz pierwszy! Bohater, choć świętę nosił i krowy pasał u służby królewskiego... A gdy smok kraj trwożył, z morza wyszedłszy, król posłał generała, ale Wejdawut go uprzedził i ubił smoka...”.

5 Legenda. — Wspominamy Ziutę, Józefę Rebeś, ze smutkiem, miałyby w tym miesiącu 94 lata. Była damą, kimś, kogo nie można zapomnieć. Marta Fox opowiadała mi, że kiedyś przyszły do jakiejś katowickiej pizzerii. Podszedł kelner. — „Poproszę piwo. Tyskie” — powiedziała Ziuta. — „Małe czy duże” — zapytał kelner. — „A czy ja wyglądam na małe?” — zapytała zdziwiona Ziuta. Wspaniała, jedyna, niepowtarzalna.

6 Za ścianą. — Pierwsze doświadczenie jest zawsze jak utracona niewinność. W latach mojej młodości często powtarzano w telewizji *Za ścianą* Krzysztofa Zanussiego, koncert na dwoje aktorów: Maję Komorowską i Zbigniewa Zapasiewicza. O, jakże mnie ten film wtedy nudził. Nie rozumiałem go, nie akceptowałem, bo żywioł wesołości nie rozumie i nie akceptuje samotności. A dzisiaj tęsknię za tym filmem, niezwykłą kreacją w półsłowach, półgestach, w pragnieniu i tęsknocie.

7 O wdzięczności. — Władysław Biegański, *Myśli i aforyzmy o sztuce lekarskiej*, PZWL, Warszawa 1957, s. 85. — „Wdzięczność to uczucie sztuczne, wyrozumowane i dlatego stanowi słaby bardzo popęd do czynów. Narzekać na niewdzięczność ludzi jest to samo, co narzekać na mały strumyk, że nie jest w stanie poruszyć koła młyńskiego”.

8 Kino młodości. — Moim pierwszym kinem było objazdowe. Ileż budziło emocji! Przyjeżdżała nyska albo żuk, nie pamiętam, może jakiś inny samochód, był koniec lat sześćdziesiątych, początek siedemdziesiątych, dwaj panowie wnosili projektor, rozwieszali białe prześcieradło w świetlicy szkolnej, sadzali nas nie w ławkach, ale na podłodze, bo schodziła się cała szkoła, jakieś sto osób, wcześniej inkasowali należność, 5 złotych, a potem... Inny świat. Maćko z Bogdańca i Zbyszko szukający Danuśki; wesele w bronowickiej chacie i wspaniała kreacja Bożeny Dykiel, która potrafiła wypić kieliszek wódki z hartowanego szkła, przegrzyzając trzymanymi w jednej ręce chlebem, ogórkiem i kiełbasą... Dużo tych seansów, wszystkie poprzedzane kroniką filmową. A jeszcze spektakle dla dorosłych: remiza strażacka, zaścianiane kocami okna, znów pięć złotych i — szlagierzy dawne i nowe — *Zazdrość i medycyna*, *Dzieje grzechu*... Ale to nie dla nas, nie

dla dzieci i nastolatków, więc szukaliśmy szczelin w zakrytych kocami oknach...

9 Uwiedziony. — *Cinema Paradiso*, film z roku 1988, w reżyserii Giuseppego Tornatore. Kiedy wspominam ten obraz, wciskają mi się na oczy nie wielki Philippe Noiret, uwodzicielski Jacques Perrin, czy rewelacyjny chłopiec Salvatore Cascio, ale w swoim geniuszu popospolity Tano Cimarosa — widz wielbiciel, powtarzający wszystkie frazy aktorów, zanim jeszcze otworzą usta. I zawsze ta sama pointa, kończąca się wytarciem zażawionych oczu i nosa. *Fine!*

10 Smutek. — Są wiersze, które są z nami zawsze, nosimy je w sobie, choć nie pamiętamy, w jakim tomiku je przeczytaliśmy, a nawet nie jesteśmy pewni ich autorstwa. Są, bo przyczepiły się od pierwszej lektury, jak rzep — i nosimy je z sobą, przez lata, zapominając poszczególne słowa, zostawiając tylko obraz. Ten, czy inny? Jakis, jakis na pewno. — Tadeusz Ślawek, wiersz bez tytułu, z tomu *Rozmowa*, Śląsk, Katowice 1984. — „Najsmutniejszy widok na świecie: / Flip idący sam wiejską drogą / po śmierci Flapa / (*Flying Deuces*, 1939)”.

11 Kto? — Kto jest Flipem, kto Flapem? Mijamy się w ciasnych korytarzach, chudzi i grubi, niepodobni do nikogo, wypełnieni emocjami, zaufani jednych, nieprzyjaźni innym, milczki i gaduły... Kim jesteśmy w tej wymianie uczuć? Z wesołością czytamy biografie innych, lecz lękamy się, by nie znaleźć się na kartach podobnych odkryć. To, co nas zdumiewa, nie jest naszym światem; to, co nas lęka, nie jest jeszcze nim. Za jakiś czas wszystko się okaże, ale wtedy — o, boska demencjo! — będziemy w świecie, w którym będziemy się mijać w ciasnych korytarzach, niepodobni do nikogo.

12 Żeby nie zapomnieć. — Dwa imiona: Krystyna, Józefa. Może niekoniecznie śląskie, ale na pewno w Śląsk wrośnięte. Nie czuję się upoważniony, żeby przywoływać te dwie daty: 13 i 19 marca. Ale kto pamięta, ten uśmiechnie się, wspominając piękne twarze roześmianych Krystyn i Ziut.

13 Myśl miesiąca, ku rozwadze grafomanów. — „Nie słowo, lecz międzysłowie jest ważne. Od tych prądów między słowem a słowem, od iskier strzelających z twórczego zestawienia słów i fraz zależy poezja. Ona oto, międzysłowie, wyzwała wizje określające sytuację liryczną, ono, międzysłowie, wyzwała wzruszenie. Od tej chwili, od uświadomienia sobie poezjotwórczej roli międzysłowia, zaczęło się nowatorstwo poetyckie w Polsce”. — Julian Przyboś, *Przygody awangardy*.

Marian Kisiel

Frankfurt–Buenos Aires

W Boeingu 747-8 ludzie powoli zapadają
w sen a ja bogatszy o nową wyprawę
międzykontynentalną myślę o katedrach
nowoczesności wznoszących się
z lotnisk świata i podążającym
ku dalekim celom

patrzę na pasażerów ufnie wpatrzonych
w sny – dla chwil jaskrawych jak
świt dla rozplamionych sekund
przy estuariach i rzekach leniwie
sączących ily ku oceanom

zgodzili się na zawieszenie życia
nad śmiercią potencjalność
katastrofy i lądowanie
awaryjne

zerkam przez okno i widzę
pełne światła pałace
chmur wstęgi bieli
i błękitu

roztapiam się w sobie
lekką i bezszelestnie
szybuje nad bytem
jak iskra nad

plomieniem

Nad Atlantykiem 2022



W tym roku obchodzimy stulecie polskich instytucji kultury na Śląsku. Czy film / kino mają swój udział w wydarzeniach międzywojnia?

Zdecydowanie tak, aczkolwiek zawsze trzeba pamiętać o tym, że mówimy o regionie pogranicznym, który należał do dwóch kultur, w tym, rzecz jasna, także dwóch kultur filmowych: do kultury niemieckiej i kultury polskiej. Te kultury przez długi czas wzajemnie się przenikały w mniej lub bardziej pokojowy sposób, ale jeżeli jesteśmy w okresie międzywojnia, to trzeba zawsze mówić o obydwu kulturach. Tym bardziej, że uczestnictwo, na przykład w projekcjach filmowych, było dla Górnoślązaków z polskiej części Górnego Śląska dostępne w części niemieckiej, i na odwrót. Krótko mówiąc: mieszkańcy polskiego Górnego Śląska jeździli do kin do Gliwic, do Zabrze, a mieszkańcy Zabrze, Gliwic, Bytomia bywali w Katowicach czy w Chorzowie. Mamy do czynienia z niezwykle ciekawym fenomenem regionalnej kultury filmowej, która w sposób naturalny była dwunarodowa. To się nigdzie indziej w Polsce w takim stopniu nie pojawiło.

Natomiast jeśli mamy mówić o polskiej stronie Górnego Śląska, to film oczywiście miał swój udział w tamtych wydarzeniach, aczkolwiek nie tak dojmujący jak literatura czy teatr. Były różne aspekty obecności kultury filmowej w wydarzeniach międzywojnia. Przede wszystkim powinniśmy pamiętać, że okres powstań i plebiscytu to w dużej mierze także walka na filmy, na kina, na repertuary filmowe i na napisy w obydwu językach. To był również oręż w walce o polskość Górnego Śląska. Po obydwu stronach granicy powstawały filmy propagandowe, które miały na celu przysposobić ludność polską, z jednej strony, i niemiecką, z drugiej, do głosowania w plebiscycie za Polską lub za Niemcami. Powstała cała seria filmów propagandowych (w większości zaginionych), które współtworzyły aurę konfliktu i politycznego, i militarnego tamtego czasu. To niezwykle interesujące zjawisko, które weszło do historii kina pod nazwą „wojny kinematografów”. Ważne dla kultury filmowej na Górnym Śląsku są wydarzenia związane z przejściem części Górnego Śląska przez Polskę w 1922 roku, zwłaszcza mitologizowany wjazd generała Stanisława Szeptyckiego z Zagłębia do Katowic. W tym względzie dla historii kina ważne są kroniki Jana Skarbaka-Malczewskiego, zwłaszcza monograficzna kronika zatytułowana *Przyłączenie Śląska do Polski*, ukazująca wydarzenia z czerwca 1922 roku wokół wjazdu generała Szeptyckiego do Katowic, wraz z różnymi uroczysto-



Prof. Andrzej Gwoździł

fol. Arkadiusz Gola

Górny Śląsk – stulecie kina

Z prof. dr. hab. ANDRZEJEM GWOŹDZIEM
rozmawia Piotr Skowronek

ściami towarzyszącymi tej historycznej chwili w Katowicach i okolicy. To bardzo ciekawy materiał, stosunkowo niedawno odnaleziony w FilMOTECE Narodowej, który należy zresztą do najstarszych dokumentów filmowych o Górnym Śląsku.

Jan Skarbak-Malczewski wrócił na Górny Śląsk po kilku latach i w roku 1928 zrealizował film o Katowicach zatytułowany *Stolica Górnego Śląska – Katowice*. Dziwny to film, bo z katowicką rzeźnią w roli głównej, film bez tradycyjnego górnośląskiego przemysłu i tego wszystkiego, co zwykle się łączy z ikonografią Górnego Śląska. Jest natomiast Śląsk pokazany jako imperium rzeźnicze. Wynikało to stąd, że film sfinansowały w celach reklamowych rzeźnie katowickie. Ale Katowice jawią się również jako wizerunek miasta higienicznego, nowoczesnego, z bardzo rozbudowaną opieką społeczną, poczynając od żłobka, do domu dla osób starszych. Film Skarbaka-Malczewskiego jest jednak ważny także z historycznofilmowego punktu widzenia, bo wpisuje się w ówczesną modę na filmy miejskie. Najbardziej znane z tych filmów to niemiecki *Berlin, symfonia wielkiego miasta*

Waltera Ruttmanna (1927) i radziecki *Człowiek z kamerą* Dzigi Wiertowa (1929). Film o Katowicach pozostaje niezwykle ciekawy i z tego powodu, że możemy zaobserwować, jak trudno było wówczas ogarnąć dokumentowi tematykę wielkomiejską, opowiedzieć o dużym mieście. Mimo wszystko jednak jest to niezastąpiony dokument o przedwojennych Katowicach, bo dzięki niemu miasto otrzymuje swój wczesny wizerunek filmowy, którego inne miasta górnośląskie na ogół nie mają, choć miejscami przypomina album z fotografiami.

Czy Ślązacy wówczas chętnie chodzili do kina? Ja ze zdziwieniem odkryłem, że w miasteczku, w którym mieszkam Rydułtowach w 1922 roku działały aż dwa kina na kilkaset miejsc.

Kino było popularne po obydwu stronach granicy, być może nawet w polskiej części Górnego Śląska bardziej. W Chorzowie na przykład na głównej ulicy działało kilka kin, a dzisiaj nie ma tam ani jednego. W Katowicach prosperowało jedno z najstarszych kin w regionie, kino Rialto, otwarte w 1913 roku, które było kinem premierowym i pokazywało najnowsze pro-

dukcje z kinematografii światowej. Tu również można było zobaczyć to, co w tym samym czasie oglądali widzowie w Berlinie, Pradze czy innych dużych miastach europejskich. Tym bardziej, że w Katowicach funkcjonowały również filie tych największych firm hollywoodzkich. Oczywiście owa kinomania (bo tak możemy określić to zjawisko) obejmowała również mniejsze miasta, takie jak Ruda Śląska czy właśnie Rydułtowy.

A wiele kin już samymi nazwami, takimi jak Wawel czy Polonia, podkreślało związki z Polską.

Tego rodzaju praktyka dotyczyła na ogół mniejszych miast. W dużych miastach, jak Katowice, pozostawano przy nazwach uniwersalnych, przydających kinom światowy *flair*, takich właśnie jak Rialto, wiązanych z wytwórnymi kinoteatrami, czasami określanymi mianem pałaców filmowych. W mniejszych miastach bardzo często te nazwy szły ku Polsce, na przykład w Rudzie Śląskiej w 1937 roku otwarto kino *Patria*, działające po dziś dzień, choć akurat zmagają się z problemami finansowymi i zimą pozostaje zamknięte.

Czy wyświetlano w nich filmy o Górnym Śląsku?

Mało kto wie, że najstarszym filmem fabularnym z plenerami górnośląskimi jest niemiecki film *Królowa giełdy* Edmunda Edela z 1916 roku. Zdjęcia kręcono w kopalni Hedwigswunsch w Zabrze-Biskupicach, późniejszej kopalni Pstrowski. Co ciekawe, bardzo niedawno, właściwie kilka miesięcy temu, odnaleziono duże fragmenty innego filmu, jedyne zresztą zrealizowanego w wytwórni Espe-Film założonej przez Stefana Pierzchalskiego w Siemianowicach Śląskich w połowie lat 20. ubiegłego stulecia (właśnie ukazała się książka Marcina Wądołowskiego o siemianowickiej wytwórni). Chodzi o film *Niewolnicy życia* (inny tytuł: *Za grzechy ojców*) z 1928 roku w reżyserii Artura Twardyjewicza. Tym samym odzyskaliśmy jedno z najstarszych zapewne zdjęć przemysłu hutniczego, nakręconych najprawdopodobniej w siemianowickiej hucie Jedność, która sąsiadowała z wytwórnią.

Obok siemianowickiego Espe-Filmu (zwanego niekiedy z pewną przesadą „siemianowickim Hollywood”), na przełomie lat 20. i 30. XX wieku funkcjonowała jeszcze w Chorzowie wytwórnia Pegaz-Film. Wprawdzie w 1929 roku wyprodukowano w niej tylko jedną fabułę, *Z ramion w ramiona* (zresztą również w reżyserii Artura Twardyjewicza), ale obie wytwórnie tworzą wyraźny rys historii produkcyjnej kina na Górnym Śląsku. Przy

okazji należy wspomnieć o związanym z chorzowską wytwórnią pionierze polskiej animacji, Włodzimierzu Kowańce, który zasłużył sobie na miano „polskiego Disneya”. Istniały zatem przed wojną na Górnym Śląsku wytwórnie filmowe, których przynajmniej z historycznego punktu widzenia nie należy pomijać. Natomiast w 1935 roku w wytwórni warszawskiej „Aner Film” powstał w reżyserii Ireneusza Platera-Zyberka film o pielgrzymce do Piekar Śląskich, zatytułowany *Salve Regina*. To wspaniały dokument górnośląskiej obyczajowości tamtego czasu, istny skarb filmowy i kulturowy.

Z kolei w 1939 roku powstał film Jerzego Gabryelskiego *Czarne diamenty* – nie na Śląsku wprawdzie, ale w warszawskiej wytwórni Kohorta – pierwszy i jedyny przedwojenny polski film fabularny o tematyce górniczej, który odkrywa Śląsk dla ikonografii kina. Film miał reprezentować Polskę na pierwszym festiwalu filmowym w Cannes w 1939 roku, ale z powodu wybuchu wojny festiwal nie odbył się. Z filmem wiąże się zresztą bardzo ciekawa historia. Otóż przez całe dziesięciolecie uchodził on za zagubiony, ale podobnie jak w wielu podobnych wypadkach okazało się, że jednak istnieje. W grudniu 1981 roku, tuż przed stanem wojennym, Śląskie Towarzystwo Filmowe zorganizowało jego spóźnioną premierę. Na pokaz, który odbył się w kinie Świątowid w Katowicach, zaproszona została wdowa po Gabryelskim, zamieszkała w Stanach Zjednoczonych. Z radością przyjechała na tę uroczystość, po czym musiała pozostać w Polsce przez

ponad pół roku, bo stan wojenny uniemożliwił jej powrót do Ameryki. *Czarne diamenty* to tytuł wyjątkowo istotny z punktu widzenia propagandy polskiej, bo dzięki niemu polski Górny Śląsk wszedł do kanonu kina polskiego. Reżyser użył w nim zresztą gwary, choć to, jak „po śląsku” mówią stołeczni artyści, to odrębna sprawa. Warto jednak pamiętać o tym, że konsultantem od gwary był Wilhelm Szewczyk, którego funkcję pełnioną w filmie odnotowano w czołówce.

Chciałem zapytać o recepcję tej produkcji poza Śląskiem.

Kiedy *Czarne diamenty* pokazano po latach, okazało się, że film Gabryelskiego przywrócił pamięć Górnego Śląska kulturze filmowej. Z kolei film o Katowicach, o którym wspominałem wcześniej, był raczej produktem reklamowym, więc jego znaczenie nie wykraczało poza przypisaną mu funkcję. Największą rangę miał wówczas film o pielgrzymce do Piekar Śląskich *Salve Regina*, natomiast *Czarne diamenty*, gdyby nie wybuch wojny, byłyby z pewnością ważnym wydarzeniem artystycznym, co skutkowało by szeroką dystrybucją, najpewniej także europejską. Ale to się nie wydarzyło, więc Śląsk zostaje dla kina odkryty dopiero przez Kutza. Trzeba też pamiętać o tym, że tytuły, o których wspominałem, pozostają bardziej hasłami z leksykonu filmowego niż z kinowego repertuaru. Są ważne dla dziejów kultury filmowej w regionie, ale nie odegrały praktycznie żadnej roli kulturotwórczej, a ostatni



Pałac Rheinbabenów w Siemianowicach-Michałkowicach (popularnie zwany zameczkiem) zagrał w filmie *Niewolnicy życia* (*Za grzechy ojców*) Artura Twardyjewicza z 1928 roku

for. NAC



Otwarcie istniejącego po dziś dzień kina Patria w Rudzie Śląskiej we wrześniu 1937 roku (z archiwum Ewy Brzezińskiej-Dłociak)

z nich po prostu takowej odegrać nie mógł. Powstała w 1916 roku *Królowa gieldy* jest natomiast bardzo interesująca także z tego powodu, że w filmie uczestniczy spora grupa zabrzańskich statystów (w tym Górnoślązaczek), zapewne związanych z pracą w zabrzańskiej kopalni. Zresztą, co znamienne, akcja filmu rozgrywa się w kopalni miedzi, a nie węgla kamiennego – to ciekawy przykład myślenia lokacjami we wczesnym kinie. No i jest to film gwiazdorski, bo w głównej roli wystąpiła szwedzka gwiazda Asta Nielsen, która zdobywała sobie wówczas popularność w niemieckiej wytwórni UFA, co dawało filmowi gwarancję szerokiej dystrybucji.

Jaki wpływ na kino miały zbliżająca się II wojna światowa i okres okupacji? Ja ze zdziwieniem odkryłem, że rydułtowską Polonię przemianowano na Uranię i dalej grała pełną parą. Kina w czasie wojny przeżywały swój złoty okres z wielu powodów, głównie dlatego, że trzeba było odciągnąć widzów od koszmaru, który niosła ze sobą wojna. Pamiętajmy, że w czasie wojny nie powstawały wcale głównie filmy propagandowe czy wojenne, ale na czoło wysuwała się produkcja filmów rozrywkowych. Kinematografia niemiecka rozkwitła w tym czasie w sposób niebywały, tworząc kanon filmowej rozrywki przedwojnia. Miał w tym swój udział także Górnoślązak, siemianowiczanie Michał Jarczyk, który w latach 20. wyjechał do Berlina, by studiować kompozycję. Był uczniem innowatorów muzyki współczesnej Igora Strawinskiego, Paula Hindemitha, a potem (jako Michael Jary) zasłynął w branży szlagierowej, stając się renomowanym kompozytorem muzyki rozrywkowej i popularnego kina. To dość niebywałe, że górnośląskie Siemianowice dały kinematografii niemieckiej gwiazdę mu-

zyki filmowej. Jary pisał piosenki dla Zarah Leander, słynnej Szwedki, która była diwą UFY. Kino w okresie wojny – kino jako instytucja, kino jako przemysł, kino jako sposób spędzania wolnego czasu – znajdowało się w rozkwicie. Wokół kina roztaczano aurę niezwykłości, wyjątkowości. Do poszczególnych tytułów drukowano atrakcyjne programy filmowe, odbywały się spotkania z gwiazdami itd. Ludzie chodzili masowo do kin, które świetnie prosperowały, choć grały głównie repertuar niemiecki oraz państw sprzymierzonych z Niemcami. Można było także natknąć się (choć sporadycznie) na polskie produkcje przedwojenne, dopuszczone na ekrany w ocenzurowanych wersjach niemieckojęzycznych.

Przychodzi koniec wojny i zmiana ustroju. W 1946 roku w Katowicach powstała instytucja „Film Polski”. Jak to wpłynęło na kino i film? Rydułtowska Urania została wtedy zamknięta. Kina przed wojną i w czasie wojny były głównie prywatne, a teraz przejęło je państwo, choć raczej nie zamykało. Po wojnie, z innych zresztą powodów, kino pozostawało nadal fabryką emocji, może dopiero lata 70. XX wieku ten stan nieco odmieniły. Wspomniana instytucja była monopolistą w zakresie rozpowszechniania filmów i, co ciekawe, zajęła w Katowicach miejsce w budynku przy ulicy Kochanowskiego 10, w którym przed wojną mieściło się biuro wynajmu hollywoodzkiej firmy Metro-Goldwyn-Mayer. A że była to instytucja państwowa, toteż państwo zawłaszczyło sobie prawo do decydowania o filmach, które dopuszczono na ekrany. Trzeba jednak pamiętać o tym, że pod względem różnorodności repertuaru kinowego Polska była w obozie socjalistycznym krajem wyjątkowym, i wcale nie byliśmy w tym względzie repertuarową

provincją. Sam zresztą, jak całe moje pokolenie, wychowałem się w latach 60. XX wieku na amerykańskich westernach. Ta instytucja oczywiście trwała do przełomu ustrojowego w 1989 roku, kiedy to powstała Instytucja Filmowa Silesia-Film, która istnieje po dziś dzień i ma się dobrze. Zresztą jako jedna z niewielu w Polsce, bo chyba tylko jeszcze wrocławskie Odra-Film przetrwała po dziś dzień. Instytucja Filmowa Silesia-Film prowadzi kilka kin: w Katowicach są to Rialto i Światowid, poza tym Janosik w Żywcu i Bałtyk w Raciborzu. Ale jej cele programowe obejmują propagowanie kultury filmowej we wszystkich jej przejawach, z edukacją filmową włącznie, czym słynie głównie katowicki Kosmos.

Oryginalną powieść filmową o Śląsku i Ślązakach stworzył Kazimierz Kutz? Na czym polegał jej i jego fenomen?

Najkrócej rzecz ujmując, można powiedzieć tak: Kutz stworzył kompletny Śląsk wyobrażony, z jego językiem, obyczajowością, jego wiarą, zewnętrzną urodą. Taki Śląsk oczywiście wymyślił na bazie Śląska historycznego, ale wolą artysty powołał do życia Śląsk, który można nazwać mitycznym. I jako ten Śląsk wymyślony stał się na pewnym wzorcem kulturowym, jakiego kino polskie w odniesieniu do innych regionów nie miało, po dziś dzień nie ma i zapewne mieć nie będzie. Bo Kutzowa wizja regionu jest nie do podrobienia. Można robić o Górnym Śląsku filmy lepsze lub gorsze, ale nie można być Kutzem bis. On był pierwszy i jedyny, i to pierwszeństwo i ta wyjątkowość pozostaną miarą jego artystycznej klasy. Swoimi śląskimi filmami Kutz dał odpowiedź na pytania: kim jest Górnoślązak?, czym jest Górny Śląsk?, jak to jest, żyć w gwarze? To jest Śląsk Kutzowy, ale jednocześnie Śląsk, który stanowi pożywkę mitograficzną dla kultury regionu. Śląsk nanizany na historyczny Śląsk, ale zarazem wymyślony, wyobrażony mocą woli tego wyjątkowego artysty, jakim był Kazimierz Kutz

Jak o Śląsku i Ślązakach opowiadali inni twórcy filmowi – Lech Majewski, Janusz Kidawa, Jan Kidawa-Błoński, Filip Bajon czy Leszek Dawid?

Trzeba by wymienić jeszcze chociażby Macieja Pieprzycę czy Magdę Piekorz. Bo dziś jest to już cała plejada twórców, także twórców amatorskich, takich jak Eugeniusz Klucznik czy twórca śląskiego westernu Józef Kłyk. Oni wszyscy zdają sobie sprawę z tego, że nie ma sensu konkurowanie z Kutzem o ekranowy wizerunek Górnego Śląska, że trzeba ten Śląsk podejść niejako z innej strony. To w moim odczuciu

najbardziej powiodło się Lechowi Majewskiemu, który zaproponował magiczną wersję Górnego Śląska. Wspomnę *Wojaczka*, *Angelusa*, wspomnę *Brigitte Bardot cudowną*, filmy, których akcja toczy się na Górnym Śląsku. Oczywiście dotyczą one innych rejestrów wrażliwości na to, co stanowi o kulturowym idiomie regionu, pozostając zarazem utworami całkowicie oryginalnymi, jedynymi w swoim rodzaju. Majewski nie walczy przecież z Kutzem o jakąś palmę pierwszeństwa w filmowym wizerunku Górnego Śląska, bo to zupełnie inne kino; inna jest wrażliwość estetyczna Majewskiego, który pozostaje pisarzem, poetą, malarzem, kompozytorem, rzeźbiarzem. To są różne typy widzialności, odmienne optyki, które się wzajemnie uzupełniają. W tym kontekście pamiętać trzeba także o trzecim filarze „kina śląskiego”, nieco zapomnianym dziś Januszu Kidawie, którego cennym zwłaszcza za jego łotrzykowski *Grzeszny żywot Franciszka Buły*, który był na początku lat 80. XX wieku prawdziwym hitem kinowym, uhonorowanym zresztą w 1980 roku Srebrnymi Lwami Gdańskimi i Nagrodą Publiczności na gdańskim wówczas festiwalu. Ale także inne śląskie filmy Kidawy z tej dekady: „*Anna*” i *wampir* (o śląskim „wampirze”) czy adaptacja powieści Leona Bielasa *Sławna jak Sarajewo* (o drugiej wojny światowej na Górnym Śląsku) należą do kanonu „kina śląskiego”. W filmach o Franciszku Buły i w *Sławnej jak Sarajewo* łotrzykowski ton i nawiązanie do klimatu twórczości Janoscha przydają temu kinu jeszcze innej aury, tworząc wraz z dorobkiem poprzednich artystów swoisty górnośląski tryptyk. Nie należy też zapominać o tym, że Kidawa był wytrawnym dokumentalistą, a filmy takie, jak *Hałda* czy *Niedziela* z początku lat 60. XX wieku należą do klasyki polskiego dokumentu. Przy okazji nie zapominajmy również o Antonim Halorze, którego dorobek zasługuje na wielki szacunek i należne mu miejsce w historii polskiego dokumentu. Do każdego z twórców należy stosować inną miarę...

Śląskie Towarzystwo Filmowe obchodziło niedawno czterdziestolecie swojego istnienia. Jakie są jego losy i największe sukcesy?

Wraz z Janem F. Lewandowskim – historykiem, dziennikarzem, filmoznawcą (którego zresztą miałem przyjemność prowadzić w przewodzie doktorskim) – należałem do grona współzałożycieli Towarzystwa. Był rok 1981, kiedy Janek zaprosił mnie do domu i powiedział: „Słuchaj, jesteś filmoznawcą, robisz rzeczy, które być może interesują studentów, naukowców, ale

trzeba by coś zrobić dla środowiska”. Tak mnie przeciągał na drugą stronę liny. „Trzeba by tu na Śląsku powołać do życia coś, co tchnie nowego ducha w życie filmowe regionu, co skupi wokół siebie widzów, dziennikarzy i ludzi kina. Spróbujmy!” I powołaliśmy do życia Śląskie Towarzystwo Filmowe, co nastąpiło w maju 1981 roku, a za kilka miesięcy wprowadzono stan wojenny. Towarzystwo bardzo szybko zostało zawieszono, bo jako forum ludzi prawych i wolnych nie mogło przecież funkcjonować w stanie wojennym. Ale zaraz po odwieszeniu powstaliśmy jak feniks z popiołów i lata 80. to był najlepszy okres działalności towarzystwa. Repertuar kinowy był dość marny, a my współpracowaliśmy z ambasadami i różnymi instytucjami, które pozostawały poza kontrolą państwa i udostępniały nam atrakcyjne filmy na bardzo korzystnych warunkach. Wspomnę tylko, że to właśnie w Śląskim Towarzystwie Filmowym odbyła się *de facto* polska prapremiera *Błaszanego bębena* Volкера Schlöndorffa, że to tu pokazywaliśmy *Sceny myśliwskie z Dolnej Bawarii* Petera Fleischmana, by ograniczyć się do dwóch filmów z zachodnich Niemiec, co już w samo w sobie miało posmak politycznego wybryku. Wiele wybitnych filmów pokazywaliśmy jeszcze zanim trafiły na ekrany kin. No i oczywiście byliśmy nieustannie inwigilowani przez wiadome służby.

Doskonale pamiętam tamto kino studyjne, bo sam tam chodziłem.

Przejeżdżaliśmy lokal po Zespole Filmowym „Silesia”, przy ulicy Szafranka 9 w Katowicach, w miejscu dzisiejszego Muzeum Historii Katowic. Tutaj przez 10 lat istniały biura Zespołu Filmowego „Silesia”, który Kazimierz Kutz powołał do życia na początku lat 70. To był pierwszy i jedyny pozostałe zespół filmowy w Polsce i w pewnym sensie Śląskie Towarzystwo Filmowe przejęło schedę po filmowcach, zajmując ich lokal. A osoba pierwszego Prezesa towarzystwa (dziś jego Prezesa Honorowego), Kazimierza Kutza, świadczyła dobitnie o unii personalnej łączącej zespół filmowy z towarzystwem. Oczywiście z produkcją filmową nie mieliśmy nic wspólnego (choć podobne plany snuliśmy), ale przez długi czas ten styk obydwu instytucji był obecny i widoczny. W latach 70. organizowaliśmy wiele tematycznych cykli filmowych, ale najbardziej sensoryjną imprezą była zapewne wspomniana już premiera po latach *Czarnych diamentów* Gabrielskiego w 1981 roku. Zorganizowaliśmy na przykład cykl o kinie Trzeciej Rzeszy albo przegląd filmów związa-

nych z twórczością Horsta Bienka, co w innych instytucjach kulturalnych tamtego czasu było nie do pomyślenia. Nierzadko pokazywaliśmy filmy w obecności twórców, co było niezwykle ekscytujące. To było szalenie istotne w latach 80. XX wieku, zanim jeszcze inwazja wideo zaczęła podkopywać kulturę filmową. Dla życia filmowego na Górnym Śląsku adres kina przy Szafranka 9 to stanowiło swoiste Eldorado. Zapewne pamięta Pan te ogromne kolejki na projekcje filmowe.

Pamiętam i kolejki i brak miejsc parkingowych.

To trafił Pan na ten najlepszy czas towarzystwa. Oczywiście wiele zawdzięczaliśmy zmysłowi organizacyjnemu i zdolnościom Jana F. Lewandowskiego, dla którego towarzystwo było w zasadzie drugim domem. Ale Janek marzył także o stworzeniu wokół towarzystwa pewnego ruchu artystycznego, powołaniu do życia jakiejś bazy filmowej. To się nie udało, bo towarzystwo społeczne nie było w stanie unieść na swych barkach podobnej inicjatywy. Ale plany były dalekosiężne. Janek marzył na przykład przez lata o zaproszeniu do Katowic Janoscha, Horsta Bienka, marzył o Hannie Schygulli, chorzowiance, która była diwą filmów Fassbinder’a i twarzą nowego kina niemieckiego. I to się wtedy nie udało, ale Schygulla przyjeżdżała potem dwukrotnie do swojego rodzinnego miasta, po raz ostatni w 2014 roku, kiedy otrzymała honorowe obywatelstwo Chorzowa. W każdym razie Śląskie Towarzystwo Filmowe pełniło w pewnym sensie funkcję nieoficjalnej akademii filmu światowego, pozostając ostoją dla wszystkich, dla których film był ważny i którzy wiązali z nim swoje pasje, a nawet plany zawodowe: śląskich filmoznawców i wielu absolwentów Wydziału Radia i Telewizji Uniwersytetu Śląskiego. W podobnej skali nigdzie w Polsce się to już nie powtórzyło.

Jak to się stało, że na Śląsku powstał prężny ośrodek naukowy związany z kinem?

Do Uniwersytetu Śląskiego przyjechała, wówczas jeszcze docent, Alicja Helman, która zyskała sobie niebawem sympatię wśród studentów i pracowników, ale także we władzach uniwersyteckich, które – o dziwo! – z wielką otwartością przyjęły dość egzotyczną jak na owe czasy propozycję powołania specjalizacji filmoznawczej na studiach filologicznych. W 1973 roku powstał na Wydziale Filologicznym Zakład Filmoznawstwa, potem, ze swoją odnogą, na Wydziale Radia i Telewizji, i faktycznie zaczęło się kształtować środowisko akademickie zwane „śląskim filmoznawstwem”. Niestety,

po ostatnich reformach uczelni znoszących zakłady, tej jednostki już nie ma, ale pozostało środowisko, które rozwija się w najlepszą stronę.

Po 10 latach Alicja Helman wyjechała do Krakowa, gdzie stworzyła kolejny ośrodek filmoznawczy, ale śląskie filmoznawstwo (teraz w strukturze Wydziału Humanistycznego) pozostaje nadal ważnym ośrodkiem dydaktycznym i naukowo-badawczym w zakresie filmu i nowych mediów, a także istotnym ogniwem kultury filmowej na Górnym Śląsku. Prezeską Śląskiego Towarzystwa Filmowego jest obecnie doktor Urszula Biel, absolwentka naszej specjalizacji, autorka dwóch fundamentalnych monografii na temat dziejów kultury filmowej na Górnym Śląsku. Kazimierz Kutz, powołując do życia Zespół Filmowy „Silesia” miał na uwadze również fakt, że powstały na Śląsku takie wzajem spinające się ogniwa filmowe, stanowiące cenną pożywkę intelektualną dla kultury filmowej regionu. W końcu lat 70. powołano do życia Wydział Radia i Telewizji Uniwersytetu Śląskiego, właściwie drugą szkołę filmową w Polsce, istniało już akademickie filmoznawstwo, swój rozkwit przeżywało Śląskie Towarzystwo Filmowe. A w zakresie produkcji filmowej można było skorzystać z Telewizyjnej Wytwórni Filmowej Poltel i bazy Telewizji Katowice.

Od 2019 roku Szkoła Filmowa im Krzysztofa Kieślowskiego

To jest ciągle Wydział Radia i Telewizji Uniwersytetu Śląskiego, co nie zmienia faktu, iż jego pozycja wynosi go do rangi szkoły filmowej. Krzysztof Kieślowski był długoletnim wykładowcą Wydziału, bywali tu Krzysztof Zanussi, Andrzej Wajda, Kutz i cała plejada polskich filmowców; do dziś jest z nim związany na przykład Filip Bajon. Ale wśród wykładowców są już byli studenci Wydziału: Adam Sikora, Michał Rosa, Maciej Pieprzyca, Magdalena Piekorz, a więc kolejne pokolenia absolwentów, którzy weszli do zawodów filmowych; czasami absolwenci studiów doktoranckich na Wydziale Filologicznym, tacy jak dokumentalistka Dagmara Drzazga czy artysta fotografik Janusz Musiał.

Panie profesorze, spójrzmy w przyszłość. Które wielkie śląskie tematy, postaci czekają jeszcze na swoich reżyserów?

Tych tematów jest ciągle wiele. Do wzięcia pozostaje historia, której z powodów ideologicznych nie mógł nakręcić Kutz w latach 70. XX wieku. Chodzi o projekt filmu zatytułowanego *Różowy horyzont*, o emigracji całej podopolskiej wsi Płużnica

Wielka, pod przewodnictwem księdza Leopolda Moczygemby, do Teksasu. Ta niezwykła historia nie mogła być wtedy zrealizowana, bo nie wypadało uczynić księdza przywódcą społecznym, narodowym. Powodem wyjazdu całej wsi do Ameryki był pruski dryl i oni emigrowali do Ameryki z całym swoim dobytkiem. Wzięli ze sobą nawet fragmenty płotu, dzwon kościelny i przeflancowali to wszystko do Teksasu, zakładając miejscowość Panna Maria, w której po dziś dzień żyją kolejne pokolenia tamtych emigrantów. Niektórzy z tych śląskich tekszańczyków, nie będąc nigdy w Polsce, mówią gwarą śląską i to taką, jaką mówiło się 150 lat temu, co stanowi oczywiście nie lada gratkę dla historyka kultury, a zwłaszcza językoznawcy. Zresztą do tych wątków nawiązywał niezwykły amator z Bojszów Józef Kłyk. Tamten scenariusz (czy tylko jego projekt) zaginął, ale to jest nadal fascynująca, ba, sensacyjna historia do wykorzystania w wielkim widowiskowym filmie. Była niedawno w tej miejscowości Dagmara Drzazga, nasza śląska dziennikarka, reporterka i dokumentalistka, i zrealizowała dokument o tym, jak ci potomkowie wychodźców z XIX wieku żyją dziś w Ameryce. Inny temat, o którym ciągle myślę, dotyczy tego, co działo się na Górnym Śląsku tuż po wojnie. Jest kilka dokumentów o wywózkach Górnoszlązaków do Związku Radzieckiego, ale nie ma właściwie filmu fabularnego na ten temat.

Mówi Pan profesor o tym, co nazywamy tragedią górnośląską?

Elementy tego tematu poruszył Janusz Kidawa-Błoński w swoim filmie *Pamiętnik znaleziony w garbie* z 1992 roku, ale myślę, że to osobny, wielki temat czekający na ekranową histo-

rię. Do tematów, których nie powinniśmy się już obawiać, należy kwestia pogranicza niemieckiego, w tym emigracji do RFN w drugiej połowie ubiegłego stulecia oraz rozmaitych dylematów, czasami dramatów, jakie się z tym wiązały. I o tym także jest *Pamiętnik znaleziony w garbie*, swoją drogą podpowiadający bogaty repertuar tematów, które można byłoby zrealizować. Jest wreszcie historia człowieka niezwykłego, kompozytora Franza Wachsmanna (Waxmana) urodzonego w 1906 roku w rodzinie żydowskiej w Königshütte (późniejszej Królewskiej Hucie), który, podobnie zresztą jak jego rów nolegatki Jarczyk z Siemianowic, wyemigrował ze Śląska, ale pojechał dalej, bo poprzez Berlin do Stanów Zjednoczonych i został jednym z najbardziej wziętych kompozytorów filmowych w Hollywood, zdobywając dwa Oscary i będąc aż dziesięciokrotnie nominowany tej nagrody. Historia chorzowskiego Żyda, który wyrasta na geniusza muzyki filmowej mogłaby pokazać cały kulturowo-obyczajowy konglomerat Górnego Śląska, Niemiec i Stanów Zjednoczonych czasów minionych – człowieka jako wehikułu, który przechodzi przez różne kultury i cywilizacje. Mamy dzisiaj w Chorzowie ulicę nazwaną imieniem Franza Waxmana, a Marek Kosma-Cieśliński, też absolwent naszego filmoznawstwa, bardzo wiele zrobił dla popularyzacji tej postaci: napisał monografię Waxmana, która ukazała się w dwóch wydaniach, zrobił nadto inscenizowany dokument zatytułowany *Bulwar Franza Waxmana*, który miał premierę w 2011 roku. Myślę, że to postać na wielki film hollywoodzki. Mógłbym tak długo jeszcze wymieniać, ale myślę, że to temat na kolejne spotkanie. ■

Andrzej Gwóźdź – prof. dr hab. w Instytucie Nauk o Kulturze Uniwersytetu Śląskiego w Katowicach. Przez wiele lat był również pracownikiem naukowo-dydaktycznym Uniwersytetu Łódzkiego, a także profesorem gościnnym uniwersytetów w Konstancji i Szanghaju oraz wykładowcą uczelni w Holandii, Czechach, Niemczech i na Łotwie. Interesuje się teorią filmu i nowych mediów oraz antropologią obrazowości. Ostatnio wydał dwie monografie o kinie niemieckim: *Zaklanie rzeczywistości. Filmy niemieckie i ich historie 1933–1949* (2018, 2. wyd. 2020) oraz *Kino na biegunach. Filmy niemieckie i ich historie 1949–1991* (2019), a także *Powtórka z Kutza. Tropy – interpretacje – rozmowy* (2019). Pomysłodawca i redaktor kilkunastu tomów zbiorowych z zakresu teorii mediów, historii myśli filmowej, dziejów kina na Górnym Śląsku oraz poświęconych twórcom filmowym – w ostatnich latach ukazały się m.in.: *W poszukiwaniu polskiej Nowej Fali* (wspólnie z M. Wach, 2017), *Widzialność wywołana* (e-book, wspólnie z N. Gruenpeter, 2018), *Z góry widać lepiej. Niedokończone rozmowy z Kazimierzem Kutzem. Rozmawiał Andrzej Gwóźdź* (2019). W latach 2005–2009 prezes Polskiego Towarzystwa Kulturoznawczego; w latach 2006–2014 redaktor naczelny kwartalnika „Kultura Współczesna”; inicjator i wiceprezes Polskiego Towarzystwa Badań nad Filmem i Mediami (od 2015).

Psychoanaliza na Śląsku, czyli dlaczego Zygmunt Freud nie przyjechał do Bystrej?

SABINA KWAK

Ludwik Jekels, wiedeński lekarz, późniejszy tłumacz i popularyzator dzieł Zygmunta Freuda na gruncie polskim, a także jego wieloletni współpracownik (uczestniczył m.in. w I Kongresie Psychoanalitycznym w Salzburgu w 1908, a w 1910 przyłączył się do środowych spotkań na Berggasse), prowadził od 1897 roku w Bystrej Śląskiej niedaleko Bielska sanatorium, w którym wraz z innym psychoanalitykiem – urodzonym w Będzinie Hermanem Nunbergiem – już na początku XX wieku stosował psychoanalizę jako formę terapii. Był to pierwszy tego typu ośrodek w tym rejonie Europy (Dybel, 2000, s. 27).



Jekels po raz pierwszy spotkał swojego późniejszego mistrza około 1898 lub 1899 roku, właśnie w związku z przejściem bystrzańskiej lecznicy. „Prywatna praktyka Freuda widniała na liście wiedeńskich lekarzy, których [...] osobiście odwiedzał, by zachęcać ich do rekomendowania pacjentom swojej placówki” (Dembińska, Rutkowski, 2016).

Jekels wspominał: „Przyszedłem wczesnym popołudniem – w najbardziej pracowitych godzinach dla sławnego lekarza... Poczekałnia była kompletnie pusta... Wyjaśniłem powód mojej wizyty. Freud nie był niegrzeczny, ale... dał wyraźnie mi do zrozumienia, że w kwestii aktualnego leczenia pacjentów neurotycznych *myśli w odmienny sposób*. Moja wizyta ewidentnie nie była sukcesem. Po chwili wyszedłem z wielką ulgą pomimo mojej porażki” (Dembińska, Rutkowski, 2016).

Po kilku latach także on przekonał się do „innego myślenia o leczeniu pacjentów nerwicowych” – psychoanalizą na poważnie zainteresował się około 1905 roku, słuchając wykładów Freuda na Uniwersytecie Wiedeńskim, a swoje wrażenia podsumowywał słowami: „Chociaż uczyłem się w wiodących autorytetów medycznych tego czasu, świat, który otworzył się podczas słuchania wykładów Freuda, był kompletnie mi nieznanym. Entuzjazm, jakie-

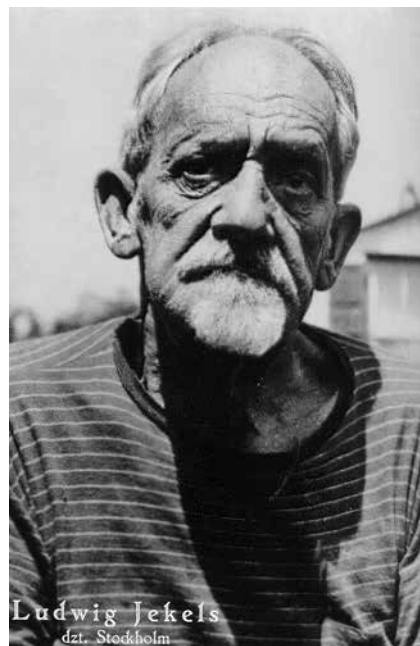
go nie doświadczyłem nigdy wcześniej, kazał mi jeździć do Wiednia rok po roku” (Dembińska, Rutkowski, 2016). W tym samym czasie zaczął stosować metodę psychoanalityczną w swoim sanatorium – było to najwcześniejsze jej użycie na ziemiach, które dziś nazywamy polskimi (Dembińska, Rutkowski, 2016).

Jekels informował o swoich poczynaniach samego Freuda, który pragnął nawet spędzić w placówce kilka tygodni. W liście do Sandora Ferenczego z 5 czerwca 1910 roku wspominał o planowanej na Śląsku wizycie: „W czerwcu część mojej rodziny jedzie do Bystrej na spotkanie z Jekelsem, dołączę do nich 14 lipca” (Brabant [i in.], 1993, s. 177). Już 3 lipca tego samego roku donosił jednak przyjacielowi: „Jesteśmy całkowicie wyczerpani i mamy znaczny dylemat w związku z latem. Wysłaliśmy przednią straż składającą się z ciotki i naszych dwóch „drobiazgów” [Minny Bernays, Zofii i Anny Freud – przyp. SK] do doktora Jekelsa w Bystrej, i dwaj starsi chłopcy chcieli iść w ich ślady [...]. Ale dowiedzieliśmy się, że w Bystrej nie ma wystarczającej liczby pokoi, i wszystko inne też się nie układa. Chłopcy, łącznie z Martinem, nie byli w stanie znaleźć zakwaterowania, odwołałem więc nasz przyjazd u Jekelsa i nie wiem, co dalej robić. Prawdopodobnie pojedziemy do Holandii [...]” (Brabant [i in.], 1993, s. 184).

O sytuacji w sanatorium dowiadujemy się więcej z bezpośredniej relacji szwagierki Freuda Minny: „Sanatorium jest teraz przepełnione, [...] ludzi trzeba było ulokować w okolicznych domach, ale pośród tych wszystkich osób nie ma ani jednej, z którą można by było chociaż słowo zamienić. Nie tyle język jest tutaj przeszkodą, bo ludzie mówią przeważnie po niemiecku lub francusku, ale raczej chodzi o to, że oni są tak niesympatyczni, ci nerwowi, najgorszy gatunek ze wszystkich, pozostali tolerują jedynie lekarza, a ten chętnie wita każdego przybywającego. Dzieci, dzięki Bogu, mają się dobrze i są zadowolone, bawią się z małym Stefanem, drugim słodziutkim synem doktora. Sam doktor jest niezmordowanie uprzejmy i strasznie rozpuszczka dzieci (Czarnecki, 2006, s. 22).

W innym miejscu czytamy, że: „Latem 1910 roku Freud chciał spędzić dwa tygodnie w Bystrej u Jekelsa, któ-

ry zaprosił go do swojej »przestronnej willi«. Ale po tym jak szwagierka Freuda Minna Bernays dowiedziała się o owej propozycji i uznała ją za niestosowną, Freud użył wymówki i odwołał swój przyjazd” (Czarnecki, 2006, s. 10). W „Psychiatrii Polskiej” również mowa o wpływie kobiety na decyzję Zygmunta: „Potwierdzenie, że to Minna zniechęciła Freuda do przyjazdu, znajdujemy w jej listach. Pisała: »Zasłużyłam na nagrodę, chroniąc Cię przed przyjazdem tutaj«. Wiadomo także, że: »obdarzała Bystrą epitetami (»galicyjskie pustkowia«, »potwornie nudna dziura«)» (Dembińska, Rut-

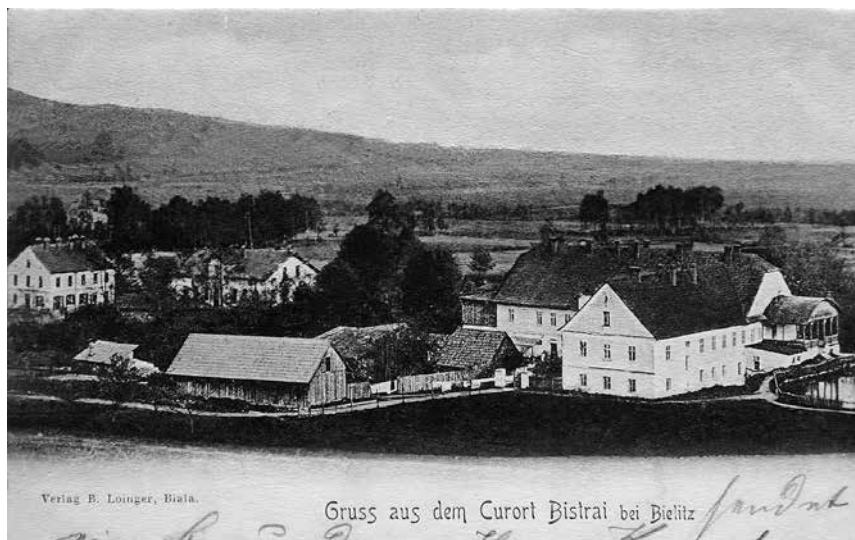


kowski, 2016). Podobno również Anna odwołała ojca od pomysłu przyjazdu do Bystrej (Dybel, 2000, s. 27).

Za rządów Jekelsa zakład specjalizował się w działalności na rzecz nerwowo chorych. Od jednego z lekarzy pracujących w placówce – dr. Stanisława Kunickiego – wiadomo nawet, że „sanatorium [...] służyło do leczenia bogatych histeryczek” (Szkoda, 1989, s. 30). Dyrektor placówki „w pracy analitycznej koncentrował się na objawach jako spełnieniu wypartych perwersyjnych lub kazirodczych pragnień seksualnych (stał ważnym elementem leczenia były tzw. wywiady seksualne) oraz na materiale nieświadomym, pochodzącym ze snów pacjentów” (Dembińska, Rutkowski, 2016). Oto opis jednego z przypadków medycznych:

„Pani G., matka pięciorga dzieci. Od trzech lat cierpiała na ezofagospazm i dławienie w trakcie jedzenia. Pacjentka uważała, że przyczyną dolegliwości było potajemne palenie papierosów. W trakcie wywiadu Jekels ustalili, że ostatni poród pacjentki był bardzo ciężki, co spowodowało „chorobliwą wręcz obawę ciąży”. W wyniku tej obawy odczuwała niechęć do stosunków płciowych z mężem. Pierwsze objawy pojawiły się, gdy badana zachowała się bez wzajemności w młodym oficerze. Analiza snów pacjentki dostarczyła nowych informacji. Była zainteresowana szwagrem, którego podejrzewała o niezdołność do prawidłowych i skłonność do perwersyjnych stosunków płciowych. W tym czasie także zaczęła w tajemnicy przed mężem palić papierosy. Jekels dokonał interpretacji objawu pacjentki, stwierdzając, że „jej skurcz [przełyku] to nic innego jak tylko fantazja *coitus per os*” ze szwagrem. Strukturę zaś całej nerwicy pacjentki ujmował następująco; „[...] wskutek objawy ciąży i nieodwzajemnionej miłości musiała чуć w naszej, bardzo silnie seksualnie pobudzonej chorej, zostać stłumioną, a wobec tego zatorowania głównego koryta cofnęła się ona niejako w dawno zasypane łożyska”, czyli do fazy oralnej. Jekels dostrzegł też u pacjentki inny objaw, którego z braku czasu nie zdążył zanalizować, a który był związany ze stłumionym homoseksualizmem chorej” (Dembińska, Rutkowski, 2016).

W kwestii oceny terapeutycznej działalności doktora świadectwa nie były niestety zbyt pozytywne – jako lekarz miał na swoim koncie niejedną wpadkę diagnostyczną. W książce *Od Jekelsa do Witkacego. Psychoanaliza na ziemiach polskich pod zaborami 1900–1918* czytamy: „[...] istnieją dane przemawiające za tym, że diagnostą i praktykiem był raczej miernym, a przecież praktyka to w gruncie rzeczy sama esencja zawodowej aktywności lekarza, także lekarza duszy. Swoisty gwóźdź do trumny Jekelsa w odniesieniu do pierwszego okresu jego działalności, kiedy pracował w sanatorium w Bystrej, wbił Cezary Domański, który wykazał, że fatalnie pomylił się on (»diagnostyczny falstart«), kiedy upierał się przy leczeniu nie kogo innego jak Gabrieli Zapolskiej metodami psychoanalitycznymi i przy tym »nie brał pod uwagę podręcznikowych objawów wskazujących na pasożytniczą naturę jej choroby (zresztą przez nią sugerowaną). Według Domańskiego Jekels »zafiksował się na przekonaniu o nerwicznych źródłach jej problemów zdrowotnych. Niestety, diagnoza była chybiona, a terapia okazała się kłęską. Zapolska nie stała się »Anną O.« polskiego pioniera psychoanalizy. Nie pozostało nic in-



Bystra, ok. 1905 r. Po prawej stronie sanatorium dr. Jekelsa

nego, jak zapomnieć o tym przypadku” (Dobroczyński, 2016, s. 47–48).

Nieco więcej o kulisach pobytu autorki *Moralności pani Dulskiej* w Bystrej^[1] dowiadujemy się z artykułu Leny Magnone, w którym przytoczono liczne fragmenty korespondencji pisarki z mężem. Zawarty w listach „opis środków zastosowanych przez Jekelsa jest drastyczny i w niczym nie przypomina kuracji psychoanalitycznej (świecenie w oczy, klucie szpilkami, wywlekanie z łóżka, gniecienie kułakami brzucha...). [...] Wbrew swojej woli, krzykiem i przemocą nakłaniana jest do jedzenia, chociaż każdy posiłek kończy się dla niej wymiotami” (Magnone, 2011, s. 51).

Cytowane przez autorkę *Emisariuszy Freuda* skargi, które Zapolska kierowała do małżonka, były pełne dramatyzmu:

„Kazali mi znów jeść na kolację pstrąga. Bałam się i zjadłam. Żołądek mordowany i chory – znieść nie mógł – całą noc przemęczyłam się najokropniej, oka nie zamknęłam. [...] Zamiast dawać lekkostrawne potrawy, zwłaszcza na noc, on mnie zmusza do męczenia się w ten sposób i nadwyrężania żołądka. [...] Zniosłam pierwszy raz pstrąga – teraz po ataku jestem wyczerpana, żołądek zmęczony – nie może – on tego nie chce zrozumieć... Sto razy bezwzględniejszy jak Tarnawski. Szablono i więcej nic. Proszę o bańki na dół – śmieje się. »Kto to wymyślił?« »Kruszyński, Feuerstein, Breiter, Daszkiewicz, Owczarski.« – »To mnie nie przekonuje«. – Proszę trochę kawy, gdy słabnę. – »Nie dam!« – Proszę wody do blaszanki – »Wymyśli!«... Mówię: »mam neuralgię w ramieniu i w szyi«. – On mi mówi: »są ludzie, co pracują na życie rodzin i mają takie neuralgie«. Czy to są odpowiedzi? Dziś mu powiedziałam, że »wprost doszłam do tego, że nie śmiem panu powiedzieć, że wczoraj krwią plułam«. – »A dla-

czego?« – »Bo mi pan powie, że są kobiety, co wychodki szorują i krwią plują«. Tak mu odpowiadam wedle jego metody. Co jednak będzie dalej, nie wiem. Jestem strasznie zdenerwowana taką walką. Ja chcę jeść, najlepszy dowód, że patrzyłam na zegarek, nie mogąc się doczekać tego jedzenia, a teraz lękam się go, bo nie jest takie, jakie mogłabym zjeść po roku niejedzenia, lecz takie, jakie mi szkodziło, gdy byłam zdrowa... Dziś wybuchnęłam spazmatycznym płaczem, gdy przyszedł – powiedziałam mu, że nie mogę być tak traktowaną po kozacku, że to tak być nie może. Przeprosił mnie i widziałam, że mu było przykro. Pytał mnie, co chcę jeść. Prosiłam o mięso tarte z żółtkiem – jarzynę – jaja – mleko – masło – bułki – śmietankę – lekkie le guminy – gdy będę zdrowsza ryby, ale nie w galarecie z octem, tylko z wody. Poszedł – jeśli nie uwzględni, to trzeba jechać. Ja tu nie śmiem zadzwonić, gdy mi słabo – ja tu o nic nie śmiem. Cały dzień wczoraj miałam okropny – okropny. Całuję Cię – na życie Twoje klę się, że piszę prawdę” (Magnone, 2011, s. 51).

Z przeprowadzonego przez Magnone śledztwa dowiadujemy się, że pobyt pisarki w sanatorium był burzliwy, ale niezbyt długi – Zapolska wyjechała z Bystrej prawdopodobnie po dwóch tygodniach, tym niemniej: „[...] przybrała na wadze dwa kilogramy, co dla Jekelsa jest powodem do tryumfu: kiedy zjawiła się w sanatorium, ważyła zaledwie 47 kilo. »Tucząca kuracja« odniosła więc skutek. Chociaż Zapolska wciąż podkreśla swój problem z płucami, a i sam Jekels przyznawał, że pacjentka cierpiała na zaawansowaną gruźlicę, leczona była przede wszystkim, jak się wydaje, z jadłowstrętu, który był przez adepta psychoanalizy ewidentnie traktowany jako symptom histeryczny, pozbawiony rzeczywistego chorobowego podłoża” (Magnone, 2011, s. 54).

Jak się okazało po czasie, chorobowe podłoże dolegliwości pisarki jednak istniało: „Zapolska nosiła bowiem w sobie ponaddziesięciometrowego tasiemca, który odpowiedzialny był za jej rozliczne bóle, problemy żołądkowe, a zwłaszcza znaczny spadek wagi i wstręt do pożywienia. Obok drastycznych opisów procesu wydalania pasożyta z organizmu w listach pisarki do męża znajdziemy szczególnie radość z postawienia na swoim. Zapolska traktuje solitera jako ostateczny argument w sporze z Jekelsem” (Magnone, 2011, s. 59).

Nie była to jedyna sytuacja, w której właściciel bystrzańskiego sanatorium się mylił lub czegoś nie zauważył. Paradoksalnie człowiek tak głęboko jak Jekels zaangażowany w leczenie zaburzeń nerwowych, zaznajomiony z nowinkami myśli Freudowskiej, nie dostrzegł także pogarszającego się stanu własnej małżonki. Kobieta popełniła samobójstwo, jego przyczyna nie była jednak jasna. Według jednych pogłosek tkwiła ona w nieszczęśliwej miłości do przystojnego rotmistrza, który przebywał w sanatorium na kuracji, według innych – w niespełnionych ambicjach pisarskich doktorowej (Szkoda, 1989, s. 31). Pani Jekels złożyła podobno utwór dramatyczny swojego autorstwa w Teatrze Bielskim z nadzieją na jego wystawienie. „Teatr jednak chałą odrzucił” (Szkoda, 1989, s. 31) i urażone ambicja oraz duma własna popchnęły kobietę do samobójstwa. Gdzie indziej znajdujemy informację: „Drugi powód wydaje się mało prawdopodobny. Jak donosił »Kurier Warszawski« w pośmiertnym wspomnieniu o Jekelsowej, »ostatnia praca [...], sztuka sceniczna *Die Spiele Ihrer Exzellenz* (polski tytuł *Igraszki jej Ekscellencyi*) miała być wystawiona za dwa tygodnie w wiedeńskim Burgtheater«, z pewnością bardziej prestiżowym niż teatr w Bielsku” (Dembińska E., Rutkowski K., 2016). Podsumowując, można by pól żartem, pól serio stwierdzić, że nie miał uczeń Freuda szczęścia do dramatopisarek w swoim otoczeniu (nb. Jekels także zajmował się literaturą, zob. Magnone, 2016, s. 175–192).

Obydwie domniemane pobudki samobójczej śmierci małżonki Jekelsa stanowiły świadectwo *fin de siècle*owych doświadczeń. Śmierć była tu zwieńczeniem życia kobiety zamkniętej w złotej klatce sanatorium, otoczonej przez bogatych pacjentów, liczących na pomoc jej męża; męża zajętego rozkwitem kliniki, niedostrzegającego jednak tego, co działo tuż obok^[2]. Słepego na nieszczęśliwą miłość jego towarzyszyki. Albo na jej artystyczne ciągoty.

Samobójcza śmierć żony spowodowała, że Jekels sprzedał w roku 1912 swoje sanatorium (Szkoda, 1989, s. 33).

Nie wiadomo, czy uzdrowisko oferowało zadowalające perspektywy finansowe i czy odniosło sukces finansowy. O sprzedaży mogły więc zdecydować także czynniki ekonomiczne, choć wszyscy badacze wspominają przede wszystkim o względach osobistych. W każdym razie Jekiels przeprowadził się do Wiednia, odnalazł Freuda i poddał się u niego analizie (Czarnecki, 2006, s. 25). Zakamuflowany przebieg tejże terapii można znaleźć w „Internationale Zeitschrift für ärztliche Psychoanalyse” z roku 1913: „[Jekels] Przedstawił przypadek lekarza, który „stracił w tragiczny sposób swą piękną, młodą i gorąco kochaną żonę; popadł w nerwicę, której nutą wiodącą było poczucie winy za nieszczęście. Nie nawiązywał stosunków z kobietami, powstała w nim niechęć do małżeństwa, do jakichś trwałszych związków miłosnych, które w nieświadomości uważał za niewierność wobec zmarłej żony, a w świadomości zracjonalizował to w przekonaniu, że przynosi kobietom nieszczęście, że któraś może popełnić przez niego samobójstwo. Przy jego silnym libido nie można się dziwić, że marzyły mu się jako najbardziej zgodne z jego naturą przelotne stosunki z zamężnymi kobietami”. Píše również o fantazjowaniu o poślubieniu córki swojego analityka (Freuda), które miało potwierdzać interpretację jego nerwicy oraz dowód istnienia relacji przeniesieniowej wyrażającej się w chęci rywalizacji z analitykiem (odebrania mu ukochanej córki) i odwetu na nim (skoro przez psychoanalizę stracił żonę, to odbierze analitykowi córkę, a gdy ona się zabije, wtedy analityk też kogoś utraci). Fantazje te mogły dotyczyć 19-letniej ukochanej i uważanej za bardzo piękną córki Freuda Zofii lub jej młodszej siostry Anny, które Jekels dobrze znał, gdyż opiekował się nimi podczas wakacji 1910 roku” (Dembińska, Rutkowski, 2016).

Podczas pamiętnego lata, gdy Freud nie przyjechał do Bystrej. ■

Przypisy

^[1] W Bystrej gościli też inne znane osoby: „Wypoczywali i leczyli się tu członkowie polskiej elity artystycznej i politycznej, m.in. znany malarz Julian Fałat [...], Maria Konopnicka (być może właśnie tu powstała słynna »Rota«), a także Józef Piłsudski z małżonką Marią. Wobec wymienionych osób stosowano standardowe leczenie sanatoryjne: masaże, gimnastykę, hydroterapię oraz leczenie dietetyczne. Znany polski malarz, ówczesny rektor Akademii Sztuk Pięknych w Krakowie, Julian Fałat po raz pierwszy korzystał z leczenia w roku 1902. Był on bardzo zadowolony z leczenia i jako dowód wdzięczności ofiarował państwu Jekels akwarelę własnego autorstwa przedstawiającą kompleks budynków zakładu leczniczego opatrzoną dedykacją

»Doktorowi i Pani Doktorowej Jekels ofiaruję na miłą pamiątkę«. Zaświadczenie lekarskie wystawione przez Jekelsa w 1910 roku informuje, że przyczyną częstych pobytów Fałata w sanatorium była neurastenia oraz »złeniwienie jelit i żołądka«. Malarz tak bardzo upodobał sobie Bystrej, że w 1910 roku kupił tam dom i zamieszkał razem z rodziną. W Bystrej mieszkał do śmierci w 1929 r.” (Dembińska, Rutkowski, 2016).

^[2] Istnieją świadectwa, zgodnie z którymi Jekels był przeciążony pracą – może być to jedna z przyczyn przeoczenia stanu Zoe. „Minna, opisując stosunek doktora do pacjentów, nie przebiegała w słowach, twierdziła, że »sam doktor, czując do nich największą odrazę, przeklina każdego nowo przybyłego pacjenta«. Była to nie tylko opinia samej Minny, która mogła rzutować swój własny stosunek do kuracjuszy na doktora. W liście Anny [Freud] również pojawia się wzmianka o tym, że doktor ma dość swoich specyficznych pacjentów. Anna pisze [do ojca]: »Dr Jekels bezustannie nam opowiada, jak nie przepada za swoimi pacjentami i ja sobie wówczas myślałam, jak Tobie muszą doskwierać, skoro masz ich o wiele więcej niż on«. Prawdopodobnie to zniechęcenie i poczucie przeciążenia dotychczasową pracą sprawiło, że Jekels stopniowo mniej czasu poświęcał kuracjom, a więcej krzewieniu psychoanalizy” (Dembińska, Rutkowski, 2016).

Bibliografia

- Dybel P., 2000, *Urwane ścieżki. Przybyszewski – Freud – Lacan*. Kraków.
- Pawlak F., Malinowska B., Malinowski E., 2005, *Dzieje bystrzańskiego sanatorium*. Bielsko-Biała.
- Dembińska E., Rutkowski K., 2016, *Sanatorium doktora Jekelsa w Bystrej koło Bielska – pierwszy polski zakład leczniczy posługujący się psychoanalizą*. „Psychiatria Polska”, nr 43. Online: http://www.psychiatriapolska.pl/uploads/onlinefirst/Dembińska_PsychiatrPolOnlineFirstNr43.pdf
- Brabant E., Falzeder E., Giamperi-Deutsch P., ed., 1993, *The Correspondence of Sigmund Freud and Sándor Ferenczi: 1908–1914*. Belknap Press: An Imprint of Harvard University Press.
- Czarnecki B.G., 2006, *Ludwig Jekels (1867–1954) und die Anfänge der Psychoanalyse in Polen*. Inaugural-Dissertation zur Erlangung des Doktorgrades der Zahnmedizin der Medizinischen Fakultät der Eberhard Karls Universität zu Tübingen (przeł. A. Berger).
- Szkoda A., 1989, *90-lecie zakładu leczniczego w Bystrej Śląskiej (I)*. „Walka z Gruźlicą i Chorobami Płuc”, nr 2.
- Dobroczyński B., 2016, *W drodze do Karlsbadu albo powrót psychoanalizy*. W: *Od Jekelsa do Witkacego. Psychoanaliza na ziemiach polskich pod zaborami 1900–1918*. Wybór tekstów pod red. B. Dobroczyńskiego i P. Dybla. Kraków
- Magnone L., 2011, *Polskie przestrzenie psychoanalizy – Zapolska w Bystrej*. „Przeгляд Humanistyczny”, nr 2.
- Magnone L., 2016, *Psychoanaliza w Polsce 1909–1946*, t. 1. Warszawa.

Pamiętnik (13)

Z RĘKOPISU OPRACOWAŁ MARIAN KISIEL

Piątek, 11 grudnia [1936].

- Ty się śmiejesz, a mnie coraz częściej bolą oczy.
- No to chyba trzeba ci wziąć okulary.
- Udajesz, albo naprawdę nie rozumiesz, o co chodzi? Wolałem się przytulić.
- Udaję.

Przyjechała do Czerwonki z nauczycielką, która prowadzi ochronkę w Jaśkowicach¹, w odwiedziny do tutejszej „ochroniarki”. Towarzyszka jej pojechała do domu o szóstej. Stefa miała też jechać. Była już na peronie. Ale właśnie tym pociągiem przyjechał z Rybnika Ryś i nie pozwolił jej odjechać. Zatrzymał ją przemocą prawie. Potem zaczął szukać mnie. Ostatecznie znaleźli mnie w kościele.

- Ryś pożegnał się prędko. Jak zwykle.
- Masz ochotę do kina? Dają polski film.
- Ochotę mam, ale nie pójdę.
- Czemu?
- Bo tak.

Masz babo placek. Bo tak!... Ale od czegoś głowa? Parę słodszych, dyszących cicho, a powoli słów i wszelkie skrupuły, w rodzaju: „bo tak!”, znikły jak dym. Dawano Twardowskiego². Oglądałem go już po raz drugi. Pierwszy raz widziałem go w Katowicach, 3-go maja. W każdym razie lepszy od *Ada to nie wypada*, bo przynajmniej mający logiczne uzasadnienie (legenda), o całe niebo ładniejsze sceny, no i naturalnie Brodniewicza³ oraz Bogdę⁴.

Wyszliśmy z kina o godzinę za wcześniej. W poczekalni dworcowej było wyjątkowo ciepło, miło i przytulnie – – –

Wicher gorąca, zmieszany z subtelnym zapachem perfum (mój Boże, nie znam się na perfumach, nie umiem ich określić), zawiewa od jej twarzy jak letni, nagrany słońcem, łąką i lasem – wiatr. Jej napływające blisko usta są jeno samym pragnieniem i samą miłością. Dobrze jest mieć jej głowę na ramieniu. Dobrze jest trzymać dłoń na jej rozgrzanej pierś. I dobrze jest całować ją, przechyloną trochę w tył, w sam środek za slicznie⁵ wykrojonych do jej twarzy ust. Jej pieszczoły są jak pieszczoły dziecka. Małeńkiej, rozkosznej dzieciny. Jej słowa, szumiące mi tuż nad uchem, są jak falujące tu i tam, spokojnie ale namiętnie, słonecznie i miodnie łąny wysokich zbóż.

W poczekalni siedział oprócz nas jeden człowiek. Ale ten ukrył się za szerokim, gorącym piecem kaflowym. Byliśmy więc jedynie sobą. Jedynie n a m i, parą dwojga młodych ludzi ulegających nieprzemyśletemu prawu (względnej) samotności, bezwzględnemu prawu dwojga pragnących ciał i niezwykłego urokowi młodej miłości. Miłość, o której jednak nie miałem dotąd pojęcia, a którą mimo wszystko wspominałbym (może nawet podświadomie) kiedyś, gdy młodość „górna, chmurna” będzie już daleko za mną. Młodość ma jednak dużo miłych chwil.

Dworzec rzucony w przestrzeń omrożonych pól; poczekalnia małeńka, przytulna i te pocałunki, spadające na moje usta jak gołębie – białe gołębie opadające na zieloną od trawy, czerwoną od kwiatów, a pachnącą wieczorem miedzę.

Szkoda, że życie tak mało pięknych zaiste chwil nastęrcza. Szkoda że czas leci zbyt szybko. Jeszcze teraz czuję na war-

gach zapach lekkich perfum Stefy, które mogę (już) odróżnić z tysiąca. Nie wiem, jak się nazywają. Może będą miały brzydką, banalną nazwę francuską. Może nazwa w ogóle nie będzie pasowała do ich subtelnego a mocnego zapachu. W każdym razie tak związały się ze Stefą w jedną całość, że mogę śmiało o nich powiedzieć, iż tak pachnie miłość!... Błąkają mi się te perfumy koło ust, mam je na dłoniach, czuję je dookoła siebie. Wszędzie pachnie Stefą, wiatr szumi za oknem jak jej słowa, zegary tykają jak jej westchnienia. Otumaniała mnie Stefa i trudno będzie mi się zdobyć na jakikolwiek względem niej gest, który mógłby jej sprawić przykrość. – Stefo! tak trudno jest mnie zdobyć. Bardzo trudno. A Tyś dokonała tej sztuki. Więc *salve* jako moja nowa przyjaciółka westchnień, które stwarzają poezję, stwarzają wiersze, jedyne ujście mego subtelnego ja. To, co o Tobie napisałem, to jest może też poezja. Czuję to. Myślałem o tym. Wiem o tym. Stefo!

Zdaje mi się, że z jej obrazem, z jej ustami przy moich ustach pójdę dzisiaj spać.

Sobota 12 grudnia.

Wysłałem zamówienie na *Biblię cygańską* Tuwima⁶. Podałem jednak zły adres, zamiast Mazowiecka, napisałem Marszałkowska. No, ale chyba Mortkowicza znają. – Cieszę się już na te poezje, które dają mi dużo, dużo radości. Wiem, że tak będzie. Tuwim!...

Wielka tajemnica – Maeterlincka – głupota⁷. Okultyzm jest interesujący wtedy, jeżeli go opisuje się z najdalej posuniętym obiektywizmem. Wszelkie poddanie się tym czy owym jego filozoficznym konsekwencjom prowadzi do jednostronności, a przy lekturze (jestem na to bardzo wrażliwy) wprowadza niesmak.

Ziemia Elżbiety?⁸ Właśnie ją czytam. Nie wiem, co o niej powiem. Styl Gojawiczyńskiej mi się nie podoba. Lepszy jest „staromodny” (Morcinek).

Niedziela, 13 grudnia.

Poeci powinni tworzyć o terażniejszości dla przyszłości. Nie powinni być czytani przez współczesnych. Wiele bowiem talentów w ten sposób zostaje pogrzebanych przez zwykłe niesłuszną krytykę. Wiersze o terażniejszości nie interesują współczesnych. I dlatego powinni czytać tych, którzy już przeżyli swój zmierzch. Poeta współczesny będzie sławny. Na pewno. Gdy już dawno, dawno nie będzie żył. Niech pisze o tym, co naokoło widzi, niech pisze szczerze i tylko dla siebie. Kiedyś, po latach odkryją jego zakurzone skrypty. Zdumi[ej]ą się nad szczerością tych wierszy. Zdumi[ej]ą się dlatego, że będą je po raz pierwszy czytali i że znajdą w nich tchnienie ubiegłej epoki.

Ziemia Elżbiety — — —

Gojawiczyńska wgrzyła się doskonale w psychologię życia małej osady górnośląskiej, miejsca pątniczego. Topograficz-

nie można ją zidentyfikować z Piekarami. Bo i granica blisko i do Tarn.[owskich] Gór niedaleko, i wymienione kopalnie leżą dookoła Piekar. Życie osady jest uchwycone dobrze. Jedno tylko razi, że więcej mówi o wadach poszczególnych ludzi niż o zaletach. A przecież ludzie takimi całkowicie nie są. Sama Elżbieta mnie osobiście się nie podoba. Możliwe, że są inne gusta. Styl jest wyraźnie brzydki. Czyżby moda na taki styl miała wszechwładnie panować? Przecież to jest wariackie. Niektóre charakterystyczne zwroty śląskie są podane w błędnej transkrypcji (może to błąd zecera). Na ogół dobra rzecz. Jedynie *finale* pozwała wątpić w Polskę, która nie może dać bezrobotnym chleba i pracy. Ich masowe przejście do Hitlerii jest rzeczywiście koszmarem, odsłaniającym naszą polską rzeczywistość. Tego w imię Piękna nie trzeba było pisać, ale w imię Prawdy jest to konieczne (w ogóle dzisiejsze czasy stawiają pisarzy na rozdrożu Piękna i Prawdy).

Tak się jakoś przesiadało w domu. Cały dzień. Jedynie ku wieczorowi wybrałem się do Polusa na lekcje. – Napisałem mu wniosek o jednorazowe stypendium go gminy.

– Ile jestem za to Panu winna – zapytała mnie się p. Polusowa, otwierając portmonetkę.

– Nic. Dziękuję. Takie rzeczy robi się bezinteresownie.

– Tak nie można. – Zaczęła mi wciskać w dłoń złotego.

Zacząłem się bronić.

– Ależ ja bardzo dziękuję. Sami przecież nie macie wiele pieniędzy. Mąż w szpitalu, sześcioro dzieci, syn w gimnazjum... Serdecznie dziękuję.

– To niech pan weźmie przynajmniej 50 groszy.

– Ani tyle. Do widzenia.

Postąpiłem zupełnie słusznie. Choć właściwie ciepę na chroniczny brak forsy. Nie można jednak brać od takich, którzy sami nic nie mają. Co innego p. Szymurowa. Ale ona, jak na złość, ani nie wspomina o pieniądzach. Wziąłbym od niej bez zażenowania.

Poniedziałek, 14 grudnia.

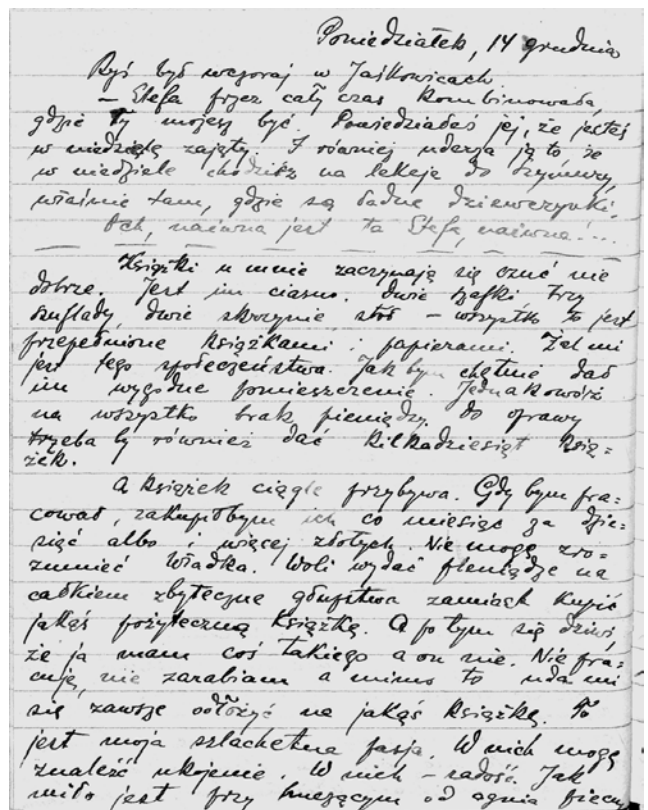
Ryś był wczoraj w Jaśkowicach.

– Stefa przez cały czas kombinowała, gdzie Ty możesz być. Powiedziała jej, że jesteś w niedziele zajęty. I również uderza ją to, że w niedziele chodzisz na lekcje do Szymury⁹, właśnie tam, gdzie są ładne dziewczynki.

Och, naiwna jest ta Stefa, naiwna!...

Książki u mnie zaczynają się czuć niedobrze. Jest im ciasno. Dwie szafki, trzy szuflady, dwie skrzynie, stół – wszystko to jest przepelnione książkami i papierami. Żal mi jest tego społeczeństwa. Jak bym chętnie dał im wygodne pomieszczenie. Jednakowoż na wszystko brak pieniędzy. Do oprawy trzeba by również dać kilkadziesiąt książek.

A książek ciągle przybywa. Gdybym pracował, zakupiłbym ich co miesiąc za dziesięć albo i więcej złotych. Nie mogę zrozumieć Władka. Woli wydać pieniądze na całkiem zbyteczne głupstwa, zamiast kupić jakąś pożyteczną książkę. A potem się dziwi, że ja mam coś takiego a on nie. Nie pracuję, nie zarabiam, a mimo to uda mi się zawsze odłożyć na jakąś książkę. To jest moja szlachetna pasja. W nich mogę znaleźć ukojenie. W nich – radość. Jak miło jest przy huczącym od ognia piecu, w długi zimowy wieczór zagłębić się w Mickiewicza lub w autorów współczesnych. Wtedy człowiek czuje, że żyje. Wszelką tęsknotę rodzą książki. Za radością, za szczęściem można najpewniej gonić kartami poezji. Wtedy bowiem możemy mieć pewność, że radość nas spotka. Że staniemy z nią twarzą w twarz, najszczęśliwi z ludzi. Czyż może być coś piękniejszego na ziemi, jak rozkosz ducha? A czyż możemy ją gdzie indziej doświadczyć, jeżeli nie w Sztuce? Sztuka jest literatura. Może z niej czerpać szczęście ducha każdy. Do malarstwa, rzeźby czy muzyki – trzeba już mieć pewne wyro-



bienie estetyczne. Ale literatura: powieść i poezja – przemówi każdemu do serca. A szczególnie poezja.

Stefa prosiła mnie o napisanie czegoś dla ochrony w Jaśkowicach¹⁰. Skreśliłem obrazek pt. *U złobka*. Nie wiem, czy jej się to uda jeszcze wyćwiczyć z dziećmi. Bo czasu jest mało.

Wtorek, 15 grudnia.

Miałem sen. Spacerowałem pod rękę z Helcią. Z tą szczupłą, niepozorną dziewczynką. O wielkich, sentymentalnych oczach. O drobnej, cudownej piersi. Chodziłem z Helcią po mokrych od rosy łąkach, skrajem wilgotnego a pachnącego lasu. Patrzyła mi się w oczy pogodnie, radośnie i wiernie. – I nie wiem, czy się poddać tej fali wspomnień, czy też nie – –

Przed niedzielą Ryś rozmawiał z Helcią. Pytała się o mnie. Więc, co się ze mną dzieje. Jak mi się powodzi. Prosiła go przy tym, aby mnie zaprosił w jej imieniu do jej domu obojętnie kiedy.

I dziś miałem sen. Kochałem się w Helci. We śnie. Czy tylko we śnie?

Powiem szczerze: Helcia umie mnie najlepiej odczuć. Stefa mnie nie odczuje, mego ducha nie umie, choć właściwie stara się, poznać. Maryla (Rija) też nigdy, nigdy mego poetycznego „ja” nie zrozumie. Ale Helcia... Ona, jej sentymentalizm, jej odczucie piękna, jej estetyka, to – wszystko podobne do mojego. Z niej może być dobra, najlepsza przyjaciółka. Nie chcę, żeby mnie z nią łączyła miłość (miłość potrafi być bowiem brutalną), ale chcę przyjaźni. A jeżeli się ona nadal we mnie kocha – no, trudno!

Chyba poddam się tej fali wspomnień. Chyba napiszę do niej list i odwiedzę ją.

Właściwie to jestem zły na siebie. Duszę się w kręgu ciasnych myśli. Nie mam odwagi zrobić wyłomu w murze mego konwencjonalizmu marzeń i myśli. Dzisiejszy świat potrzebuje innych ludzi. Oczywiście, jeżeli się chce iść z prądem czasu. Ja niby to idę przeciw prądowi. Ale równocześnie mu się poddam. Jestem za mało oporny, za mało wytrwały.

Ech! wszystko głupstwa, grunt że żyje!...

Sroda, 16 grudnia.

Zdaje się, że to, co mi najwięcej miejsca w sercu zajmuje, na czym opieram całą moją radość, o tym piszę w dzienniczku bardzo, bardzo rzadko. Natomiast poświęcam zupełnie niepotrzebnie miejsce na opisy schadzek, Stefanii, głupstw, zwarowanych filozofii itd.

A – książki?...

One są moim życiem.

One są samą miłością, samą radością. Życie bez nich (moje życie) to jak drzewo bez liści. Żyjące, ale nie wydające liści (złe się wyraziłem: nie żyjące, ale istniejące). Bez nich istniałbym, ale nie żyłbym. Oho! Ja w nich widzę to, czego nikt nie ujrzy. Gruba, masywnie oprawna księga – to dla mnie żywy autorytet, żywa powaga. Cieniutkie, w filuternych okładkach, to dla mnie panienki. Miłe, kochane, szczenioczące, rozsmiane, młodzieńcze. Poezja – to dla mnie kamienie drogic, tym droższe, im lepiej i wierniej oddają uczucia. Szkolne książki, łaciny, matematyki, polskie – to wszystko wierni słudzy i wierne służebnice. Moja czeladka, która mnie od młodości pielęgnowała, która mnie pieściła słodko, aż do wieku młodzieńczego. Potem już nie było sług, ani czeladki, potem przyszli przyjaciele i wzięli mnie za ręce, i wprowadzili mnie niedoświadczonego w życie. To były powieści. A było tych przyjaciół tylu (dobrych i złych), że postanowiłem uciec od życia do pustelni. A tą pustelnią była nauka. Jest nauka. Grube, poważne dzieła, ojcowie tamtych płochych podręczników szkolnych. I zostało parę wiecznych przyjaciół! Tych powieściowych. Dobrych przyjaciół.

Książki!...

Hej!...

Aż żalność człowieka zbiera, że jest ich tyle na świecie, że co dzień się płodzą – a nie można ich wszystkich zgarnąć. Nie można popieścić się z nimi jak z dobrymi dziećmi. Głaskać ich karty białe czy żółknięte. Przyciskać je do piersi – wszystkie: cienkie, grube, potężne, groźne, miłe, sentymentalne, wszystkie, wszystkie, wszystkie.

Książki!...

Hej!...

Stają mi przed oczyma jak wojsko. Wyręzione, na bacność, w różnobarwnych oprawach, jedna obok drugiej, jak wojsko, na bacność, na okurzonych półkach, brzuchate szlachciury,

ry, cienkie polskie kosyniery, łopoczące barwami ułany, jak wojsko, na bacność – książki: moja gwardia przyboczna!...

Książki!...

Hej!...

Roją się w nich długie rzędy, równe szeregi liter. Pachną mi jodłami, sianem i astrami. A ówdzie sinym, bezmiernym, słonym oceanem. Ówdzie młodym, hardym ciałem panińskim. I chlebem, świeżym, pulchnym chlebem. I krwią. I słońcem. I światem. I sobą. I nami. I Polską! Polską!...

Książki!...

Hej!...

Jak miło jest oprzeć się o szafkę i patrzeć się na półki. Na moje skromne półki. Idzie od nich powicher wspomnień. Każda mi coś przypomina. Jak kopce siana pachnące w podwieczór na łące. Tamta została zakupiona za ciężko, ciężko uzbierane pieniądze. Czytałem ją potem kilka miesięcy. Co dzień. Ciągle. Ta – mój Boże – jest nie moja. Zagarnąłem ją tylko duchem, pragnieniem i... podstępem. Miał ją kolega. A nie znał się na jej pięknie. Nie lubiał poezji. Pożyczyłem ją. A potem powiedziałem, że mik się zgubiła. I dałem mu za nią inną. Trzymałem ją następnie przez pół roku między starymi gazetami. Aby jej kolega nie odkrył. A potem urządziłem święto wprowadzenia jej w społeczeństwo moich książek. I przeczytałem ją dobrze. Wgłębiłem się w nią.

Książki!...

Hej!...

Każdą trzeba znać. Dobrze. Paru tylko nie znam. Mam przed nimi respekt. Są to poważne, pełne sylogizmów, dzieła o syntezie nauk. Trudno. Kłaniam się im nisko. Z innymi natomiast jestem za pan brat. Raczej one ze mną. A te „filozofy” patrzą się na mnie z wyżyn swej czasowej (oczywiście: tylko do czasu) niedostępności z pobłażaniem.

Za książkami szaleję i koniec.

Podoba mi się Maryna z *Legandy Tatr* Tetmajera¹¹. Jest jurna, młoda i rozrośnięta. Jest wolna, królewska córka. Kocha góry. Czarny Staw umie ją ukolysać do marzeń, do snu...

...Hej! omroczył dziś Marynę taniec jak kurzawa,
zbiegła lotna niby sarna wodospadem sosen,
potrąciła mokre świerki ponad Czarnym Stawem,
cichym falom się zaśmiała jurnym, młodym głosem!...

Zagroziła nieulekła kosą drogę panu.

– Zacięłabyś?

– Ino. Zatnem. Córa jestem wolna.

Nie pomogło, nie wyszlocha pachnącemu sianu

Swej miłości do szlachcica. Jest jak kwiatek polny...

A oddała mu się cała: żywa i ognista.

Darł jej piersi – oszalały – nurzał się w rozkoszy.

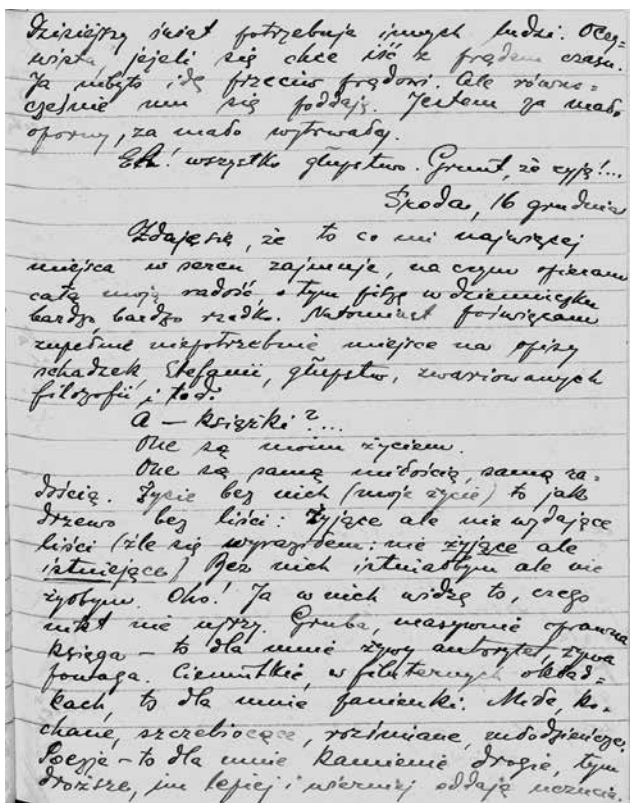
Dziedziliła mu ją dała, bogini nieczysta,

by w niej znalazł miłość, ciało, serce, piersi, dosyt!...

A podobają mi się w ogóle wszystkie postaci. I Janosik (Nędza Litmanowski). I Kostka Napierski. A ten nawet bardzo. Jak pełną realizmu, może nawet za jaskrawa, jest scena jego stracenia. Nieludzkie wrzaski ciała wciągniętego na pal, krew buchająca z podbrzusza i Beata. Beata turląca głowę w rzygające krwią ciało skażaćca. Tego, który chciał chłopów wieść na szlachtę.

Miłość u Tetmajera jest za mocna. Jak najlepsze, najszumniejsze wino. Osoby wszystkie proste jak drzewa w lesie. Dęby, smukłe sosny, potężne buki, skarłowaciałe kosodrzewy. – Ale jaki cudowny język. Jakie w nim tętni życie. Jaki duch.

Może mi się wydawało, ale w czasie czytania *Legandy Tatr* byłem w górach. Wydeptywałem na pół zarosłe ścieżki pod górę. Słońce prażyło powoli, z premedytacją. Na hali zboczyły¹² dzwoneczki, dzwoneczki owiec. A z kosodrzewin doleciał mnie chichot Maryny. Zafalowały przede mną jej piersi, zaszumiały góry!... Hej!...



Piątek, 18 grudnia.

Z Władkiem jest chłodniej. Na pewno. Co dzień przecież przechodził do mnie w ciasnym płaszczu z prostackim uśmiechem. Co dzień zadawał to głupie, niepotrzebne pytanie:

– Co nowego?

– Co? Może Ty wiesz więcej ode mnie.

Ale on wiedział tyle, co ja, tzn. nic. A jeżeli naprawdę coś wiedział – były to sprawy dotyczące kopalni, biura i jego „niezmierzonej” tęsknoty za miłą, najlepszą kobietą, jakiej na świecie w ogóle nie można znaleźć.

A więc teraz nie przychodzi. Mam wrażenie, że z powodu Stefy się to nie stało. Raczej z powodu... płaszcza. A tak. Władek zostawił kiedyś w lecie u mnie jesienno-zimowo-wiosenny płaszcz. W sam raz na mnie. Noszony już. Przebąkiwał coś przy tym, że mi go da. Że kupi sobie inny. Oczywiście, ja zacząłem go nosić, zważywszy, że płaszcz nie miałem. I noszę go po dziś dzień. A on do dzisiejszego dnia nie kupił sobie innego. Nie lubię się mu dlatego pokazywać w tym płaszczu na oczy, bo czuję, iż jest wściekły na swoją „hojność” i że ta wściekłość przenosi się na mnie, na podmiot tej „hojności”. Gdybym rzeczywiście miał płaszcz swój, oddałbym mu ten bez wahania. Przecież ambicja (ta moja bankrutująca w obliczu ciężkiego życia – ambicja)...

A mieliśmy sobie wszyscy troje urządzić w święta porządną ucztę. Władek obiecał sprowadzić z Łańcuta tanich kiełbas, Ryś ofiarował się nagotować herbatę u góry, u Władka. A ja dałem im słowo, że wyjątkowo ten raz upiję się z nimi, „urzną” do nieprzytomności i zadeklamuję im potem parę kolęd w języku ukraińskim. – Zdaje mi się, że to wszystko pozostanie w sferze czczych planów. Zresztą zobaczymy. Może Władek jednakowoż zamówił kiełbasy. I może mimo wszystko będzie mnie chciał upić, bo to przecież tak łatwo (wystarczy dwa kieliszki).

A więc jednak napisałem do Helci list. Dostanie go jutro. Odpowiedzi spodziewam się w najbliższych dniach.

Ludzie starają się być gościnni. I uprzejmi. Starają się mnie częstować wszystkim, co uważają za „esencję” swojej spiżarni.

P. Polusowa postawiła mi kieliszek wina. Domowej roboty – z głogu. Piłem je pierwszy raz. Owszem, smaczne. Nalewała drugi.

– Ja serdecznie dziękuję. Z zasady nie piję. Nawet wina.

– Z zasady tylko, chwala Bogu. Ale człowiek o jednej nodze nie chodzi.

O, ten ostatni argument był dobrze wymierzony. Przecież to jest logiczne, że człowiek chodzi o dwóch nogach. A więc nie ma co oponować. Trzeba wypróżnić drugi kieliszek. Niestety, wino było zbyt ostre. Pomieszało mi się na parę długich chwil w głowie. Zamiast „iloczyn” mówiłem „iloraz”, zamiast „matematyka” – „gimnastyka”. Dziwił się niezmiernie mój uczeń skutkom dwóch głupich kieliszków. No tak, głupich. Bo on przecież wypił ich kilka, a był mimo to zupełnie normalny.

Ale u p. Szymurowej doznałem pocieszenia. A właściwie z ust Hermenegilda:

– Mama panu zapłaci po Nowym Roku.

Chwała Bogu. Grunt, że zapłaci. Czy będziemy liczyć każdą poszczególną lekcję, czy też wręczy mi pewną sumę i powie: załatwione. To drugie jest gorsze. Na pewno mam już u niego blisko dwadzieścia lekcji. Licząc po –70 zł za godzinę¹³, należałoby mi się obecnie około 14 zł. Zda się, że niechętnie pozbędzie się takiej sumy. Bogiem się świadczę, że taniej nie mogę. Mam pełno długu. A czym to spłacić? Owszem, daję smaczne kolacje (tylko to cholerne kakao), ale to jeszcze nie uzasadnia tego, abym miał dawać lekcje za pół darmo. Kochajmy się jak bracia, a rachujmy się jak Żydzi.

Sobota, 19 grudnia.

Jestem wściekły na Rysia. Wszystkiemu winien on. Namówił mnie do wyjazdu do Jaskowic¹⁴. Oczywiście ja płaciłem podróż. Przecież on nie śmierdzi groszem. A ze mną jest również niewesoła sytuacja. Święta na karku, a forsy brak. Ostatniego złotego wydałem właśnie na bilety. – Sprytnym sposobem udało się Rysiowi wywołać Stefę. Mianowicie wziął mój kapelusz i przespacerował się koło jej domu. Pod oknami ci chutko zagwizdął. Stefa to na pewno zauważyła, bo wylała na balkon. Po kapeluszu wzięła Rysia za mnie. Oczywiście prędko się ubrała i wyszła. A Marysia nie przyszła. Tłumaczyła się, że ma robotę. Ale Ryś wziął to za brak dobrej woli i na złość nam wszystkim przyczepił się do jakiejś nawet sympatycznej panienki, która dziwnym trafem również jechała do Czerwionki.

Traktowałem Stefę wyjątkowo bardziej lekceważąco. Zauważyła to.

– Nie podoba mi się ten ton – oświadczyła mi.

– Z powodu?...

– Z powodu to lekceważenie. Ty masz dziwną radość w tym, gdy się możesz ze mną kłócić.

– Może i mam.

Może i mam – dobra. Jestem drań.

– A jutro przyjedź – nachyliła się ku uchu – rodziców nie będzie, wyjeżdżają. Przyjedź, proszę Cię.

– Będę się starał.

Powiedziałem to, ot tak – dla uspokojenia jej. Bo przecież nie mogę do niej jutro pojechać: [1-o, brak pieniędzy na przejazd; 2-o, jutro przypadają jej urodziny, a prezent, który zamierzam jej wręczyć, jeszcze nie jest kupiony. Tzn. jeszcze nie nadszedł, bo zamówiłem go niedawno.]¹⁵

– Nie masz pojęcia – zaczęła prawie szeptem – jaki Ty masz na mnie wpływ. Ja dotychczas nikogo tak nie słuchałam, w nikogo tak ślepo nie wierzyłam, ja[k] w Ciebie. Maryna mi powiedziała, że gdybym tak była słuchała Jarosza, on by mnie na rękach nosił.

Ho, ho, jeszcze co. Ja – nie.

Tylko, Boże mój kochany, takie błoto, jakiego jeszcze nie było. Buty mam cholernie, cholernie zubocone.

Przypisy

1 Skreślono: *Jaskowicach*, nadpisano ołówkiem: *Mokrem*.

2 *Pan Twardowski* (1936), film w reżyserii Henryka Szaro, druga adaptacja baśni po *Panu Twardowskim* (1921) Witolda Biegańskiego. Zagrali w niej czołowi aktorzy międzywojennego kina: Franciszek Brodniewicz (Twardowski), Kazimierz Junosza-Stępowski (Diabeł), Stefan Jaracz (Marcin), Elżbieta Barszczewska (Neta), Józef Węgrzyn (Zygmunt August).

3 Franciszek Brodniewicz (1892–1944), aktor filmowy i teatralny, jeden z głównych amantów w międzywojennym polskim kinie (*Trędowata*, 1936; *Wrzos*, 1938).

4 Maria Bogda (1909–1981), aktorka filmowa, głównie znana z międzywojnia. W czasie II wojny pracowała jako kelnerka, później z mężem prowadziła pensjonat w Zakopanem. W 1961 wyjechała do USA, zaprzestając pracy aktorskiej.

5 *za ślicznie* – nader ślicznie.

6 J. Tuwim, *Biblia cygańska i inne wiersze*, Wydawnictwo Jakuba Mortkowicza, Warszawa 1933.

7 M. Maeterlinck, *Wielka tajemnica*, przeł. F. Mirandola, Wydawnictwo Polskie, Lwów-Poznań 1923.

8 P. Gojawiczyńska, *Ziemia Elżbiety*, Towarzystwo Wydawnicze „Rój”, Warszawa 1934.

9 Właśc. do ‘Szymurowej’.

10 Skreślono: w *Jaskowicach*, napisano zielonym ołówkiem: *dla tej ochronki*.

11 K. Przerwa Tetmajer, *Legenda Tatr*, 2 tomy, wyd. pierwsze 1910–1911.

12 *zbyrczeć* (gwar.) ‘brząkać, brzęczeć’.

13 Czyli: 70 gr za godzinę.

14 Skreślono: *Jaskowic*, napisano zielonym ołówkiem: *Mikołowa*.

15 To, co w nawiasie kwadratowym, zostało w rkp. przekreślone fioletowym ołówkiem.

Turbulencje

Samolot znalazł się nad Wyspami
Kanaryjskimi i zaczął kołysać się
jak krucha łódź na oceanie

falował i zapadał się przepaście
powietrza przez chwilę skazany
na bezwład prawa ciężenia

ludzie przyzwyczajeni do tego
spali w najlepsze albo udawali
że nic szczególnego się nie
dzieje

tylko jeden pasażer wiercił się
niecierpliwie i oczyma
wyobraźni

widział wielkiego Boeinga
pikującego ku falom Atlantyku
i majestatycznie wnিকającego
w głębinę

Nad Wyspami Kanaryjskimi 2022

Buenos Aires

Dotarłem do ciebie miasto jak spóźniony
wędrowiec opuszczający interior
i wnিকający w rewir pędu szumu
i koloru

auta mknęły szerokimi alejami autobusy
wyłaniały się zza domów a generałowie
i poeci na pomnikach bezszelestnie
wnikali w wieczność

patrzyłem na ptaki przefruwające
z platanów na mimozę nie czułem
oddalenia od Europy i ojczyzny
jakbym tu był od zawsze

dotarłem do ciebie miasto choć nie
wierzyłem że kiedyś cię zobaczę
stanę na głównym placu i rozkleję się
jak mały chłopiec

Buenos Aires 2022

La Plata

Tutaj kończą swój bieg dwie rzeki
od wieków splecione w błotnym
uścisku

tutaj Urugwaj i Parana sączą
do Atlantyku brązowy
pył mętnych dali

znad tafli wlatuje albatros
i sonduje dale niczym bóg
ludzkie losy

zanim spadnie na tonie długo
szybuje od Montevideo do
Buenos Aires czujny jak
samo przeznaczenie

patrząc na lśniące estuarium
otwieram się na resztę dni
mojego życia

z dumą patrzę wstecz
i nie boję się tego
co nadejdzie

W Boeingu 747-8 nad La Plata

Przy grobie Evy Perón

Tutaj skończyła się jej podróż życia
piękne ciało w uścisku śmierci
czeka aż zamkną się dzieje

już nic nie jest ważne i nikt
nie zatrzyma ostatecznych
wyroków

bujne włosy lśniące oczy
i uśmiech bogini kruszeją
powoli w bogatej trumnie

Argentyna nie płacze za Evitą
Patagonia i Pampa trwają
w martwej ciszy

ból ciężkiej choroby oddalił się
głosy tłumów ucichły a przy
czarnej kaplicy

snuje się złowrogie
słowo
el fin

Buenos Aires 2022

Cementario de la Recoleta

W Argentynie ludzie budują domy
dla żywych przez całe życie walczą
o dach nad głową i ściany które
odgradzą ich od chaosu świata

W Argentynie ludzie budują domy
dla martwych wznoszą kaplice
piętrowe mauzolea i wstawiają
do nich zdobione złotem trumny

ciała pysznego admirała i polityka
kompozytora boksera wagi ciężkiej
malarza i pisarza maja tutaj wieczny
przytułek

pośród wąskich alejek w obliczu
błękitu nieba i twardości gładów
cichnie wciąż i wciąż wołanie
nowo narodzonego dziecka

gaśnie szept miłosny i ostatni
krzyk przerażenia

Buenos Aires 2022

Wskrzeszenie chwili

Nie wiem jak to się stało barwny
aniele mojej młodości ale nagle
stałaś przy mnie żywa w hallu
hotelowym w Buenos Aires

te same włosy i usta zmysłowe
kształty zielone oczy i smutek
w zapatrzeniu w dal

a przecież jesteś już prochem
wspomnieniem słów i chwil
jaskrawych jak puch kolibra

ten sam uśmiech i matowy głos
i częste ruchy głowy odsuwające
grzywkę z czoła

a przecież stałem nad twoim
grobem i myślą odprowadziłem
cię ku wieczności

tam przy głównej ulicy Buenos Aires
poraziła mnie myśl że może jednak
nie umarłaś

i nie wiadomo w jaki sposób znalazłaś się
w Argentynie znowu młoda i żywa
nie zauważająca mnie obok siebie

może nowy dzień a może jakiś indiański
szaman wskrzesił cię nie mogąc
pogodzić się

z twoim pośpiesznym
minięciem równika
życia

Buenos Aires 2022

Przewodniczka cmentarna

Stara zgarbiona kobieta dogorywa
pośród kaplic i alei miejskiego
cmentarza

prowadzi ludzi do grobu pięknej
Evity i czeka aż zaszeleszczą
dolary peso lub euro w jej
rękach

gdy nadchodzi zmierzch gdy cichnie
gwar i ptaki sadowią się w gniazdach
siada na ławce i myśli o jasnych
chwilach swojego życia

o brodatych mężczyznach w ramionach
i dzieciach rodzonych w bólu i euforii
o wyprawie nad Atlantykę i w góry
Sierra Nevada

unoszą głowę ku górze i widzi jak duchy
i anioły schodzą z monumentów
i z czarnymi demonami śmierci biegają
między grobami

snują pajęczą nić zapomnienia
i mruczą odwieczną pieśń
tęsknoty za życiem

Buenos Aires 2022

Tango argentyńskie

Już jęknął bandoneon i gniewnie
mruknął kontrabas cicho pisnął
fortepian i rzewnie załśniły
skrzypce

ona i on naprzeciw siebie
tacy bliscy i tacy dalecy
dopiero co całował jej usta
dopiero co pieścił smukłe uda

a teraz odpycha go jak natręta
i nuci fałszywie smutną
habanerę umyka ku
tajemnicy fado

ona i on na chwilę spleceni
w miłosnym uścisku
nagle zatrzymani
na miejskim placu

od wieków toczą ten
bój zdradzają się
i tęsknią za jeszcze
jednym

pocałunkiem uściskiem
gorącym jak wirujące
ciała ostatnim
spełnieniem

Buenos Aires 2022



Lekarz i harcerz

Dr Tadeusz Denkowski (1931–2021)

DOROTA JAROSZ z d. DENKOWSKA

JAN RAUCH

Dr n. med. Tadeusz Denkowski, wysoko ceniony przez pacjentów i szanowany przez kolegów lekarzy chirurg dziecięcy, zmarł 19 sierpnia 2021 roku, w wieku dziewięćdziesięciu lat. Po jego śmierci od wielu osób, które miały okazję poznać Go w czasie jego długiego życia, usłyszałam, jak wiele znaczyła dla nich ta znajomość, jak bardzo ceniono go nie tylko za jego wiedzę, umiejętności i doświadczenie zawodowe, ale przede wszystkim za jego wielką życzliwość i wiarę w ludzi. Najczęściej powtarzano, że był prawdziwie dobrym człowiekiem i stanowił dla wielu swoisty punkt odniesienia, wręcz wzór do naśladowania.

Urodził się 05. marca 1931 roku w Ostrowcu Świętokrzyskim. Jego ojciec Władysław Denkowski pracował jako kierownik biura walcowni tamtejszej huty – Zakładów Ostrowieckich, a matka Anna z Baryckich poświęcała swoje siły wychowaniu dzieci i prowadzeniu domu. Był trzecim dzieckiem swoich rodziców, miał dwoje starszego rodzeństwa i młodszego od siebie aż o dziewięć lat brata, którym się opiekował, i z którym szczególną więź zachował do końca życia. Wszyscy oni idąc w ślady swojego ojca od najmłodszych lat należeli do harcerstwa. Mój dziadek wraz z bratem Feliksem już w 1916 roku wstąpił do jednej z pierwszych organizacji skautowych, powstających wtedy spontanicznie na ziemiach polskich – I Drużyny Skautów im. Romualda Traugutta w Opatowie. To właśnie podobne drużyny na zjeździe zjednoczeniowym w Lublinie w 1918 roku powołały do życia Związek Harcerstwa Polskiego

Idealy harcerskie były czymś zupełnie naturalnym w domu rodzinnym. Tato wychowywany był w szacunku dla ludzi, poczuciu odpowiedzialności za innych, przekonaniu o potrzebie opieki nad słabszymi i gotowości niesienia pomocy. Wpojono mu szacunek dla historii Ojczyzny i poczucie wielkiej wartości jaką jest jej niepodległość. Uczono go mądrego patriotyzmu rozumianego jako odpowiedzialność za wspólne dobro jakim jest Polska, praca dla jej rozwoju i dobrobytu, a także gotowość do poświęceń w jej obronie. Wśród takich romantyczno-pozytywistycznych ideałów był wychowany i taki pozostał. W czasach szkolnych i studenckich, które przypadły na czas powojennej, nowej rzeczywistości hołdującej całkowicie odmiennym normom miał szczęście obracać

się wciąż w środowiskach kultywujących te same tradycje. Profesorowie II Państwowego Gimnazjum i Liceum Męskiego w Zabrze, gdzie zdał egzamin maturalny w 1950 roku oraz profesorowie Śląskiej Akademii Medycznej w Rokitnicy gdzie studiował, przynosili w nowe czasy zasady dawnego życia. Byli ludźmi nie tylko dogłębnie wykształconymi, ale też o wysokiej kulturze osobistej i wielu przymiotach ducha. Ze swoim sposobem bycia, postawą etyczno-moralną i odwagą stanowili dla młodych ludzi wzór i życiowy drogowskaz. Tak oto dom, harcerstwo i szkoła kierując się tymi samymi wartościami ukształtowały młodego Tadeusza. On sam twierdził zawsze, że to właśnie harcerstwo jako środowisko najintensywniej ogniskujące wspomniane wartości wywarło na jego życiową postawę największy wpływ. Wybór drogi życiowej – zawodu lekarza, co zupełnie zrozumiałe, był urzeczywistnieniem wyznawanych ideałów. Etos lekarski pozwalał doskonale wcielać je w życie. Zaangażowanie w działalność podziemnej organizacji niepodległościowej było również oczywistym dla niego wyborem. Podjął ją w czasie pierwszego roku studiów. Represje związane z tą działalnością przeżywał jego naukę na cztery lata. Wyrok 10 lat pozbawienia wolności dla wielu byłby nie do zniesienia. On jednak w tak trudnych warunkach potrafił znaleźć w sobie motywację i siły żeby to przetrwać. Więzienie opuścił na mocy amnestii po przesileniu 1956 roku.

Powrócił ponownie na studia lekarskie w Śląskiej Akademii Medycznej. Dyplom lekarza uzyskał w 1961 roku i podjął pracę w Specjalistycznym Oddziale Chirurgii Dziecięcej Szpitala Miejskiego w Gliwicach, gdzie z czasem został asystentem ordynatora – wówczas doktora, później profesora Zbigniewa Tabeńskiego. Jednocześnie pracował w Liceum Pielęgniarstwa w Gliwicach jako wykładowca i lekarz szkolny oraz w przychodniach chirurgicznych na terenie miasta. Na Oddziale Chirurgii Dziecięcej spotkał Edwarda Henka, kolegę z pierwszego okresu swoich studiów, pracującego już wtedy jako asystent doktora Tabeńskiego. Przyjaźń z nim była więzią na całe życie. W 1970 roku otrzymawszy propozycję stworzenia i prowadzenia Oddziału Chirurgii Dziecięcej Szpitala Miejskiego w Bielsku-Białej doktor Henek zaferował młodszemu stażem kolegdzie stanowisko swojego zastępcy. Po prze-

prowadzce na Podbeskidzie współorganizowali oddział, szkolili kadry, a następnie pełniąc funkcje ordynatora i zastępcy prowadzili go, aż do przejścia na emeryturę. Stworzyli nie tylko placówkę zapewniającą leczenie na wysokim poziomie, ale również wspaniały zespół ludzi.

W 1972 roku po uzyskaniu II stopnia specjalisty chirurga dziecięcego doktor Denkowski zorganizował i przez wiele lat prowadził Przychodnię Przychodnię Specjalistyczną leczenia wrodzonych stóp końsko-szpotaowych. W 1981 roku uzyskał stopień doktora w Śląskiej Akademii Medycznej w Katowicach, był ponadto autorem i współautorem siedmiu opublikowanych opracowań naukowych z zakresu chirurgii dziecięcej. Był członkiem założycielem Polskiego Towarzystwa Chirurgów Dziecięcych i przez trzydzieści lat skarbnikiem jego Śląskiego Oddziału, również członkiem Polskiego Towarzystwa Chirurgicznego i Polskiego Towarzystwa Lekarskiego, a za swoją pracę odznaczony został Srebrnym Krzyżem Zasługi. Szczególnie cenił sobie odznakę Przyjaciel Dziecka.

Opowiadając o swojej ukochanej pracy kładł duży nacisk na to, że nie należy rozumieć chirurgii dziecięcej jako chirurgii pomniejszych dorosłych. Dzieci, a zwłaszcza noworodki i niemowlęta to zupełnie inne organizmy. Nie chodzi tylko o skalę ale o to, że czasem nie są całkiem dojrzałe, w pewnych obszarach trudne do odczytania anatomicznie. Na przykład w przypadku operacji stóp końsko-szpotaowych u tak małych pacjentów ogromną trudność stanowi rozpoznanie i wypreparowanie poszczególnych ścięgien i nerwów. Wady wrodzone u noworodków jak np. zarosnięte przełyki to często po prostu brak odcinka, a nawet całego przełyku. Są to specyficzne wyzwania, z jakimi nie spotyka się chirurg ogólny, a ich różnorodność jest niezwykła i zmusza do wiecznych poszukiwań, dając w efekcie ogromną satysfakcję. Specyfika tej specjalizacji pociągała go również z powodu zamięłowania i talentu do precyzyjnych prac manualnych. Tego wymagały właśnie ulubione przez niego operacje stóp, których stopień skomplikowania jest bardzo wysoki, wymaga niezwykłej precyzji i stanowi wyzwanie, które chętnie podejmował, czerpiąc radość i satysfakcję z dawania małym pacjentom możliwości normalnego, niezaburzonego rozwoju i osiągnięcia pełnej sprawności.



Dr Tadeusz Denkowski

Powiedzieć, że praca była jego powołaniem i pasją to zbyt mało. Była jego częścią. Nie wyobrażał sobie bez niej życia, toteż po przejściu na emeryturę w 1997 roku nadal przyjmował małych pacjentów w prywatnych poradniach i wciąż wykonywał drobne zabiegi na Oddziale Chirurgii Dziecięcej Szpitala Chirurgii Małoinwazyjnej i Rekonstrukcyjnej. Dzieci uważał za niezwykle wdzięcznych pacjentów i łatwo nawiązywał z nimi kontakt. Rodzice ufali jego profesjonalizmowi, chyba jednak najwyższej cenili ciepło i serdeczne zainteresowanie jakie okazywał swoim małym pacjentom. Dopiero w 2016 roku, w wieku osiemdziesięciu pięciu lat, z powodu nasilających się kłopotów zdrowotnych zmuszony był zakończyć aktywność zawodową. Wciąż jednak w miarę możliwości pomagał osobom zwracającym się do niego o poradę. Tak też rozumiał sens i sedno lekarskiego powołania – gotowość do niesienia pomocy, a w życiu kierował się przekonaniem, że lekarzem jest się zawsze, nie tylko w określonych sytuacjach.

Podobny stosunek miał do swojej drugiej, a właściwie naczelnej pasji życiowej – był przede wszystkim harcerzem. Powtarzał, że harcerstwo nauczyło go nieustannej pracy nad sobą, wiary we własne siły, doceniania innych i współpracy z nimi oraz szacunku dla przyrody i zachwytu nad nią. Już jako siedmiolatek w 1938 roku wstąpił do Gromady Wilczków w Ostrow-

cu Świętokrzyskim, wojna szybko jednak przerwała tę przygodę. Tuż po wyzwoleniu w 1944 roku powrócił do służby w 1 Drużynie Harcerzy im. Romualda Traugutta w Stalowej Woli, gdzie rodzina spędziła lata okupacji. Służył potem kolejno w 2 Drużynie Harcerzy im. Waleriana Łukasińskiego jako zastępowy i w 4 Drużynie Harcerzy im. Tadeusza Kościuszki – przyboczny. W 1946 roku po przyjeździe na Śląsk, gdzie ojciec Tadeusza Denkowskiego otrzymał pracę w Hucie Pokój w Nowym Bytomiu (ówczesna nazwa dzielnicy Zabrze), wstąpił do 3 Zabrskiej Drużyny Harcerzy im. Tadeusza Kościuszki, w której od 1948 roku aż do likwidacji ZHP w 1950 roku pełnił funkcję drużynowego. W tym czasie uzyskał stopień Harcerza Orlego. Po odnowie harcerstwa na fali odwilży w 1956 roku pełnił między innymi służbę jako instruktor wyszkolenia harcerskiego w Referacie Starszo-harcerskim Hufca Gliwice – Miasto, był organizatorem i współorganizatorem wielu obozów letnich, zimowisk i akcji harcerskich. Otrzymał Złotą Odznakę Instruktorczą Harcerskiej Służby Ziemi Śląskiej, a w 1959 roku Główna Kwatera Harcerstwa mianowała go podharcemistrzem.

Czynną służbę w harcerstwie zakończył w 1963 roku. Po założeniu rodziny i podjęciu pracy druga pasja stopniowo zastąpiła pierwszą, nie starczało czasu na obie. Do harcerstwa wrócił dopiero na emeryturze.

Zaczął się od 2005 roku, w którym przypadała sześćdziesiąta rocznica założenia 3 Zabrskiej Drużyny Harcerzy. Wraz ze starszym bratem Lenkiem, po którym przed laty objął obowiązki drużynowego (kiedy ten zdał maturę i podjął studia), postanowili odszukać dawnych członków drużyny i zorganizować wspomnieniową zbiórkę. W Kozach pod Bielskiem, gdzie moi rodzice mieli domek letniskowy z ogrodem stało się szesnastu druhow by rozpalic harcerskie ognisko, śpiewać, wspominać i przeglądać przywiezione pamiątki i zdjęcia. Bawili się doskonale i czuli się ze sobą tak dobrze, że postanowili spotykać się tak co rok. Wraz z braćmi Lenkiem i Markiem organizowali kolejne zbiórki, zawsze w ciekawych miejscach, gdzie można było coś zobaczyć, zwiedzić, a potem usiąść przy ognisku i powspominać. W 2010 roku uczestnicy spotkań ufundowali pamiątkową tablicę, którą wmontowano w ścianę budynku dawnej ich szkoły, przy której działała drużyna, i gdzie zdali maturę. Opracowali też wspólnie i wydali książkę o historii drużyny, zawierającą zapisy z jej kroniki oraz osobiste wspomnienia jej członków – „Tropem naszej Drużyny”. W siedemdziesięciolecie powstania drużyny, w 2015 roku Muzeum Miejskie w Zabrzu urządziło poświęconą jej wystawę.

Zawsze uważał, że miał w życiu dużo szczęścia. Nawet znajdując się w trudnym położeniu potrafił odnaleźć w nim do-

bre strony i szczęśliwe zbiegi okoliczności. Pisze o tym wprost w swoich wspomnieniach z okresu pobytu w stalinowskim więzieniu, opowiadając o tym jak zawarte tam znajomości pomogły mu, po ukończeniu studiów zdobyć pracę w szpitalu, co wtedy nie było łatwe: „Jakie miałem szczęście, że takie nieszczęście jak więzienie, tak szczęśliwie wpłynęło na moje losy”. Mowa tu o osławionym warszawskim więzieniu mokotowskim przy ulicy Rakowieckiej, gdzie przebywał w latach 1952–1956, w czasach srożącego się reżimu stalinowskiego. Trafił tam z powodu swojej działalności w konspiracyjnej, niepodległościowej organizacji Krajowy Ośrodek „Kraj”. Organizacja składała się z grup dywersyjnych w Warszawie, Poznaniu, Wrocławiu, Gdyni, Lublinie oraz na Śląsku. Poszczególne grupy miały swoje, odrębne kryptonimy – zabrzańska nosiła nazwę „Kalina”. Jego działalność polegała na prowadzeniu akcji propagandowej – tworzeniu ulotek, powielaniu i kolportowaniu ich. Organizacja miała też pion dywersyjny, który dokonał głośnego zamachu na Stefana Martykę, prosowieckiego spikera znienawidzonej, propagandowej audycji radiowej „Fala 49”.

Po tej akcji przeszedł brutalne śledztwo w Pawilonie X mokotowskiego więzienia i został skazany na dziesięć lat. Dla młodego człowieka więzienie, a wcześniej śledztwo było szokiem i ogromnym wyzwaniem, z którym niełatwo było sobie poradzić. Wspominał, że bardzo wiele zawdzięcza bliskiej znajomości jaką zawarł wtedy z Wacławem Felczakiem. Był on jednym z twórców Placówki „W” rządu RP na uchodźstwie, służącej do utrzymania łączności z okupowanym krajem, i w której sam należał do kurierów tatrzańskich. Tato w rozmowach podkreślał zawsze jego ujmujący sposób bycia i ogromną kulturę. Swoim zachowaniem dawał przykład jak organizować sobie czas, skupiając się na zajęciach umysłowych, pozwalających budować w sobie siłę i odporność wobec trudnej, przerażającej rzeczywistości. Stanowił dla młodego człowieka ogromne wsparcie i wzór jak przetrwać gehennę stalinowskiego więzienia zachowując godność. Swojemu szczęściu przypisywał i to, że jako student medycyny okazał się przydatny i z czasem trafił do więziennej pracowni protetyczno–dentystycznej wykonującej zlecenia Polikliniki Ministerstwa Bezpieczeństwa Publicznego. Od tego momentu jego życie jako więźnia funkcyjnego stało się o wiele łatwiejsze. Tam też miał okazję zetknąć się z wieloma znanymi więźniami Mokotowa, a także zarwać przydatne, jak później się okazało znajomości. Zaprzyjaźnił się z doktorem Bronisławem Wieczorkiewiczem, byłym AK–owcem, chirurgiem dziecięcym z Gliwic i przyjaźń tę kontynuowali przez resztę życia, przez kilka lat współpracując też na Oddziale Chirurgii Dziecięcej gliwickiego szpitala. Po latach, wtedy już profesor Wieczorkiewicz, był promotorem pracy doktorskiej Taty. Tam poznał też doktora Feliksa Kanabusa, również AK–owca, powstańca warszawskiego, zasłużonego działacza pomocy Żydom, jednego z pierwszych na świecie odznaczonych medalem Sprawiedliwy wśród Narodów Świata. Dr Kanabus, przedwojenny ordynator chirurgii dziecięcej w szpitalu „Omega” w Warszawie, widząc w młodym studencie potencjalnego chirurga, wyjednał dla niego pozwolenie na przychodzenie do szpitala więziennego i obserwowanie prowadzonych przez siebie operacji. To właśnie oni po latach pomogli młodszemu koledze zdobyć pracę.

W pracowni protetycznej zawarł przyjaźń, a właściwie braterstwo na całe życie z Marianem Tokarzem, byłym AK–owcem, technikiem dentystycznym, od którego nauczył się tajników tego zawodu. Ta serdeczna więź łączyła ich do końca, chociaż nie widywali się często, mieszkając zbyt daleko od siebie. Czując się uprzywilejowanymi wobec innych z racji statusu więźniów pracujących postanowili pomagać współosadzonym, nielegalnie wykonując dla nich nowe protezy zębowe. Już po wyjściu Mariana na wolność Tadeusz trafił za to do karceru na około dwa tygodnie. Dzięki swojemu szczęściu przetrwał i to, bo gdy się rozchorował wyciągnął go stamtąd doktor Wieczorkiewicz, narażając się przy tym na nieprzyjemności i ryzykując utratę pracy. Z racji swojego więziennego zatrudnienia, przez cały okres pozbawienia wolności miał okazję zetknąć się z wieloma znanymi osobami, robiąc dla nich protezy zębowe. Byli to między innymi bp Czesław Kaczmarek, gen. Stanisław Tatar, gen. Józef Kuropieska, gen. Stefan Mossor, a także gauleiter Prus Wschodnich i komisarz Rzeszy na Ukrainę Erich Koch. W więzieniu poznał również legendarnego powstańca warszawskiego – płk Jana Mazurkiewicza – „Radosława”.

W 1956 roku odzyskał wolność na mocy amnestii. W 1992 roku Sąd Wojewódzki w Warszawie uchylił jego wyrok „...albowiem czyny przypisane Tadeuszowi Denkowskiemu związane były z działaniem na rzecz niepodległego Państwa Polskiego.”

Po wyjściu z więzienia przez lata nie mówił nic, albo bardzo niewiele, o tamtych czasach. Dopiero w XXI wieku, kiedy dla rodziny i przyjaciół spisał swoje wspomnienia, poznaliśmy szerzej jego losy i przeżycia. Nigdy nie uważał się za bohatera, twierdził, że jak wielu innych robił po prostu to, co należało, a że później trzeba było ponieść ofiarę? Cóż, inni ponieśli większą. Dość długo namawiano go do wydania wspomnień drukiem. Opierał się, bo nie leżało w jego naturze eksponowanie własnej osoby. Poddał się dopiero w obliczu argumentów o wartości jego wspomnień jako źródła wiedzy o tamtych czasach. Książka nosi tytuł *Moje 1407 dni i nocy w więzieniu mokotowskim. Wspomnienia z lat*

1952–1956 i została wydana w 2020 roku przez IPN Katowice. Opowiada w niej nie tylko o sobie, młodym człowiekiem kierowanym w swoich wyborach ideałami, w jakich został wychowany, o śledztwie, więziennej codzienności ale też o ludziach, których tam spotkał, a były to czasy kiedy wśród zwykłych przestępców osadzeni byli ludzie niezwykli. Wspomina spotkania z nimi podkreślając, że ich postawa, osobowość i przykład pozwalały takim jak on, młodym ludziom przetrwać tamten czas. W 1991 roku, kiedy powstał Związek Więźniów Politycznych Okresu Stalinowskiego natychmiast podjął działalność w jego Oddziale „Beskid” w Białsku–Białej. W 1995 roku otrzymał Odznakę Weterana Walk o Niepodległość, w 1996 Krzyż Więźnia Politycznego, a w 2014 został zaliczony w poczet Korpusu Weteranów Walk o Niepodległość Rzeczypospolitej Polskiej. W 2003 roku wraz z kolegami – harcerzami z lat czterdziestych doprowadził do stworzenia i ustawienia na cmentarzu parafii Św. Józefa w Zabrze monumentu upamiętniającego czterech zamordowanych w mokotowskim więzieniu harcerzy, kolegów z „Kraju”, uczestników zamachu na Stefana Martykę: Leszka Sliwińskiego, Ryszarda Cieślaka, Tadeusza Kowalczyka i Bogusława Pietrkiewicza.

Nigdy nie miał zwyczaju rozpamiętywania złych doświadczeń, uważając to za nieprzyzwoite wobec dużo trudniejszych przeżyć innych osób. Tak było też kiedy spotykał się z podziwem i szacunkiem okazywanym mu z powodu doświadczonych represji. Obruszał się wtedy twierdząc, że jego sytuacja w więzieniu była wręcz komfortowa wobec tego co spotkało jego kolegów i innych, nieznanych mu więźniów tamtego okresu. Był optymistą, każdą sytuację widząc od jej lepszej strony.

Żywo interesował się historią najnowszą. Oczywiście w centrum jego uwagi znajdowała się historia harcerstwa, udział harcerzy w drugiej wojnie światowej, cichociemni, historia powstania warszawskiego. Jego biblioteka pełna jest również publikacji na temat konspiracji powojennej. Historia medycyny, pamiętniki, biografie to były ulubione lektury.

Uważał się za zwykłego człowieka i nie żądał od życia zbyt wiele, toteż nie było w nim zawiści ani zgorzknienia. Pogodę ducha zachował do końca życia, chociaż ostatnie lata nie były dla niego łatwe. Śmierć ukochanej żony i narastające kłopoty zdrowotne, powodujące coraz większe dolegliwości, ograniczające sprawność i samodzielność były ogromnym wyzwaniem. Nie poddawał się jednak i czerpał z życia ile mógł, wciąż głodny nowych doświadczeń i kontaktów z ludźmi. Błyskawicznie postępująca choroba nowotworowa przerwała jego życie w marszu, pośród rozpoczętych działań i planów na przyszłość.

„Odszedł na wieczną wartę” zabierając ze sobą ogromną część swojego świata...

Dziennik zdruzgotanego życia (8)

ANNA GURBICZ, WITOLD TURANT

Nawet jeśli Ukraina będzie dla nas ważna tylko ze względu na nasze bezpieczeństwo, to powinno nam, i to co najmniej z kilku powodów, zależeć na wspieraniu tego kraju. Im silniejsza, im bogatsza, im lepiej rządzona będzie Ukraina, tym większy opór będzie mogła stawić rosyjskiej agresji i tym większej pomocy będzie mogła udzielić swoim sąsiadom, w razie gdyby Putin zapragnął ich także uszczęśliwić swymi wandalskimi wypadami.

Anna Reid:, Pogranicze – podróż przez historię Ukrainy 1988–2015, tłum. Wojciech Tyszka

Te kilka świątecznych dni, to głównie wymiana życzeń, kołęd i uwag o pogodzie. O „białych świątach” oboje możemy zapomnieć. To, co przypomina mi niedawne śnieżne dni, to urwana rynna i brudne, malejące z każdą godziną zwalony śniegu. W Dnipro także zapomniano o bieli. Dominuje szarość, kilometrowe kolejki na przystankach marszrutek i nastroj przygnębienia. Jedynie światełka na choinkach, będące czymś w rodzaju środkowego palca pokazanego najeżdźcy, świadczą o tym, że duch w narodzie nie upada, a co do kołęd, to zwłaszcza jedna mi się spodobała – *Szczedryk*, czyli kołęda dzwonów. Wysłałem w zamian *Bóg się rodzi* w wykonaniu braci Golców.

Tymczasem świat wędrował swoim torem, często niezwykle hałaśliwie, a w Chersoniu czy w Bachmucie wręcz krwało. Ale, jak twierdzą na jednym z filmików ukraińscy żołnierze, *Bachmut ce Ukraina*. Nie widać Rosjan, jedynie z daleka dobiegają odgłosy strzelaniny. Kolejne miasto wzięte. Dla Anny na razie niczego to nie zmieni, choć z pewnością jest to kolejny krok do wyparcia Rosjan z ukraińskiego terytorium. Jednakże każda taka wiadomość umacnia jej optymizm i wiarę w pomyślne zakończenie wojny. Czekam teraz na jej opowieść o Świątach, a zwłaszcza o Wigilii w nietypowym dla niej czasie. Jest już wieczór. Telefon i komputer milczą. Mija kolejny dzień oczekiwania. Powtarzam sobie, że wojna ma swoje prawa i staram się być cierpliwy. Jeszcze jeden dzień milczenia. Dotychczas tak długie przerwy w korespondencji nie zdarzały się, poza tymi kilkoma dniami, kiedy Annie ukradziono telefon, ale wtedy dała mi znać e-mailem. A teraz cisza. Cierpliwość cierpliwością, ale mój niepokój narasta.

29.12.2022. *Niepotrzebnie się martwisz. U mnie wszystko we względny porządku. To znaczy: bardzo często brak prądu i mnóstwo innych kłopotów. Na nic nie starcza mi czasu. Dobra wiadomość jest taka, że dyrektor zakładu, w którym pracuję, kupił generator. Jesteśmy teraz niezależni od sieci miejskiej i możemy w miarę normalnie pracować. Natomiast jest też i zła wiadomość: będzie gorąco – 120 rakiet leci dziś w kierunku Ukrainy.*

Rozumiem, oczywiście. A jednak takie długie okresy całkowitego milczenia zawsze mnie niepokoją. Nic na to nie poradzę. *Przepraszam. Postaram się, żeby to się już nie powtórzyło.* No cóż, sądzę jednak, że się powtórzy i to zapewne nie raz. Trzeba się na to przygotować i brać pod uwagę wszystkie okoliczności. Wszystkie? A cóż ja wiem o tamtejszych okolicznościach?

30.12. *Witaj, mój drogi. U mnie wszystko dobrze. Mielśmy wczoraj atak rakietowy, ale nasza obrona przeciwlotnicza to bogowie, po prostu. Nad ranem przyleciały drony, ale także mogły nas pocałować w dupę. Ci chłopcy z obrony przeciwlotniczej są niesamowici. A dzień u nas dziś przyjemny. Plus 6 stopni.*

U nas też nieźle. Plus 10, trochę słońca i wreszcie ucihł dokuczliwy wiatr. Prognoza na początek roku także dobra. Czy to się przełoży na sytuację ogólną? Byłoby miło, i tego będę Annie życzył. Ale dopiero jutro. Wieczorem Anna pisze:

Jestem bardzo zadowolona. Udało mi się zorganizować noworoczne podarki dla dzieci. Wymagało to w obecnej sytuacji sporo zachodu, ale udało się. No cóż, w portmonetce teraz pułtawo, ale mimo to cieszę się i uważam, że było warto.

Wiem, że dla swoich dzieci Anna poświęciłaby wszystko. Mam nadzieję, że to doceniają i uważają ją za najlepszą mamę na świecie. Oto, co o nich pisze.

Teraz mogę napisać kilka słów. Była bardzo miła rodzinna uroczystość. Moje dzieci są cudowne, zasługują naprawdę na wiele. Są moim największym osiągnięciem życiowym.

Zacząłem jej pisać o moich rodzinnych sukcesach i porażkach, kiedy nagle brutalnie nam przerwano.

Syreny i te ich kurewskie drony. Wiedziałam, że przed Nowym Rokiem nie zostawią nas w spokoju. Idziemy do schronu, wybach.

Co tu wybaczać? I nie ona powinna o to prosić, tylko ten, który nie rozumie ludzkiej potrzeby rozmowy, normalnego życia, bliskości. Za chwilę pewnie wyłączą prąd, szlag trafi internet i zostaniemy nie wiadomo na jak długo rozdzieleni.

1.01. 2023. *Witaj, mój drogi. Szczęśliwego Nowego Roku. Wczoraj Rosja przysłała nam noworoczne życzenia za pośrednictwem dronów. Ale: niech żyje nasza obrona przeciwlotnicza. Nic nie dotarło!*

Tu słoneczny i jak na pierwszy stycznia, niezwykle ciepły dzień. Wczesnym popołudniem termometr pokazywał +16°C. A w Dnipro? Nieco chłodniej, tylko +10°C i także słonecznie. Gdybyż to była zapowiedź tak pomyślnego roku...

2.01. *Dzień dobry. U mnie wszystko dobrze, choć w nocy mieliśmy kolejny atak dronów, ale po raz kolejny nasza obrona zestrzeliła wszystkie. Postaram się wieczorem więcej napisać.*

No to czekam, ale wygląda na to, że nie uda się jej napisać. Przeglądam wiadomości. Nie są złe. Skuteczne ostrzały rosyjskich zgrupowań, ukraińska flaga na Wyspie Potiomkińskiej najprawdopodobniej oznacza odbicie tego ważnego strategicznie punktu, a w istotnych z wojskowego punktu



widzenia miejscach w głębi Rosji, a także na okupowanych terenach spadają ukraińskie rakiety. Do tego dodajmy niepowodzenie rosyjskich ataków na kierunku bachmuckim.

Oczywiście nie daje to pełnego obrazu sytuacji, ale pozwala na pewien optymizm. Anna wie o tym wszystkim i mam wrażenie, że rozpoczyna ten rok w nieco lepszym nastroju. A rosyjska propaganda używa sobie na Polsce i Polakach. W tamtejszych przekazach walczą na Ukrainie tysiące naszych i jeszcze więcej ginie. Andersen z braćmi Grimm do spółki nie wymyśliliby nic lepszego. Anna komentuje to emotką śmiejącą się do łez.

3.01. Dzień dobry, mój drogi. Zaczęłam wczoraj wieczorem pisać list do ciebie, ale byłam tak zmęczona, że zasypiałam przy komputerze. Dokończę dziś. No i co tam wyczytałaś dziś o Ukrainie? No tak, wszystko mniej więcej się zgadza. A te dziwne pożary w Rosji? Oni upierają się, żeby palić papierosy w nieodpowiednich miejscach. Aha, tak, słusznie; dzieci bawiące się zapalkami na beczkach z benzyną to też jakaś plaga u nich. Gdzie są rodzice? Słusznie pytasz.

Nagle w moim telefonie pokazuje się wezwanie do udania się do najbliższego schronu. To przesyła mi Anna, a po pewnym czasie pisze: *No i po krzyku. Nasi zestrzelili całe to latające gównno.* Ulga po obu stronach, a po niedługiej chwili, z wykrzyknikiem: *A jednak, kurwa, nie!!! Znowu nadlatują.*

A ja widzę, że moje słowa otuchy już do niej nie docierają. Zapewne miasto i okolica są już bez prądu. Muszę czekać, aż się znowu odezwie. Tak działa „nowa broń Putina”. Po chwili:

Nic mi nie jest, ale wciąż słycać syreny i ten ohydny dźwięk, dla mnie najobrzydliwszy ze wszystkich w świecie.

Anna przesyła mi dźwiękowego smsa. Słysząc monotonne brzęczenie silnika i odgłosy ognia karabinów maszynowych. Nagle dźwięk się urywa i zapada złowroga cisza.

No cóż, uspokoiło się, ale nie wiadomo na jak długo. Czy można pracować w takich warunkach, żyć?

Następnie przychodzi tzw. GIF z prezydentem Żełenskim, wygłaszającym noworoczne przemówienie u progu 2022 roku i obecnie, sprzed kilku dni. Zmiana wyrazu twarzy, absolutna powaga, ale to samo spojrzenie prosto w oczy narodowi. Odpowiadam Annie, nieco prowokacyjnie, że Ukraina była przez długi czas postrzegana jako dość antysemicki kraj, a tu taka zmiana. Poszczęściło im się z tym prezydentem Żydem. Jeszcze przez chwilę dyskutujemy na temat szkodliwości uogólnień tego rodzaju, aby wspólnie dojść do wniosku, że tak dobrze nam się współpracuje, ponieważ żadne z nas u początków naszej znajomości ani przez chwilę nie pomyślało w ten sposób.

Wystarczy, jeśli ludzi podzielimy na dobrych i złych oraz mądrych i głupich. Ten podział można określić jak naturalny i oczywisty. Dodatkowe etykiety nie mają sensu.



4.01. Cześć, kochany. Niby wszystko dobrze, ale dzisiejszy dzień był dla mnie bardzo ciężki. Rano alarmy u nas i na całej Ukrainie. Później padła elektryczność. A w pracy, żeby mnie dobić, zepsuł się generator, a teraz siedzę i płaczę. No dobrze, użalam się nad sobą. Po prostu zebrało się tyle problemów i emocji naraz... No i taki skutek. Tak, tak – ja wiem, bywają takie dni, kiedy człowiek ma wszystkiego dość, a jutro... zresztą nieważne. Zdjęcie kolejnego wydania „Śląska” z naszym artykułem poprawiło mi nastrój.

Napisałem Annie, że nie znam innego ukraińskiego autora, który tak regularnie, co miesiąc, gościłby na łamach literackiej prasy. Niechże się przestanie zadreć duperelami. Chyba przesadziłem nieco; dla kobiety w jej sytuacji to nie są takie duperеле, ale co tam. Stało się. Może akurat jej to pomoże? Na Twitterze znajduję filmik pokazujący demontaż sowieckiego czołgu-pomnika i wysyłam go Annie. Desowietyzacja i derusyfikacja wydają się zrozumiałe. Jednak Anna nie patrzy na to w tak jednoznaczny sposób.

Szczerze mówiąc, to nie wiem, jak na to reagować. Pomnik upamiętnia generała Juchima Puszkina, bohaterskiego dowódcę obrony Kijowa podczas Drugiej Wojny Światowej. No i rozbiorca pomnika Michaiła Łomonosowa, wybitnego człowieka nauki i literatury. Naprawdę nie mogę zrozumieć, co to ma wspólnego z dekomunizacją czy derusyfikacją.

Odpisuję, że ten problem nie jest mi obcy, ponieważ także zastanawiam się na sensie likwidacji przynajmniej niektórych pomników czy cmentarzy z tamtego okresu. Gdyby ktoś mi powiedział, ilu sowieckich żołnierzy walczyło i ginęło na terenie Polski w latach 1944/5 ze świadomością zamiaru podporządkowania naszego kraju Związkowi Sowieckiemu, byłbym niezmiernie wdzięczny. Obawiam się, że sprawy tego rodzaju nigdy nie będą jednoznaczne. Swoją drogą rozumiem do pewnego stopnia Ukraińców – wojenne emocje nie sprzyjają subtelnym dywagacjom.

5.01. Dzień dobry. U mnie wszystko w porządku. Jestem w pracy. Jakoś to wszystko tu nieźle działa. Kupili potężny, ale na szczęście cichy generator za około miliona hrywien. Chciałam na dobry początek roku wydebić jakąś zaliczkę, ale nic z tego. Firma wykosztowała się na ten generator. Trudno. Tragedii jeszcze nie ma. Dzieciom na śniadanie przygotowałam dziś pyszną kaszkę gryczaną i nawet trochę słodyczy, a ja nie jadłam śniadań. Wczoraj byłam w podłym nastroju. Czulałam się zmęczona i byłam przygnębiona. Nic tylko położyć się i umrzeć. Rano obudziłam się i pomyślałam, że jeśli umarła, zawiodłabym dzieci, a jeden facet w Polsce pewnie by się wkurzył, że nie zrobię już tego, co wspólnie zaplanowaliśmy. I przeszło mi. Muszę walczyć dalej. Kropka.

Oglądałam teraz filmik przysłany przez Annę, na którym patriarcha Moskwy błogosławi wojsko. Interesujące jest to, że nie znakiem krzyża, lecz „Z”. Czy chrześcijaństwo zna taki symbol? I czego miałby on dotyczyć? Oboje śmiejemy się, że widocznie naoglądał się „Zorro” w telewizji. Tymczasem Rosja ogłasza zawieszenie broni na czas prawosławnego Bożego Narodzenia (7 stycznia). Anna trochę w to wątpi, ale oboje chcielibyśmy, żeby okazało się prawdą, a nie przykrywką dla wzmocnienia sił inwazyjnych.

6.01. Miłego świętowania, mój drogi. Moja siostra pracowała przez jakiś czas w Polsce, w Szczecinie, i opowiadała mi o tym święcie. Nie za bardzo wie, o co w tym chodzi, ale wspominała, że uroczystości były bardzo widowiskowe. Ja dziś pracuję, ale jutro, po dawnemu będę obchodzić Boże Narodzenie. Zawieszenie broni? W cholere z takim zawieszeniem broni. Mamy ostrzeżenie, że samoloty wystartowały z Białorusi, a teraz alarm lotniczy dla całej Ukrainy. To



światowy rekord hipokryzji. Co? Tak, schowamy się za dwiema ścianami. Trzeba to przeczekać. Piszesz, że cały świat kpi z tego zawieszenia broni? Czytasz o ich ogromnych stratach – no cóż, jeśli założyć, że dzieci znajdujemy w kapuście, to nic takiego: jutro się pójdzie i znajdzie nowe. Aha, jeszcze jedno – Pieczerską Lawrę przejęło od Prawosławnej Cerkwi Patriarchatu Moskiewskiego nasze państwo. Czekaaliśmy na to latami.

8.01. Witaj, mój drogi. Jestem w pracy, ale jak widzisz, piśsz. Obchodziliśmy wczoraj Boże Narodzenie według starej tradycji. Jak ja kocham te święta. Jednak najlepszą ich częścią było to, że mogłam się wreszcie porządnie wyspać. Dziś u nas spokojnie, w każdym razie do tej pory. Za oknem minus dziesięć stopni i okrutny wiatr. Nasz wywiad informuje, że na dziś lub jutro przewidywany jest zmasowany ostrzał. Uderzają w infrastrukturę, kiedy temperatura spada. W Kursku Rosjanie mieli dziś w nocy minus dwadzieścia dwa i awarię sieci energetycznej. Ciemno i brak ogrzewania. Mieli okazję przekonać się, jakie to miłe. Ktoś przeciążył sieć? No, zapewne, i znając skuteczność naszych, przeciąży jeszcze nie raz.

Tymczasem na froncie zaciekle walki, jak informują media. Na niektórych odcinkach niewielki postęp Rosjan, a na innych Ukraińcy odnoszą sukcesy. Ekspertci przewidują, że choć niskie temperatury dokuczają jednej i drugiej stronie, to Ukraińcy odniosą większą korzyść, bo będą mogli wprowadzić do walki więcej ciężkiego sprzętu.

9.01. Dziś nie będę pisać zbyt dużo. Co jakiś czas wyłączają energię i każdą chwilę z prądem chcę wykorzystać na gotowanie, pranie i inne domowe prace. Przykro mi, ale tak musi być.

No i tak jest, przynajmniej do tej pory, to znaczy do południa kolejnego dnia, a smsy po prostu nie dochodzą. Czytam wiadomości. Wszędzie po staremu: politycy rozważają, dyskutują, uzgadniają, a żołnierze na froncie giną. W mediach spekulacje i dywagacje ekspertów. A na froncie dwucyfrowe wskazania termometrów ze znakiem ujemnym, co zarówno szkodzi, jak i pomaga... marzeniom o ciężkim sprzęcie – czołgach, wozach bojowych, wyrzutniach rakiet, samobieżnych działach.

10.01. Zimno dzisiaj. Jestem w pracy i marzną mi ręce. Palce jak sople lodu. To zimno mnie po prostu wykańcza. Jest wszechobecne: na ulicy, w pracy, w domu. Dlatego czuję się jeszcze bardziej zmęczona. Aha, wiesz co? Przydałoby się jeszcze trochę świec, jeśli to nie kłopot. Podzieliłabym się z rodzicami. I może jakiś krem do rąk. Po tych mrozach będą jak tarka.

Bachmut, Soledar – to w ostatnich dniach miejscowości symbole zmagania z Rosją. Tak zapewne jeszcze przez jakiś czas będzie, ponieważ obie strony przywiązują do obu tych miejsc znaczenie zarówno strategiczne, jak i uczyniły z nich znak swojego prestiżu. Skutek? Po obu stronach

bardzo liczne zgrupowania wojsk i uzbrojenia. Dodatkowo wściekły mróz atakuje Rosję, dając się także we znaki Ukrainie.

12.01. Cześć. Wczoraj miałam wolne, ale co z tego, kiedy te black-outy nas po prostu wykańczają. To jakiś koszmar. A jednak jeśli temperatura podnosi się choć o kilka stopni, to już jest jakaś ulga. Jak na razie dają nam spokój, ale już mamy zapowiedzi masowego ataku rakiet i dronów w ciągu najbliższych 24 godzin.

13.01. Sytuacja w mieście jest dramatyczna. Przejmując zimno, ciemności i ataki z powietrza. Nie to jest jednak najgorsze. Dziś rano, kiedy odezwały się syreny byłam świadkiem, jak mężczyzna rzucił się z dachu wysokiego budynku. Takie rzeczy zdarzają się niemal każdego dnia. Ludzie nie wytrzymują tego psychicznie. Wczoraj pewien człowiek popełnił samobójstwo, zostawiając kartkę z jednym zdaniem: nie mogę już dłużej żyć bez nadziei na pokój. Często są również napady, grabieże i morderstwa. To wszystko i brak środków do życia sprawia, że ludzie się załamują, nie wytrzymują presji sytuacji. Powiem ci szczerze, że gdyby nie dzieci i odpowiedzialność, jaka na mnie ciąży, nie wiem, co by ze mną było. Ja także mam tego serdecznie dosyć, ale wiem, że muszę się trzymać i jak na razie jakoś mi się udaje. No tak, mam być jak betonowy most, po którym moje dzieci dotrą do przyszłości. Jasne. Tylko jak to zrobić i skąd mam brać siły? Możesz mi nie wierzyć, ale świadomość, że gdzieś daleko w Polsce jest ktoś, kto wierzy, że mi się uda i że robimy coś sensownego wspólnie, także ma znaczenie. Ale co ma powiedzieć ktoś samotny? Boże, jak mi się to wszystko już przejadło. I tak mi żal tych nieszczęśliwych ludzi, którzy odbierają sobie życie.

18.01. Dziś kolejna straszna wiadomość. W pobliżu Kijowa runął helikopter. Na pokładzie był minister spraw wewnętrznych, jego zastępca i sekretarz stanu. Maszyna spadła w pobliżu przedszkola, w którym już były dzieci. Kilku z nich zostało rannych. Mój Boże, kiedyż się to wszystko skończy? Czy to był wypadek? Wątpię. A w Moskwie ludzie zaczęli przynosić kwiaty pod pomnik Łesi Ukrainki, by uczcić pamięć zabitych w raketowym ataku na Dnipro. Oczywiście wszystkich natychmiast aresztowano... Być może powinni być wdzięczni, że od razu ich nie zastrzelono! Cieszę się, że znaleźli się tam ludzie, którzy dostrzegają prawdę i musieli być rzeczywiście odważni, by pójść z tymi kwiatami.

Także ich podziwiam, bo doskonale wiedzieli, co ich czeka.

Muszę przyznać, że czuję się zmęczona, nie tyle fizycznie, co psychicznie. Wiesz, wciąż syreny, złe wiadomości, jak ta dzisiejsza. Człowiek rano się budzi i nie wie, czego ma się spodziewać. A ostatnio zdarzyło mi się coś bardzo nieprzyjemnego. Obudził mnie w nocy odgłos wybuchu, bardzo realny. Wyskoczyłam z łóżka przerażona i uświadomiłam sobie, że to tylko w mojej głowie. Żadnego wybuchu nie było. Oszałeć można.

To objaw dolegliwości, która nazywa się stresem pourazowym, lub w przypadku Anny czymś w rodzaju zmęczenia bitewnego. W każdym razie niepokojące.

Nie martw się o mnie. Wiem, że to się kiedyś skończy i że doczekam tego dnia. Już ci kiedyś pisałam, że jestem silna ukraińska baba i tyle co mnie nie zmoże. No i masz! Teraz znówu pieprzone syreny. Ooo! Ale ładną wiązankę im posłałam. Nie, nie musisz się obawiać, że wkrótce nauczysz mnie kląć, jak szewc (polski). Po pierwsze, umiem, a kiedy trzeba potrafię też konwersować elegancko. Tak sądzę. ■

Zdjęcia nadesłane przez Annę Gurbicz

Wołoski książę

ZBIGNIEW MASTERNAK

Wieczorem w cieszyńskim oddziale „Krytyki Politycznej” miał się odbyć pokaz filmu „Księstwo”. Przyjechaliśmy z Renatą pociągiem wcześniej rano. Było dużo czasu, więc postanowiłem się wybrać do Vsetína. Vsetín, a w zasadzie cały region – Wołoszczyzna Morawska – interesował mnie ze względu na swoją historię, bo zamieszkiwali go potomkowie Wołochów.

Renata została w hotelu – poszła spać, zmęczona po całonocnej podróży pociągami, z przesiadką w Warszawie i Katowicach. Rozumiałem to. Nie zawsze była w stanie wytrzymać tempo, które narzucałem. Żartowała, że jestem turystą przygranicznym – gdy tylko znalazłem się opodal granicy, starałem się ją przekroczyć i zobaczyć, co jest tuż za nią.

Przeszedłem na stronę czeską przez most nad Olzą w Cieszynie. W kasie na dworcu kolejowym w Czeskim Cieszynie kupiłem bilet przesiadkowy – nie było z tym problemu. Ale kiedy wsiadłem do pociągu i zapytałem konduktorki, czy zdążę się przesiąść na dworcu w miasteczku Frydek-Mistek, ta odrzekła wściekle, że nie musi rozumieć po polsku. Było to o tyle dziwne, że wiele miejscowości w okolicy nosiło oprócz czeskich także polskie nazwy. Był to Śląsk Zaolziański, kiedyś sporne terytorium pomiędzy Polską i Czechami. Istniała tutaj mowa bardzo podobna do polskiej – gwara śląska. Wielu tutejszych było z pochodzenia Polakami. W Czechach funkcjonowały polskie szkoły. Tutejsi nauczyciele zarabiali dużo więcej, niż ich koledzy w Polsce. Polscy pedagodzy wsiadali na rowery albo do aut, przejeżdżali przez graniczny most i pracowali w czeskich szkołach, gdzie uczyli po polsku.

Uwielbiałem czeską kolej, słowacka była także niezła, w końcu przez długi czas stanowiły jedność, były na takim samym poziomie. Naszym liniom regionalnym dużo do nich brakowało.

Kiedyś cały Śląsk Cieszyński i pobliska Żywiecztyna były zamieszkałe przez wołoskich pasterzy. Dopiero założenie huty w Trzyńcu doprowadziło do tego, że pasterstwo zaczęło zanikać. Rozwój tych ziem poszedł w kierunku przemysłowym, i po polskiej, i po czeskiej stronie. Po obu stronach granicy działały przez długi czas kopalnie i huty, które w ostatnich latach mocno podupadły.

Przejechaliśmy przez Trzynieć, gdzie istniał bardzo dobry klub hokejowy Ocelari. Grał w nim Polak Aron Chmielewski. Aron początkowo słabo sobie radził, jak przeniósł się tutaj z Cracovii, ale w końcu stał się ważną postacią drużyny, z którą zdobywał medale mistrzostw Czech.

Jednak kiedyś mistrzem był Vsetín, który zbankrutował. Powoli się jednak odbudowywał. Drużyna z Vsetína zdominowała czeską ekstrakligę w latach 1995–2001, w ciągu siedmiu sezonów zdobywając sześć tytułów mistrza kraju oraz raz przegrywając w finale.

Dotarłem do miasteczka Frydek-Mistek, gdzie miałem pierwszą przesiadkę. Kiedyś to były dwa miasteczka, oba miały duże znaczenie historyczne. We Frydku także działał klub hokejowy, Chmielewski był tutaj kiedyś na wypożyczeniu. W rozwoju zawodnika ważne były właściwe wybory. Myślałem o moim synu. Niedawno wygrał Bieg Solidarności we Lublinie – jako pięciolatek, w kategorii Skrzat. Rok temu był drugi – jako czterolatek, w kategorii Bobas. Zaczął grać w piłkę, jak miał półtora roku. Wiktor rósł na silnego chłopca, miał wiele spośród moich dobrych cech. Oby nie zepsuły się z wiekiem. Nie chciałem robić z niego takiego cyborga, jakim w pewnym czasie stałem się ja. Dobrze się uczyłem, nieźle grałem w piłkę. Ale w pewnym momencie wszystkiego mi się odechciało i nie robiłem niczego oprócz czytania książek. Ostatecznie, to właśnie literatura mnie uratowała przed całkowitą degrengoladą. I znajomość z Renatą. To była świetna partnerka – bardzo mi we wszystkim pomagała. Mimo że to głównie ja zajmowałem się utrzymywaniem rodziny, to jednak cały czas mogłem liczyć na jej pomoc, na przykład przepisywała nagrania wywiadów do książek.

Byliśmy przyzwyczajeni do ciągłych zmian, zmiany to był dla nas pewnik. Do tego przyzwyczał się także Wiktor. Cały czas gotowy do przemian.

Następny po Frydku był Radhost. Wiele było takich nazw na terenach słowiańskich, najsłynniejsza była Radogoszcz, wymieniana również jako *Radegost lub Riedigost* – centrum kultu Radogosta-Swarożycza oraz główny ośrodek polityczny Związku Wieleckiego, leżący na terenach plemienia Redarów. Była to najważniejsza świątynia słowiańska, nie tylko na Połabiu. Bardzo powszechną nazwą na ziemiach słowiańskich była Koprzywnica. W Polsce leżała pod Sandomierzem. W Czechach istniało miasteczko Koprivnice. Na Słowacji Koprivnica to była wieś koło Bardjeova. Koprivnicę, małe miasteczko, można było spotkać w Chorwacji. A jak ktoś wracał z Chorwacji przez Słowenię, to mógł minąć Koprivnicę, która leżała w gminie Krško.

W końcu dojechałem do Vsetína. To był Zlínský kraj. Niedaleko stąd znajdowała się Słowacja, a tam – Zilina. Zilina, Zlín – były tutaj dobre zespoły hokejowe. Morawska Wołoszczyzna. Pasterze wołoscy z czasem wymieszali się z żywiołem słowiańskim. Zachowali jednak swoje tradycje. Wołosi kiedyś wiele znaczyli w tym terenie.

fot. Tomasz Bienenek



Graniczny most na Olzie w Cieszynie – widok na polską stronę miasta

W średniowieczu istniało Hołspodarstwo Wołoskie. Teraz istniała Rumunia i Mołdawia, ale silne wpływy Rumunów były także w Słowacji, Ukrainie, Grecji, Macedonii. Ten lud odcisnął znaczące piętno na całej okolicy. Kiedyś istniał projekt Wielkiej Rumunii. Podobnie jak istnieje projekt Wielkich Węgier, ciągle przypominany przez Orbana. Orban promował przez piłkę nożną ideę Wielkich Węgier. Nie tylko stworzył i rozbudował świetnie funkcjonującą Akademię Puska. Dotował przez państwowe koncerny węgierskie kluby mniejszości węgierskich w różnych krajach w Słowacji, Rumunii, Serbii, Chorwacji. Te kluby zdobywały puchary, odgrywały dużą rolę w krajach.

Chodziłem po Vsetinie. Byłem swego czasu pod Nowym Sączem. Istniały tam całe wioski, gdzie ludzie mieli smagłą cerę, zgrabne sylwetki, zupełnie inne od słowiańskich rysy twarzy. Byli to potomkowie Wołochów, których osadnictwo sięgało bardzo daleko, aż po Morawy. Szukałem ich potomków wśród mieszkańców Vsetína.

Zrealizowała się w tym miejscu nieprawdopodobna ambienta. Klub z niewielkiego, liczącego niewiele ponad dwadzieścia tysięcy mieszkańców miasteczka zdetronizował zespoły z Pragi, Brna, Pilzna i Ostrawy. Coś podobnego przytrafiło się na mniejszą skalę w Polsce, kiedy to rozgrywki zdominowała drużyna z Sanoka. W obu przypadkach skończyło się bankructwem i mozolnym odbudowywaniem pozycji.

Myślałem o tym. Przecież sam mierzyłem dużo wyżej, niż byłem do tego przypisany. Vsetin zaczynał od samego dołu. Z trzeciego poziomu rozgrywek udało się z czasem awansować do pierwszej ligi (drugi poziom), była realna szansa na awans do Ekstraligi.

Vsetin dzięki hokejowi wypromował swój region. Poziom hokeja w Czechach był jednym z najwyższych na świecie. Czesi mieli wielu fenomenalnych hokeistów, Jaromir Jagr był jednym z moich ulubionych. Bardzo długo był czynnym zawodnikiem. Ja także chciałem grać w piłkę nożną jak najdłużej, reprezentować drużynę polskich pisarzy. W Czechach prawie w każdej wsi obok boiska piłkarskiego znajdowało się boisko do hokeja. Kiedyś zalewano go wodą, zamarzało i można było grać. Teraz było o to trudno, bo zimy były małomroźne. Podobnie było na Słowacji, to było kolejne wspólne dziedzictwo obu połączonych kiedyś w jeden organizm krajów. Czesi lubili Słowaków, ale chyba lekko gardzili Polakami, może za najzad w 1968 roku.

Lubiłem w hokeju jego tempo i nieprzewidywalność. Kiedyś obstawiałem hokeja w zakładach bukmacherskich, byłem mocno uzależniony. Potrafiłem przegrać honorarium za spotkanie autorskie. Gorzej przez to pisałem, bo skupiałem się na śledzeniu w komputerze wyników meczów zamiast na pisaniu. Cóż, każdy ma jakąś słabość. Mogłem być na przykład ćpunem albo alkoholikiem, mogłem być palaczem. Byłem hazardzistą.

Kraina była górzysta, w odróżnieniu od płaskich okolic Ostrawy. Nic dziwnego, że jedyne, co przez długi czas tutaj funkcjonowało, była hodowla owiec i kóz, było to główne zajęcie Wołochów. Określenie *Vlach* wywodziło się germańskiego słowa oznaczającego „obcy”, było używane jako określenie człowieka posługującego się obcym językiem. Po Germanach słowo odziedziczyli Słowianie. W języku polskim funkcjonowało słowo „Włoch”.



Słowacki pociąg jadący od strony Czadcy na Słowacji do Mostów k. Jablonkova po czeskiej stronie na czesko-słowackiej granicy

Wszedłem do baru piwnego. Bary piwne w Czechach miały długą tradycję, nierozzerwalnie związały się z kulturą czeską. Usiadłem tyłem do kontuaru, opierając się na nim łokciami jak kowboj. Zamówiłem piwo, był to Radegast.

Obstawianie dla hazardzisty jest jak pierwszy kieliszek dla alkoholika. Wcześniej czy później osoba uzależniona traci kontrolę i wraca do grania. Jeśli człowiek przekroczy niewidzialną linię nieodpowiedzialnej gry – nigdy już nie będzie w stanie utrzymać kontroli. Nie wolno grać. Nawet jak człowieka ciągnie. Skutki zawsze są przykre. Dawna obsesja nieuchronnie powraca. Człowiek ma wybór: wybiera drogę hazardu, czyli ryzykuje stopniową rozpieczętowanie swojego życia lub zaprzestaje grać i wraca na lepszą ścieżkę życia. Żeby wyłeczyć się z najbardziej zdradliwego i trudnego do pozbycia się nałogu, musiałem w to włożyć solidny wysiłek.

Kelnerka miała na imię Karolina, była smagłolica, szczupła. Opowiadała o swoich ziomkach, Wołochach. Wielu Czechów posiada ciemną karnację. I o ile można by myśleć, że to potomkowie Cyganów, których tutaj także dużo, to raczej są to potomkowie Wołochów. Milan Baros, świetny czeski piłkarz o ciemnej karnacji, urodził się w Valaskiem Mezerici. Może jego korzenie były właśnie wołoskie, a nie cygańskie?

Do Wołoszczyzny Morawskiej zalicza się dziś w przybliżeniu tereny powiatu Vsetín i części powiatu Zlín z miastem Valašské Klobouky. Granice regionu nie są jednoznacznie określone, ponieważ zależą od przyjętego wyznacznika. Dziś jest nim najczęściej poczucie tożsamości regionalnej mieszkańców, dawniej określano je na podstawie języka lub głównego zajęcia.

Słabo nadające się do rolnictwa górskie tereny północno-wschodnich Moraw były rzadko zasiedlone. Dopiero w XVI wieku w toku kolonizacji wołoskiej w całych północno-wschodnich Morawach powstała gęsta sieć osad pasterskich lokowanych na prawie wołoskim.

Moja fascynacja Czechami zaczęła się od wizyty w Karlowych Warach. Czechy okazały się tylko pozornie prostym krajem, z którego można drwić w niewybrednych dowcipach. Społeczeństwo było dość złożone – odcisnęły się na nim wpływy niemieckie, węgierskie, radzieckie. Każdy z okupantów/zaborców coś po sobie zostawił, zwłaszcza w mentalności tubylców.

Od tej pory jeździliśmy do Czech zawsze, kiedy tylko mogliśmy. Wykorzystywałem każdą szansę, żeby tylko przekro-

czyć granicę – jak tylko miałem spotkania w okolicy Kudo-
wy-Zdroju, Czeskiego Cieszyna, Lubawki, Nowej Rudy, za-
wsze przekraczałem granicę.

Skład etniczny ludności osiadłej na Wołoszczyźnie Mo-
rawskiej jest sporny. Obecnie przyjmuje się, że tworzyli
go przede wszystkim Słowianie, a tylko w części Wołosi.
Było to skutkiem tego, że Wołoszczyzna Morawska zosta-
ła zasiedlona w końcowej fazie kolonizacji wołoskiej, gdy
ta sięgnęła głęboko w ziemie słowiańskie, pociągnąwszy
za sobą licznych Słowian z podnóży Karpat.

Z początku Wołosi zachowywali odrębność prawną i et-
niczną, lecz w stosunkowo krótkim czasie doszło do zlania
się ich z miejscową ludnością morawską. Śladem odrębno-
ści pozostała kultura ludowa regionu i specyficzny dialekt.

W Rožnovie pod Radhoštěm znajdował się skansen „Va-
lašské muzeum v přírodě” prezentujący ludową kultu-
rę materialną regionu. I tam się udałem na koniec mojej
wyprawy, bo musiałem wracać do Cieszyna na wieczorny
pokaz „Księstwa”.

Po drodze ciągle rozmyślałem o Wołochach. Silnie
zasymilowane ludy wołoskie do dziś zamieszkują Tesa-
lię (gdzie podczas II wojny światowej próbowano utwo-
rzyć arumuńskie państwo – Księstwo Pindosu), Epir i Ma-
cedonię. Asymilacja wynikała z braku własnego państwa
i z intensywnego ograniczania kultury wołoskiej przez
powstające od XIX wieku mocno nacjonalistyczne państwa.

W XIX wieku z połączenia księstw wołoskiego i mo-
dawskiego powstało pierwsze nowożytnie państwo wo-
łoskie – Rumunia, do której przyłączono później zasiedlone
również przez Rumunów Dobrudżę, Siedmiogród i Banat.

Najczęściej utożsamiano Wołochów z Mołdawią, ale na
folklor i tradycję składały się także elementy rumuńskie,
albańskie, serbskie i bułgarskie. Na tutejszych stokach gór
znaleźli doskonałe warunki do wypasu stad. W końcu część
Wołochów porzuciła pasterstwo i zaczęła zajmować się rol-
nictwem. Połacie lasów poddawano karczunkowi, powsta-
wały nowe wsie, zakładane na tak zwanym surowym korze-
niu. Rychło w organizacji osad zaczęło dominować proste
i jasne prawo, zwane wołoskim. Na czele wsi stał książ (od-
powiednik sołtysa) sprawujący nad osadnikami władzę są-
downiczą oraz ściągający daniny i czynsze (w postaci dzie-
sięciny z owiec i sera). Czasami kilka wsi tworzyło krainę.
Na czele każdej z nich stał krajnik, zw. wojewodą wołoskim.

Wołosi byli na ogół wyznania prawosławnego. Cha-
rakterystyczną cechą jest upodobanie do świętego Dym-
itra. Przy lokacji wsi na ogół była też budowana cer-
kiew wraz z uposażeniem, zwykle w centrum osady. Cer-
kiew była zależna od kniazia, który dysponował jej do-
brami i osadzał popów.

Długi czas te tereny żyły własnym życiem, rozwijały
się głównie dzięki wycince drewna oraz pasterskiej ho-
dowli bydła i owiec. Wołosi posiadali również swoje eli-
ty, piśmiennictwo – w XVIII wieku wydawane były ga-
zety w języku wołoskim, kulturę, politykę.

Dotarłem do skansenu, który tworzyły cztery części:
Drewniane miasteczko, Wołoska wieś, Młyńska dolina
i obszar Pustevny na grzbiecieniu Beskidów, około dwa-
dzieścia kilometrów od Rožnova pod Radhoštěm.

Najstarsza część, czyli **Drewniane miasteczko**, znaj-
dowała się w zamkniętej przestrzeni niegdyśszego
uzdrowiska. Drewniane miasteczko reprezentowało styl
miast wołoskich sprzed 100 – 200 lat. Najstarszą budowlą
jest ratusz z XVIII wieku, który został tam przeniesiony
z rožnowskiego rynku razem z kamienicą Billa. Można
tu było znaleźć również gospodę u Vaška, dom sołtysa
z miejscowości Velkie Karlovice oraz kopię późnogoty-
ckiego kościoła św. Anny z Větrkovic z połowy XVII wieku.

Obszar budynków wodnych **Młyńska dolina** rozpoście-
ra się na łące wokół napędu wodnego. Maszyny spraw-
ne po dziś dzień potrzebują bowiem wody, by pracować.
Mogłem zobaczyć, jak przed stu laty i więcej mielono
mąkę, wytłaczano olej, tkano sukno, jak pracował wę-
glarz i wielu innych rzemieślników.

Z Młyńskiej doliny przeszedłem do **Wołoskiej wsi**, któ-
ra rozrasta się na Karlowym wzgórzu od 1962 roku. Był
to kompleks około 30 chałup pochodzących przeważnie
z Morawskiej Wołoszczyzny. Po wsi kręcił się mężczyz-
na po trzydziestce, przebrany w strój wołoskiego knia-
zia. Wyglądał jak czeski piłkarz Milan Baros.

W niewielkim sklepiku kupiłem lokalny przysmak, ja-
kim był frgal. Był to okrągły placek z orzechami, owoca-
mi i dżemem. Miał to być prezent dla Renaty. Zapłaci-
łem w koronach, w odróżnieniu od Słowacji Czechy nie
weszyły do strefy euro.

Patrzyłem na wioskowe zabudowania. Były zupełnie
inne niż te zgromadzone w Tokarni pod Kielcami, za-
budowania z mojej rodzinnej
ziemi świętokrzyskiej. Moją
wieś w filmie „Księstwo” od-
tworzały Psary-Podłazy, spod
Bodzenty.

Oprócz majątków gospodar-
czych można było ujrzeć młyn
wietrzny, kuźnię, dzwonnice,
ogródki, pasące się owce, by-
dło i drób. W górnej części wsi
nie stała **Jurkovičova wieža wi-
dokowa**, wzniesiona na pod-
stawie stuletnich oryginalnych
planów autorstwa słowackiego
architekta Dušana Sámo Jur-
koviča. Została zbudowana ze
stuletnich świerków.

Kiedy wychodziłem ze wsi,
drogę zastąpił mi wołoski książ,
który wyglądał jak Milan Baros.

– Zapomniał pan frgala! –
wręczył mi torebkę z ciastem.

Podziękowałem i poszedłem do
pociągu. Milan Baros w wołoskim
stroju odprowadził mnie wzro-
kiem. ■



Rynek w Żylinie.



JAN MIODEK

Skuli, skiś, bez to

Zwierzyłem się w jednym z ostatnich Złocinków, że do moich ulubionych śląskich słów należy *naschwoł* – „umyślnie, celowo”, wplatanie nawet do wypowiedzi, które kierują do znajomych nie-Ślązaków. Do listy tej mogę na pewno dołączyć *skuli* (*czegoś, kogoś*) – „z powodu czegoś, z powodu kogoś; przez coś, przez kogoś”: „*Skuli ciebie my sie spóźnili na autobus*”, „*Tyn wypadek bół skuli tego pijoka*”, „*Skuli czego mosz te blazy na rynekach i nogach?*” (Bożena Cząstka-Szymon, Jerzy Ludwig, Helena Synowiec: „Mały słownik gwary Górnego Śląska”, Katowice 2000, s. 226).

Fascynuje mnie też bogactwo form wariantywnych. Obocznymi postaciami owego *skuli* są przecież jeszcze *skwoli*, *skróni*, *skróny*, *skirz*, *skirsz*, *skyrz*, *skiyz*, *skiyz*, *skisz*, *skiś*, *skiryż*, *bez to*, *bez tóz*: „Skróni ciebie to zrobią”, „Skirsz ciebie się to stało!”, „Bolóm mie kości skisz tyj pogody”, „Skiś cego jo tak ciyrpia?”, „Dyc bez tóz ci to godóm, co by my nic nyy loszydziyli!” („Mały słownik...”, s. 15, 224, 225).

W mojej leksykalnej pamięci na czele tej rozbudowanej listy frekwencyjnej znajdują się *skuli*, *skiś* oraz *bez to* i jest to z pewnością odbicie tarnogórskiego stanu językowego lat mego dzieciństwa i młodości. Ostatni wariant, muszę dopowiedzieć, odnosi się, oczywiście, do *czegoś*, a nie do *kogoś* („bez to nyy pojecholech na mecz”) i był także potwierdzeniem zrozumienia wypowiedzianych przez kogoś treści („no to już wiyam – bez to!”).

Odpowiednikiem owego *bez to* jest, oczywiście, wyrażenie *przez to*. Ale też odwiecznym zjawiskiem leksykalnym jest w polszczyźnie – utrzymujące się do dziś w gwarach – zamiennie używanie przyimków *przez* i *bez*. W mowie śląskiej sły się do dziś zdania typu „nny poradza tego zrobić bez ciebie” – z *bez* odpowiadającym standardowemu *bez*, ale i „do

lasa my zawdy łazyli bez łónki” – z *bez* pełniącym funkcję *przez* języka ogólnego. W tym momencie z rozczuleniem wspominam swoją nianię z bardzo wczesnego dzieciństwa, która pochodziła spod Góry św. Anny i która często mi śpiewała piosenkę zaczynającą się od słów: „Bez tą Cisowską wieś, bez tą Cisowską wieś, com się tam nachodził, com się tam nachodził, do mojej lubej na wieś”.

O tym wymiennym używaniu obu przyimków pisał Aleksander Brueckner w swym „Słowniku etymologicznym języka polskiego” z roku 1927: „U nas przyimki *przez* i *bez* wymieniły się; mówimy żartobliwie: *pobiegł przez czapki bez las*, dawniej: *przez czapki przez las*, bo w ciągu XIV do XVII wieku *bez* przed *przez* zupełnie ustąpiło; są liczne przykłady, szczególnie z XV wieku, gdzie nigdy *bez*, zawsze *przez* się używa, i przed imionami, i z nimi, np. zawsze: *przezpieczny*, nigdy *bezpieczny*; *bez* ocalało nieraz tylko w imiennictwie: *Bezdział* (obok *Przedział*, stąd *Przedziecki*), *Bezdrzew* i *Przedzrew*, *Bezkorzystew* i *Przekorzystew*” (s. 444).

Na osobne potraktowanie w dzisiejszym odcinku zasługuje jeszcze zdanie z jego początku: „Dyc bez tóz ci to godóm, co by my nic nyy loszydziyli”, a mówiąc ściślej – formy *dyć* i *oszydzić* (*łoszydzić*).

Pierwsza z nich – wraz z wariantem *dy* – znaczy tyle, co „przecież (na Śląsku *prze-ca*), tak, rzeczywiście”, a do zacytowanego zdania z nią dołączmy jeszcze kilka: „Dyc już wiyz o tym, co się stało, nyy?”, „Dyc żech przysła z tobóm pogodać”, „Fajnie się wóm tu miyszko? – Dyc!” („Mały słownik...”, s. 52). To *dyć*, *dy* dobrze jest znane wielu regionalnym odmianom języka, co potwierdza znamienny jego zapis w „Słowniku języka polskiego” wydanym w roku 1861 w Wilnie staraniem Maurycego Orgelbranda: „Dyc, posp. (u Mazurów) „wždy, wszakże, przecież, pono”: *Dyc*

to Kazimirek, o którym dziś rano powiadam panu” (część I, s. 270).

Druga forma – *oszydzić* (*łoszydzić*) – to piękny archaizm staropolski, używany do dziś w mowie śląskiej w znaczeniu „oszukiwać”: „Ino mie roz ta baba loszydziyla”, „Tyś mie, chopie, oszydziół” („Mały słownik...”, s. 138, 178).

Słownik Cząstki-Szymon, Ludwiga i Synowiec rejestruje także formy *oszydny* (*łoszydny*) – „zwodniczy, fałszywy, zdradliwy” oraz *oszydzić sie* (*łoszydzić sie*) *na kimś* – „zawieść się na kimś, zostać przez kogoś oszukanym”: „Mocie oszydne schody”, „Dej se pozór, bo Alojzów pies jest oszydny – nyy szczeko, ale gryzie”, „Te słońce jest jeszcze oszydne, bo świyći, ale nyy grzeje”, „Nikery synek jest loszydny – z tobóm godo, a za inkszóm się łoglóndo”, „Jo się oszydziła na moim chopie”, „W życiu się idzie niyroz oszydzić na ludziach”, „Łoszydziłech się na ciebie!”, „Ani razu żech się nie loszydziła na moich przyjacielach”, „Francik się loszydził na tym kóniu, co go kupił na targu” (s. 138, 178).

W „Podręcznym słowniku dawnej polszczyzny” Stefana Reczka z roku 1968 czasownik *oszydzić* opatrzony jest na s. 306 znaczeniem „odwrócić, okpić, wydrwić”: „Otoś mię oszydził, a skłamałes mną” (Biblia brzeska albo Radziwiłłowska, Brześć 1563), „Oszydzić kogo mają to za dworstwo” (Polska fraszka mieszczkańska z XVII w.).

I dziś w języku ogólnym *szzydź* to tyle, co „wyśmiewać się, drwić, kpić, naigrawać się”, ale śląskie *oszydzić*, „oszukiwać” jakże bliskie jest czeskiemu *szidit* „oszukiwać, okłamywać, krzywdzić, fałszować” czy słowackiemu *szudit* „oszukiwać”. Wszystkie te postacie są kontynuacją prazachodniosłowiańskiego *szuditi* „oszukiwać, zwodzić, okpiwać kogoś, kpić z kogoś” (Wiesław Boryś: „Słownik etymologiczny języka polskiego”, Kraków 2005, s. 610).

Spotkałam wielu, dla nich Polska nie była obca

KRYSTIAN KRZEMIŃSKI

Artykuł ten napisałem po rozmowie (w ramach prowadzonego przeze mnie „Wieczoru pod renesansowym stropem”) z doktor Ireną Mierzwą, córką Pawła Mierzwy, ostatniego starosty powiatu tarnogórskiego w okresie międzywojennym. Spotkanie zorganizowane zostało 20 kwietnia 2012 roku przez Zofię Krzykowską, ówczesną dyrektorkę Muzeum w Tarnowskich Górach. Wieczór upamiętnił również koleje losu starosty w Szwajcarii w okresie drugiej wojny światowej, gdzie współtworzył szkolnictwo dla internowanych polskich żołnierzy.

Irena Mierzwa urodziła się 27 lutego 1927 r. w Cieszynie. Była córką z pierwszego małżeństwa Pawła Mierzwy i Marii z d. Gawron. Ojciec miał wtedy 30 lat, mama 22 lata; ich ślub miał miejsce 18 stycznia 1926 r. w kościele parafialnym pw. Matki Boskiej Bolesnej w Rybniku. Paweł Mierzwa był wtedy komisarzem policji w Cieszynie, jego rodzice już nie żyli. W sierpniu 1933 r., kiedy Irena Mierzwa miała 6 lat, zmarła jej mama podczas porodu syna; niestety dziecka też nie udało się uratować.

Miała tylko jedno zdjęcie z mamą; wspólnie spędzone z nią chwile były niewyraźne, coraz bardziej przesłonięte wpływem dziesiątków lat. W tym domu jednak – jak mówiła – czuła się dobrze, czule, serdecznie. Była silnie związana z dziadkami ze strony mamy i nic nie zapowiadało jej odejścia. Jeszcze rano jadła z rodzicami śniadanie. Potem, kiedy bawiła się na podwórku, mamę wywieźli do szpitala. – Wieczorem – wspominała pani Irena – przyjechała do nas babcia, zawołała ją i powiedziała: mama umarła. Uciekła do jakiegoś zakamarka w domu, w którym później odnalazł ją ojciec.

Paweł Mierzwa, ojciec Ireny, urodził się 13 stycznia 1896 r. w Rozdzeniu, obecnej dzielnicy Katowic, w katolickiej rodzinie Michała i Marianny z d. Sajdok. Uczył się we wrocławskim, a potem w nyskim gimnazjum, gdzie zdał maturę. W 1916 r., jako dwudziestolatek, został wcielony do armii pruskiej i wysłany na front francuski pod Verdun. W 1918 r. dostał się do niewoli, potem wstąpił w szeregi armii gen. Józefa Hallera. Między kwietniem a czerwcem 1919 r., licząca ok. 70 tysięcy żołnierzy, armia Hallera wraz z całym wyposażeniem została przetransportowana do Polski i wysłana na front wojny polsko-bolszewickiej. Paweł Mierzwa

maszerował z Radzymina na Białystok. Otrzymał medal za udział w tych walkach. Zdemobilizowany jesienią 1920 r., powrócił na Górny Śląsk i został aresztowany przez władze niemieckie. Spędził 3 tygodnie w więzieniu w Opolu, zarządzanym przez armię brytyjską.

Po pierwszym powstaniu śląskim swoją zawodową aktywność związał z pracą w policji. Wstąpił bowiem do utworzonej Policji Górnego Śląska. W czasie wybuchu trzeciego powstania śląskiego, służył w żandarmerii powstańczej w Katowicach i brał udział w zdobywaniu miasta. Dalsza jego praca przebiegała w niezależnej Policji Województwa Śląskiego, powstałej w czerwcu 1922 r. Kiedy przyszła na świat Irena, Paweł Mierzwa pracując w policji, dojeżdżał na studia na wydziale prawa Uniwersytetu Jagiellońskiego w Krakowie, które ukończył w przewidzianym terminie. Odbiwał kolejno



Irena Mierzwa – bibliografia – E-ncyklopedia, Historia Kościoła na Śląsku

służbę jako komisarz policji w Rybniku, Cieszynie i Świętochłowicach, zaś od 1931 do 8 czerwca 1935 r. jako wicedyrektor policji w Chorzowie.

21 czerwca 1935 r., z mianowania ministra spraw wewnętrznych Mariana Zyndrama Kościałkowskiego, Paweł Mierzwa objął urząd ostatniego starosty powiatu tarnogórskiego w okresie międzywojennym.

Wróćmy do dziadków Ireny – najpierw ze strony mamy. Otóż, Franciszka i Aleksander Gawronowie pochodzili z Rybnickiego, wyemigrowali za chlebem do Nadrenii (nad Renem, Westfalia). Tam się poznali i pobrali. Na emigracji założyli sklep spożywczy; zachowało się

zdjęcie tego sklepu, na którym widnieje napis: Dom Chleba. Ciekawostka: dzieci z polskich rodzin w czwartki i soboty chodziły do polskiej szkoły, dlatego mówiły i pisały w ojczystym języku. Dziadkowie Gawronowie na stałe powrócili na Śląsk w okresie plebiscytu w 1921 r. Mama Ireny Mierzwy miała wtedy 16 lat. Trzeba podkreślić, że dziadek Aleksander w okresie drugiej wojny światowej był więźniem obozu koncentracyjnego w Dachau.

Dziadkowie zaś ze strony ojca, Marianna z d. Sajdok i Michał Mierzwowie, mieszkali w Szopienicach. Dziadek ciężko pracował w miejscowej hucie. W domu było ośmioro rodzeństwa; drugą wojnę światową przeżyli tylko ojciec Ireny Mierzwy, jego siostra i brat, starsze siostry wstąpiły wcześniej do klasztoru, jednak i one nie przeżyły wojny. Trzeba też dodać, że w rodzinie zdarzyła się przed wojną sceneria wręcz bajkowa: dziadek na loterii wygrał dużą kwotę pieniędzy i wtedy postanowił posłać starszego syna Pawła do gimnazjum we Wrocławiu i Nysie. Decyzja dziadka była bardzo celna, gdyż Paweł maturę zdał na piątkę.

Paweł Mierzwa ożenił się po raz drugi z Anną z d. Klytta. Ślub odbył się 11 stycznia 1937 r. w kościele św. Jadwigi w Chorzowie, miesiąc miodowy spędzili w Zakopanem. Irena Mierzwa nigdy nie mówiła: macocha, to była jej druga mama. Podziwiała ją, wiele jej zawdzięcza. Rodzice byli ze sobą tylko przez półtora roku, aż do wybuchu drugiej wojny światowej.

Przemysław Rubacha w drugim tomie „Rocznika Muzeum w Tarnowskich Górach z 2008 roku”, przedstawił okres pracy Pawła Mierzwy na stanowisku ostatniego starosty powiatu tarnogórskiego w okresie międzywojennym. Uwzględnił dokonania starosty, uroczystości patriotyczno-społeczne, współpracę z gminą Radzionków, jak również koleje losu Pawła Mierzwy w czasie II wojny światowej oraz na emigracji w Szwajcarii. Autor wykorzystał m.in. dostępne archiwalia i materiały prasowe z tego okresu.

Oto fragment tego opracowania: *Po wybuchu wojny w 1939 roku Paweł Mierzwa nie mógł pozostać w Tarnowskich Górach, gdyż jako starosta, były dyrektorkę policji i uczestnik powstań śląskich został umieszczony w nazistowskiej księżdzie gończej, pośród 25 osób pochodzących z powiatu tarnogórskiego. Po klęsce wrześniowej przedostał się do Francji, gdzie 17 października*

wstąpił do Wojska Polskiego. Przydzielony został do sztabu 1. Dywizji Grenadierów. W końcu kwietnia 1940 roku dywizja ta została skierowana w rejon Colomby-les-Belles w Lotaryngii, a następnie w połowie maja do Lunéville. Dnia 18 maja włączona została w skład XX Korpusu Armii Francuskiej zlokalizowanej na jednym z odcinków linii Maginota w rejonie Sarry. Po ataku niemieckim, 14 czerwca 1940 roku, dywizja broniła środkowego odcinka XX Korpusu. Ze względu na odwrót francuskiej 52. Dywizji Piechoty w nocy 15 czerwca wycofała się w rejon Dieuze, gdzie broniła się przez cały następny dzień. Ponownie w nocy wycofała się na linię kanału Marna-Ren, gdzie zajęła pozycje obronne pod Lagarde. Po dwudniowej obronie tej pozycji zmuszona została do dalszego wycofywania się, aż do miejscowości Meriller. Dnia 19 czerwca 1. Dywizja Grenadierów zajęła ostatnią pozycję obronną w rejonie Neureville. Dnia 21 czerwca gen. bryg. Bronisław Duch podjął decyzję o rozwiązaniu dywizji i przedzieraniu się żołnierzy na południe Francji lub do Szwajcarii. Paweł Mierzwa zdecydował się na ucieczkę w kierunku granicy szwajcarskiej. Po jej przekroczeniu został, podobnie jak reszta żołnierzy, internowany.

Internowani młodzi żołnierze mieli możliwość zdobycia wyższego wykształcenia w obozach uniwersyteckich, które znajdowały się kolejno w Herisau, Gosau i Sankt Gallen. Paweł Mierzwa był już wtedy 44-letnim magistrzem prawa, co w sposób naturalny warunkowało jego udział w kadrze naukowej. W obozie Herisau został jednym z jego lektorów języka niemieckiego, przygotowywał studentów do udziału w zajęciach uniwersyteckich. W obozie w Sankt Gallen pełnił funkcję jednego z trzech dyrektorów naukowych. (...) W tym czasie oprócz pełnienia obowiązków dyrektorskich normalnie nauczał jako wykładowca. Funkcję tę pełnił do końca istnienia obozu, czyli do października 1945 roku.

Druga mama Ireny znalazła się w sytuacji tragicznej: została sama z trójką dzieci, czyli z Ireną oraz chłopczykiem i dziewczynką – dziećmi jej zmarłej siostry w sierpniu 1939 r. Mąż siostry dostał się do obozu w Starobielsku i tam zginął. Przez całą wojnę żyli w bardzo trudnych warunkach. Musieli opuścić mieszkanie w Tarnowskich Górach. Mieszkali w Chorzowie w mieszkaniu zmarłej cioci – siostry drugiej mamy. Mieli tam dokwaterowanych Niemców; mieszkanie było duże, trzeba było uważać, mówili po polsku, ale nie było z tym żadnych problemów. Dzieci zmarłej cioci dostały w czasie wojny opiekuna z urzędu; to był bardzo porządny Niemiec, uchronił dzieci przed wywózką do Niemiec. Dostali się na listę, tak zwaną czwórkę.

Nauka Ireny przed wojną. Do szkoły powszechnej poszła w wieku 6 lat. Mama

Irena zmarła w sierpniu 1933 r., rodzina zdecydowała aby poszła do Szkoły św. Barbary w Chorzowie już we wrześniu, gdzie ukończyła dwie klasy. Na tę szkołę mówiło się Barbórka.

Od trzeciej do szóstej klasy, czyli od 1935 do 1939 r., uczyła się w tzw. Szkole Ćwiczeń w Tarnowskich Górach przy ul. Opolskiej. Zdała nawet do gimnazjum i już dostała tarczę, jednak wybuch wojny przekreślił dalszą naukę w tej szkole. Irena Mierzwa dobrze wspominała tarnogórską Ćwiczeniówkę. Na przykład pan Pajak uczył przyrody w cudowny sposób, wystarczyło bowiem powiedzieć dwa zdania na wybrany temat, i wtedy wpadał w swój „rytm” opowiadając ciąg dalszy do końca lekcji; prowadził też bardzo ciekawy gabinet przyrodniczy. Pan Kozioł zaś uczył języka polskiego; był w średnim wieku, należał do harcerstwa, zginął w Katyniu.

Nauka w czasie wojny. Jeszcze kilka miesięcy przed wybuchem wojny, ktoś zaproponował matce Ireny, aby córkę zapisać do prywatnego gimnazjum niemieckiego w Bytomiu, jako wolną słuchaczkę. Uczyła się w nim przez cały rok szkolny. Nie było tajemnicą, że uczyli się w nim również inni Polacy, zresztą atmosfera w tej szkole była dobra i bardzo ciekawa.

Oto kilka przykładów podanych przez panią Irenę w czasie spotkania w tarnogórskim Muzeum. Uwaga nauczycielki łącziny: „Gdyby wszyscy uczyli się gramatyki łacińskiej, to by nie było wojny, bo gramatyka łacińska jest logiczna, a wojna jest nielogiczna”. Na przykład nauczyciel chemii, o którym było wiadomo że się ukrywa, nie miał zaufania do dziewcząt. Uczniowie rozwiązywali zadania i kartkę trzeba było położyć na brzegu ławki. Kiedy dziewczyna dobrze je rozwiązała – nie wierzył. Był dziwakiem, pisał na tablicy, objaśniał, tłumaczył wzory – po czym wszystko ścierał z tablicy, ze słowami: „i tak tego nie rozumiecie”. Z kolei matematyk z Berlina był sympatyczny, całą tablicę logarytmiczną znał na pamięć, więc wcale do niej nie zaglądał. Kiedy wyjeżdżał, posłaliśmy go pożegnać. I jego ostatnie słowa: „Życzę wam, żeby teraz było wam lepiej”. Nauczyciel zaś niemieckiego, nazywał się Horak, prowadził ciekawe lekcje, nawiązując do literatury.

Potem uczyła się w niemieckiej szkole w Chorzowie. Siedziała w jednej ławce z koleżanką, której ojciec miał tzw. „dwojkę”, czyli drugą listę narodowościową, zaś matka nie mówiła po polsku, ale była propolska. Niemiecki nauczyciel wezwał matkę tej koleżanki i zwrócił uwagę na „polską inteligencję”. Odpowiedź tej matki: „córka ma ją w sercu, i tego się nie wstydzę”. Po zakończeniu wojny kierownik szkoły zaproponował matce Ireny odwołanie od listy narodowościowej, aby mogła otrzymać świadectwo. Irena zrezygnowała z tego świadectwa...

Nauka po wojnie, matura i studia. W Chorzowie Irena zdała do gimna-

zum i zaraz do pierwszej klasy licealnej. Po półtora roku nauki, w maju 1946 r., zdała maturę w klasie humanistycznej. Rozpoczęła studia polonistyczne na Uniwersytecie Poznańskim, po namowieniu nauczycielki z liceum, która pomogła jej w znalezieniu mieszkania na czas nauki. Uczelnia poznańska kładła wtedy nacisk na kulturowy aspekt studiów, krakowska zaś na językoznawstwo. Profesor Polak uważał, że nie tylko liczy się język, ale cała kultura, stąd były kolokwia z historii sztuki, teatru, muzyki, zatem – szerokie tło. Po czterech latach studiów, w roku 1951, zdała egzamin magisterski, zaś w następnym roku egzamin magisterski na wydziale angiłystyki.

Praca zawodowa. Jeszcze w czasie studiów podjęła pracę w Poznańskim Towarzystwie Przyjaciół Nauk, w dziale wymiany wydawnictw. Dobrze wspominała tę pracę, do której udało się załatwić nakaz pracy. Pracowała tam do 1957 r., kiedy towarzystwo to obchodziło stułecie istnienia. W tym czasie na wygnaniu w Poznaniu przebywał biskup Herbert Bednorz, który zaproponował Irenie Mierzwie podjęcie pracy w Wydawnictwie św. Jacka w Katowicach. Wróciła zatem na Górny Śląsk, zamieszkała w swoim mieszkaniu w Chorzowie przy ul. Gałęzki. W katowickim Wydawnictwie św. Jacka pracowała przez 45 lat, aż do przejścia na emeryturę, a potem jeszcze przez 12 lat (do roku 2002) pracowała w niepełnym wymiarze czasu pracy.

Za całokształt pracy dla Kościoła katolickiego w Polsce i na Górnym Śląsku, papież Jan Paweł II w 1987 roku uhonorował Irenę Mierzwę orderem Pro Ecclesia et Pontifice.

Praca doktorska. W 1972 roku obroniła pracę doktorską na Uniwersytecie im. Adama Mickiewicza w Poznaniu na temat działalności wydawnictwa Karola Miarki Młodszego, która ukazała się drukiem w roku 1976, nakładem Instytutu Śląskiego w Opolu.

Niektóre publikacje i prace redakcyjne. Irena Mierzwa publikowała prace naukowe w książkach zbiorowych i czasopiśmie naukowych, na przykład w „Częstochowskich Studiach Teologicznych”, „Śląskich Studiach Historyczno-Teologicznych”, „Prawie Kanonicznych”, „Naszej Przyszłości”. Współredagowała wydawnictwo encyklopedyczne „Bóg, człowiek, świat. Ilustrowana Encyklopedia dla Młodzieży” (1991). Uczestniczyła w inicjowaniu „Śląskich Studiów Historyczno-Teologicznych”, powołanych przez bpa Herberta Bednorza. Była członkiem Rady Redakcyjnej „Słownika biograficznego katolickiego duchowieństwa śląskiego XIX i XX wieku” (Katowice 1996), członkiem Zespołu Redakcyjnego „Słownika Teologicznego” (Katowice wyd. 2:1998). W ramach swoich zadań pracowniczych redagowała lub prowadziła projekty wy-

dawnicze, takie jak: modlitewniki, katechizmy, „Mały Słownik Biblijny”.

Powojenne wyjazdy do rodziców mieszkających w Szwajcarii. Najpierw drugi fragment opracowania Przemysła Rubacha: *Po zakończeniu wojny Paweł Mierzwa stanął przed wyborem: wrócić do kraju czy pozostać na emigracji. Wybrał to drugie rozwiązanie, pozostał w Szwajcarii. (...) Podjął pracę w firmie ubezpieczeniowej. Dnia 31 grudnia 1961 roku złożył wraz z żoną przysięgę i otrzymał szwajcarskie obywatelstwo. Na emigracji nie zapomniał o ojczyźnie i rodakach, wśród których cieszył się wielkim autorytetem. Co najmniej od 1960 roku pełnił funkcję prezesa Koła Polskiego w Sankt Gallen. Do końca życia współpracował z rządem w Londynie. W 1964 roku został mianowany przez generała Władysława Andersa ze stopnia porucznika na stopień kapitana w korpusie oficerów piechoty. Dnia 3 maja 1967 roku z okazji 20-lecia Stowarzyszenia Polskich Kombatantów i 15-lecia Koła Polskiego w Sankt Gallen otrzymał Złoty Krzyż Zasługi za wybitne zasługi poniesione w polskiej pracy społecznej i emigracyjnej w Szwajcarii.*

Po wieloletnich staraniach, dzięki wsparciu gen. Jerzego Ziętka, bliskiego współpracownika jej ojca z czasów jego służby w Tarnowskich Górach, mogła w 1956 roku po raz pierwszy odwiedzić ojca, którego wojenne losy zawiodły do Szwajcarii. Po wojnie pozostał na emigracji i zamieszkał tam w miejscowości Straubenzell w kantonie Sankt Gallen. Po siedemnastu latach niewidzenia się z ojcem, w październiku 1956 r.,jechała do Szwajcarii wpierv przez Czechosłowację pociągiem pierwszej klasy. Wspominała, że była jedyną pasażerką w przedziale, pociąg przejeżdżał pomiędzy zasiekami. Zatrzymał się przed granicą z Austrią; weszli żołnierze z bronią, jak w carskiej Rosji na zaoranej ziemi. Już w Austrii wszedł do przedziału kon-

duktor ze słowami: Grüiss Gott. Potem z tego pociągu przesiadła się do drugiego. Ojciec stał na peronie, sam. Przywitali się bez słów...

Dyrektor zakładu ubezpieczeniowego, w którym pracował Paweł Mierzwa, kiedy dowiedział się o przyjeździe z Polski jego córki, przyznał mu specjalną miesięczną premię. Za te pieniądze zwiedziła z ojcem Szwajcarię. Osoba owego dyrektora zasługuje ponadto na szczególne podkreślenie. Otóż, zaraz po pierwszej wojnie światowej, kiedy była wielka inflacja, polscy przyjaciele udzielili mu pomocy. Przebywał bowiem w Polsce jako wysłannik tego zakładu ubezpieczeniowego, i pewnego dnia pozostał bez grosza. Był tak szlachetny, że jeszcze po drugiej wojnie, zawiózł do Polski pieniądze jakiejś pani, która mu pomogła. Zaprosił też ojca i panią Irenę do swojego domu, w którym urządził tak zwany pokój polski z licznymi pamiątkami i zbiorami. Kiedy innym razem znowu był w Polsce, odwiedził w domu panią Irenę.

W czasie pierwszych odwiedzin pani Ireny w Szwajcarii, ojciec otrzymał list od oficera francuskiego z 1939 roku; trzeba podkreślić, że Paweł Mierzwa w czasie wojny znalazł się we Francji, gdzie wstąpił do wojska polskiego. Ten właśnie oficer zaferował, że może przechować jego cywilne ubranie. Po wojnie odnalazł go i przesłał to ubranie w paczce z Francji do Szwajcarii. Na wstępie załączonego listu napisał: „Niech żyje Polska!”

Kolejne wspomnienie pani Ireny z pierwszych odwiedzin: zaprzyjaźnione z ojcem szwajcarskie małżeństwo, zawiozło ich do swoich ciotek, zamieszkałych wysoko w górach. Po drodze zobaczyli zadbane poletka, świadczące o trudnej, mozolnej pracy tamtejszych mieszkańców. Nieopodal małego, zabytkowego rynku, weszli do mieszkania jednej z ciotek, która przywitała Irenę Mierzwę tymi słowami: proszę pani, znam Polskę,

bo czytałam „Ogniem i mieczem” Henryka Sienkiewicza przetłumaczoną na język niemiecki. Zatem, dodała pani Irena, znowu spotkaliśmy kogoś, dla którego Polska nie była obca.

I jeszcze jedno wspomnienie z Sankt Gallen. W tamtejszym opactwie Benedyktynów zachowała się stara, piękna biblioteka do zwiedzania. Wśród zbiorów pani Irena zobaczyła łańską kronikę dziejów Polski warmińskiego biskupa i historyka Marcina Kromera (1512–1589), obejmującą czasy najdawniejsze aż do 1506 roku.

Drugi wyjazd. Dzięki ponownemu wsparciu gen. Jerzego Ziętka, po jedenastu latach, w 1967 roku otrzymała znowu paszport i wyjechała do rodziców w Szwajcarii. Warto w tym miejscu przytoczyć zdanie ojca o Jerzym Ziętku: „Już przed wojną był »czerwony«, ale z przekonania, lewicujący. ON uciekł na WSCHÓD, a ja na ZACHÓD”. Zdanie Jerzego Ziętka o ojcu: „On był taki romantyk, miał uczuciowe, idealistyczne spojrzenie”. I zdanie pani Ireny: „Różnili się pięknie, zaś Ziętek coś po sobie zostawił”. Pod koniec spotkania z panią Ireną, Ziętek powiedział: „Ciągle do mnie przychodzą coraz młodszy powstańcy, a przecież kiedy wybuchło powstanie, niektórzy z nich mogli mieć 6 lat”. Ziętek w tym czasie przechodził trudne przeżycia związane z dziećmi, był bardzo zgaszony.

W 1967 roku ojciec pani Ireny zaczął chorować. Dały o sobie znać skutki pierwszej wojny światowej, bitwa pod Verdun, kłopoty z kręgosłupem. Polski lekarz, który się opiekował Pawłem Mierzwą, dodał: „Pani Ireno, ja nowego człowieka nie stworzę”.

Kolejne wyjazdy. W następnych latach pani Irena systematycznie wyjeżdżała do rodziców, przeważnie latem, aby odciążyć mamę. Wspólne wakacje często spędzali na południu Szwajcarii. Utrzymywali też stały kontakt telefoniczny i listowny. Ostatnie takie wakacje przypadły w 1976 roku. Ojciec wiedział o swoim stanie zdrowia, chociaż nie mówił o tym. Pani Irena jednak wyraźnie to odczuła przy pożegnaniu z ojcem. Zmarł w styczniu następnego roku. Został pochowany na cmentarzu wschodnim (Ostfriedhof) w Sankt Gallen. Była na pogrzebie. (W Szwajcarii jest taki obyczaj, że każdy obywatel otrzymuje miejsce na cmentarzu na 20 lat. Są tam kwatery, rodzinne groby i można opłacić ogrodnika. Nie wolno stawiać nagrobków powyżej jakiejś ustalonej wysokości, nawet w przypadku rzeźb).

Ciekawostka. W Starostwie Powiatowym jest poczet starostów tarnogórskich, wśród nich zdjęcie portretowe Pawła Mierzwę. Wykonał je znany tarnogórski fotograf Jan Melcer, którego zakład przejęła i prowadzi do dziś jego córka Brygida Melcer-Kwiecińska. Zdjęcie to ozdobiło również okładkę drugiego tomu „Rocznika Muzeum w Tarnowskich Górach” z 2008 roku. ■



1. Starosta tarnogórski Paweł Mierzwa w mundurze Związku Powstańców Śląskich. Fotografia w sepii wykonana w gabinecie służbowym przy ul. Henryka Sienkiewicza 2 w latach 1937–1939 przez Jana Melcera, własność: Muzeum w Tarnowskich Górach



Instytut Myśli Polskiej
Wojciecha Korfatego

Tragedia Górn Śląska – trauma pokoleń

MICHAŁ SPURGIASZ

Na początku 1945 roku Armia Czerwona wkroczyła na Górny Śląsk. O ile w trakcie zajmowania ziem rozumianych i postrzeganych przez Rosjan jako polskie oficery odpowiadający za porządek w oddziałach starali się zachować pozory porządku i dyscypliny w szeregach, tak po przekroczeniu granic Rzeszy dano odgórne przyzwolenie na rozluźnienie w szeregach zdemoralizowanej armii. Przełożyło się to bezpośrednio na okrucieństwo, z jakim traktowano ludność cywilną zamieszkujejącą teren Górnego Śląska. Żołnierze radzieccy mści-

kim, zwykle nie znali i nie wyrażali zainteresowania specyfiką lokalną. Każdy mieszkaniec terytorium znajdującego się na terenie Rzeszy był Niemcem i wrogiem, nawet jeśli był to teren dawnego polskiego województwa śląskiego. Żołnierzom Armii Czerwonej często brakowało wiedzy dotyczącej granic, a pojęcie państwa Hitlera rozumiano dość mgliście, przez co dopuszczano się bestialstw nawet jeszcze po polskiej stronie granicy. Przykład stanowi przypadek Przyszowic – wsi ulokowanej w pobliżu ówczesnej granicy polsko-niemieckiej. 27 stycznia w trakcie wejścia Armii Czerwonej zamordowano tam 61 osób, w tym 4 byłych więźniów KL Auschwitz, uciekinierów z marszu śmierci. Zbrodnia przyszowicka była podyktowana pragnieniem zemsty. Wojsko było przekonane, że znajduje się w Niemczech i już nie obowiązują uprzednio stosowane normy. Potwierdzają to napisy w języku rosyjskim pozostawione na domach pomordowanych: głównie obelgi takie jak „tu zdechły niemieckie psy”. Czerwoarmiści zbliżający się do wsi od początku byli zorientowani wrogo. Do dziś powtarzana jest historia Franciszka Brzóska, jednego z mieszkańców Przyszowic, który wykazał się wyjątkową odwagą i „uzbrojony” w białą flagę wyszedł Rosjanom na spotkanie. Nie dane mu było dotrzeć do pozycji zajętych przez żołnierzy. Został zastrzelony z zimną krwią pomimo wszystkich oznak kooperacji i pragnienia nawiązania kontaktu.

Dotkliwe zniszczenia niekoniecznie związane z działaniami wojennymi stały się na pewien czas górnośląską rzeczywistością. Katowice, zajęte wcześniej – już nocą z 27 na 28 stycznia – do dziś noszą ślady po przejściu Armii Czerwonej. Ulokowane przy katowickim rynku Dom Prasy i dom handlowy Zenit to płomby wstawione w oryginalną zabudowę miasta w miejsce budynków podpалonych i splądrowanych przez żołnierzy. W noc zajęcia Katowic przez miasto przetoczyła się fala przemocy, gwałtu i grabieży na niespotykaną dotąd skalę, najmłodsza zidentyfikowana ofiara miała 14 lat. Podobnie było z Gliwicami (zajętymi już między 22 a 24 stycznia). Podobnie jak Katowice miasto nie ucierpiało w wyniku działań wojennych, jednak po wkroczeniu Rosjan przez aglomerację przetoczyła się fala grabieży, podpażeń i mordów. Pośród ofiar znajdowały się kobiety i dzieci. Samego 24 stycznia miano zamordować czworo dzieci w wieku do lat 10. Znane są historie, gdzie do ludności cywilnej ukrywającej się w piwnicach przychodzili czerwoarmiści z żądaniem oddania kosztowności, a w przypadku odmowy, nawet powodowanej brakiem możliwości spełnienia żądań, otwierano ogień. Chaos w Gliwicach trwał blisko przez pół roku i udało się go opanować dopiero latem 1945 roku. O niewybredności w doborze celów oraz demoralizacji wojskowych może świadczyć było zamordowanie Tadeusza Gruszczyńskiego (do śmierci bał się sprowadzić do Gliwic człon-

Fot. Tomasz Bienenek



O Ślązakach wywiezionych w 1945 roku do ZSRR przypomina dziś pomnik w centrum Bytomia

li się w ten sposób za cierpienia, jakich Rosjanie doznali od nazistów, a każdy, nawet przypadkowy mieszkaniec przygranicznej wsi był postrzegany jako śmiertelny wróg i zwolennik Hitlera. Ludność cywilna cierpiała nawet po przejściu linii frontu – w rzeczywistości największe zbrodnie przeciwko ludności cywilnej miały miejsce na ziemi już podporządkowanej Armii Czerwonej. Dla „zdobywców” mieszkańcy Górnego Śląska (podobnie jak lokalna infrastruktura) byli jedynie łupem wojennym, który można było eksploatować niezależnie od tego, jak oni sami identyfikowali się narodowościowo, czy politycznie. Sytuacji nie polepszał fakt, że Śląsk uchodził za bogaty. Wiele ofiar wczesnego powojennego terroru zostało zamordowanych ze względu na zegarek czy drobną biżuterię.

Czerwoarmiści, często z niepełnym wykształceniem i zupełnie niezorientowani w tematyce stosunków narodowościowych panujących na pograniczu polsko-niemiec-



W Katowicach ofiary Tragedii Górnośląskiej upamiętniono obeliskiem na skwerze u zbiegu ulic Gliwickiej i Dąbrówki

Fot. Tomasz Bienenek

ków rodziny) – komunistycznego wiceprezydenta Gliwic, który 10 maja osobiście starał się powstrzymać Rosjan przed dalszą grabieżą. Przyjmuje się, że Gliwice w trakcie radzieckiego festiwalu zniszczenia straciły od 20 do 30% historycznej tkanki miasta, w tym niektóre ikoniczne budynki takie jak teatr Victoria, czy hotel Haus Oberschlesien. W trakcie terroru zamordowano w mieście ponad 1500 cywili. Podobny los spotkał także Rybnik, który w wyniku masowego bombardowania infrastruktury cywilnej poniósł dotkliwe straty w zabudowie. Dwoma kolejnymi wyjątkowo bolesnymi przykładami jest splądrowane 20 stycznia Olesno (w centrum miasta miała nie ostać się nawet jedna w pełni zachowana budowla) i Racibórz. Ten drugi, zajęty między 31 marca a 1 kwietnia 1945 roku stał się miejscem regularnej grabieży, mordów i gwałtów. Zakłada się, że w wyniku podpażeń, wyburzeń i regularnej rozbiórki miasto utraciło między 60 a 85% zabudowy.

Polscy funkcjonariusze komunistyczni, często sprowadzani spoza terenu Górnego Śląska, podobnie jak czerwonarmięści często nie rozumieli uwarunkowań historycznych, w jakich przyszło żyć Górnoszlązakom, ani też górnośląskiej rzeczywistości okupacyjnej. Wpis na volkslistę traktowany był tak jak w Generalnym Gubernatorstwie – jako dowód zdrady i kolaboracji. Ignorowano fakt, że na Górnym Śląsku volkslista funkcjonowała inaczej i niejednokrotnie wciągano na nią pod dowolnym błahym pretekstem lub też bezpośrednią groźbą obozu lub deportacji. Tym samym dygnitarze władz komunistycznych, kierując się pragnieniem zemsty, dawali często milczące przyzwolenie na przesładowanie ludności cywilnej.

Trauma, jakiej doświadczył Górny Śląsk, nie ograniczyła się do przemocy związanej z wkroczeniem Rosjan. Od lutego 1945 roku na uliczkach górnośląskich miejscowości za-

częły pojawiać się sowieckie afisze przygotowane przez komendantury wojenne, które wzywały mężczyzn w wieku od 17 do 50 lata do stawienia się w wybranych punktach takich jak dworce czy place. Pretekstem do zbiórki często były prace porządkowe przy usuwaniu zniszczeń wojennych. Mężczyźni mieli zgłosić się z narzędziami i jedzeniem na kilka dni. Za zignorowanie obwieszczenia groziły dotkliwe kary – sąd wojenny, więzienie, a nawet rozstrzelanie. Pomimo szerokiej gamy groźących reperkusji niewielu mężczyzn stawało się w wyznaczonych punktach. Spowodowało to nową falę nadużyć. Agenci NKWD na podstawie błahych donosów chodzili między domami i mieszkaniami, zbierając „ochotników” do pracy. Łapanie miały czasem charakter masowy, m.in. zatrzymano całą załogę kopalni „Boberek” w trakcie powrotu ze zmiany czy wyprowadzono i przewieziono na dworzec pracowników huty „Baldon” pod pretekstem pracy przy rozładowaniu wagonów towarowych.

Mężczyźni, przede wszystkim wykwalifikowani i doświadczeni robotnicy z Górnego Śląska, byli w oczach Rosjan jedynie kolejnym łupem wojennym – podobnie jak nowoczesne maszyny zrabowane z górnośląskich zakładów przemysłowych. Jednak nie należy zapominać, że między zatrzymanymi znajdowały się również kobiety i dzieci. Czasem aresztowano całe rodziny, znane były też przypadki zatrzymań powracających więźniów KL Auschwitz. Z miejsc zbiórki zatrzymani przenieszeni byli do specjalnych obozów – ulokowanych zarówno na terenie Górnego Śląska i Zagłębia (Łabędy, Będzin, Sosnowiec), jak i dalej



Fragment pomnika w Bytomiu-Miechowicach

Fot. Tomasz Bieniek

(Kraków, Nowy Sącz, Tomaszów Mazowiecki) – celem dalszej deportacji na wschód, w głąb ZSRR. Największe nasilenie wywozów przypadło na okres między lutym a kwietniem 1945 roku. Wedle danych Archiwum Państwowego w Katowicach najwięcej zesłanych pochodziło z powiatów bytomskiego, gliwickiego, zabrzańskiego i strzeleckiego.

Zakłada się, że deportacje objęły około 30 tysięcy mieszkańców Śląska – w 1946 roku przygotowano publikację „Spis polskich obywateli – górników wywiezionych do ZSRR z początkiem 1945 roku z terytorium Górnego i Opolskiego Śląska”. Zawierała ona aż 9877 nazwisk, przy czym uwzględniono jedynie dorosłych górników.

O powrót deportowanych walczyły rodziny, zakłady pracy (które musiały sobie poradzić z nagłym i dotkliwym ubytkiem siły roboczej), a czasem lokalna administracja. Przygotowywano pisma, zaświadczenia pracy i petycje, starano naciskać się na komunistyczne władze centralne, aby zainteresowały się losem wywiezionych. Mimo starań szacuje się, że powróciło jedynie około 20% deportowanych – reszta zmarła na zesłaniu. Wysoka śmiertelność była efektem wielu czynników: tragicznych warunków transportu, warunków panujących w obozach przejściowych, eksploatacją fizyczną i pracą ponad siły, powszechnym głodem powodowanym przez niedostateczną rację żywnościową czy wreszcie brakiem opieki medycznej dla wywiezionych i ogólnie złymi warunkami higienicznymi. Ci, którym dane było przeżyć, powracali stopniowo, falami, aż do wczesnych lat 50. Powracający mieli odgórny zakaz mówienia o swoich doświadczeniach obwarowany różnorodnymi groźbami ze strony władz komunistycznych oraz aparatu bezpieczeństwa. Zmowa i obowiązek milczenia o wydarzeniach, jakie miały miejsce na Śląsku po wkroczeniu Armii Czerwonej, istniały aż do 1989 roku. Władze PRL starały się uniknąć rozgłosu, który mógłby wywołać dysonans w stosunkach ze wschodnimi protektorami. Nieszczerólnie chciano również zwracać uwagę na współludzi i milczącą zgodę działaczy komunistycznych na śląskie nadużycia.

Tragedia Górnośląska to wciąż nieprzepracowana trauma pokoleniowa. Ciemne pasmo strachu, milczenia i braku zaufania, które wciąż ciąży nad Górnym Śląskiem i o którym dopiero uczymy się mówić. ■

Fot. Tomasz Bieniek



Jedynie ocalałe fragmenty zbiorowej mogiły ponad stu mieszkańców Miechowic zamordowanych w styczniu 1945 roku przez Sowieców. Zabytek zachowany dzięki staraniom Stowarzyszenia na Rzecz Zabytków Fortyfikacji „Pro Fortalicium”



Poruszający swą formą pomnik ofiar Tragedii Górnoszląskiej w Bytomiu-Miechowicach



Obelisk upamiętniający ofiary Tragedii Górnoszląskiej w Świętochłowicach został odsłonięty w miejscu hali targowej, w której przetrzymywano aresztowanych mieszkańców.



Badania terenowe – odsłanianie fundamentów baraku lazaretowego. Fot. D. Frymark, zbiory Centralnego Muzeum Jeńców Wojennych



Znak tożsamości (tzw. „nieśmiertelnik”) odnaleziony w trakcie badań powierzchniowych. Fot. E. Góra, zbiory Centralnego Muzeum Jeńców Wojennych



Wojskowy guzik brytyjski odnaleziony w trakcie badań powierzchniowych. Fot. E. Góra, zbiory Centralnego Muzeum Jeńców Wojennych



Jeńcy brytyjski w Stalagu VIII B Lamsdorf. Zbiory Centralnego Muzeum Jeńców Wojennych



Baraki lazaretu stanowiące strefę Stalagu VIII B Lamsdorf. Zbiory Centralnego Muzeum Jeńców Wojennych

Archeolodzy znów w Łambinowicach

Co odnaleziono w obozowym szpitalu?

TOMASZ BIENEK

Od kilku lat na terenie dawnego kompleksu obozów jenieckich, przesiedleńskich oraz pracy przymusowej w Łambinowicach trwają prace archeologiczne, mające przybliżyć zapomnianą część historii tego miejsca oraz rzucić więcej światła na codzienne życie przetrzymywanych tutaj ludzi. 17 marca obchodzona będzie rocznica wyzwolenia obozu, co stanowi okazję do podsumowania najnowszych odkryć.

Łambinowice to niewielka wieś jakich setki na Śląsku Opolskim, wyróżnia ją jednak fakt, iż zlokalizowano był tutaj jeden z największych i najstarszych obozów jenieckich na świecie. Wszystko zaczęło się w latach 60. XIX stulecia, gdy pruska armia zdecydowała się założyć na okolicznych polach wielki poligon, na którym wobec rozwijającej się dynamicznie artylerii zaczęto testować nową broń i rodzaje amunicji. Wzniesiono budynki koszarowe, magazyny, warsztaty. Bardzo szybko kompleksowi nadano też nową rolę – jako że stanowił odgrodzony od reszty świata teren wojskowy, idealnie nadawał się także na obóz jeniecki, który założono tutaj podczas wojny francusko-pruskiej 1870–1871. Trafiało do niego ok. sześciu tysięcy wziętych do niewoli francuskich żołnierzy. Podczas I wojny światowej infrastruktura obozowa w Łambinowicach została znaczenie rozbudowana, aby sprostać nowym wymogom – przysyłano tutaj tysiące jeńców ze wszystkich armii walczących z wojskiem niemieckim na wszystkich frontach tamtego konfliktu. Przede wszystkim byli to Rosjanie, Francuzi i Belgowie, także Brytyjczycy, ale również Serbowie, Włosi oraz Rumuni. Po 1918 roku zarówno obozowy kompleks, jak i poligon przestały być potrzebne pobitym i zdemilitaryzowanym Niemcom, chociaż część obozu użyto aby po 1921 roku zakwaterować przejściowo cywilów, którzy po przyłączeniu do Polski części Górnego Śląska opuścili tamte tereny.

Prawdziwy „rozkwit” Łambinowic nastąpił jednak po dojściu do władzy hitlerowców. Najpierw ponownie zaczął funkcjonować w pierwotnej roli sam poligon, a we wrześniu 1939 roku także obóz, a raczej system obozów, bo kolejne kampanie i zmiany na frontach II wojny światowej spowodowały napływ ogromnych ilości alianckich jeńców. Obozowy kompleks rozrósł się wtedy do gigantycznych rozmiarów, przewinęło się przez niego ok. 300 tysięcy jeńców ze wszystkich państw walczących w wojskami Osi. Ilość pojmanych żołnierzy była tak wielka, że osadzeni byli w podobozach we-

dług narodowości – w osobnych sektorach przebywali np. Francuzi, gdzie indziej trafiali żołnierze anglojęzyczni, głównie z państw Wspólnoty Brytyjskiej, a gdzie indziej np. jeńcy sowieccy, których ok. 40 tysięcy zginęło w wyniku złego traktowania w przeznaczonym dla nich podobozie.

Po wojnie tereny dawnych obozów przez długie lata znów jako poligon używało Wojsko Polskie. Choć na niewielkiej części dawnego terenu obozowego od 1964 roku istniało już Muzeum Martyrologii Jeńców Wojennych, to większość oryginalnej tkanki obozowego kompleksu – jego infrastruktury, na jaką oprócz baraków składały się łaźnie, latryny, pralnie, kuchnie a nawet obiekty sportowe – znajdując się na wojskowym terenie uległa zatarciu. Część budynków rozebrano od razu po wojnie, inne zniszczono w wyniku manewrów. Resztę pochłonął las, porastający do dziś znaczną część terenu obozu. Po jeńcach zostały przede wszystkim cmentarze (każdy etap funkcjonowania obozu pozostawił jakąś nekropolię) oraz ukryte przed ludzkim wzrokiem, zalegające w ziemi artefakty. Jest ich tutaj całkiem sporo, a wiele z nich zasila zbiory na niezwykle ciekawych ekspozycjach Centralnego Muzeum Jeńców Wojennych w łambinowickim i opolskim oddziale placówki.

W minionych latach prace prowadzono m.in. na terenie kuchni obozowej Stalagu 344 oraz odkopano wewnątrz jednej z obozowych latryn – gigantycznego murowanego ustępu, z którego jednocześnie mogło korzystać bardzo wielu jeńców. Znalezione wówczas szereg przedmiotów osobistych należących do żołnierzy – brzytwy, maszynek do golenia, mydelniczek, guzików z mundurów różnych armii a także sporo znaków tożsamości, tzw. nieśmiertelników. Odkryto też rzeczy związane z aprowizacją jeńców – puszki po konserwach, butelki.

Prace badawcze kontynuowane były w ubiegłym roku w ramach nowego projektu realizowanego przez Muzeum pt. „Nauka dla społeczeństwa, społeczeństwo dla nauki w Miejscu Pamięci Narodowej w Łambinowicach” finansowanego ze środków Ministra Edukacji i Nauki. Tym razem poszukiwaniami objęto także teren obozowego szpitala. Aby dokładnie zlokalizować położenie obiektu, podobnie jak wcześniej posłużono się archiwalnymi zdjęciami lotniczymi z czasów wojny, wśród których ze względu na jakość wyróżniają się amerykańskie zdjęcia zwiadu lotniczego wykonane pod koniec 1944 roku czy też danymi z lotniczego skanowania laserowego. Po wytypowaniu miejsc przystąpiono do prac ziemnych.

– Mając na uwadze specyfikę terenu badań, w oparciu o źródła archiwalne oraz wynik analiz teledetekcyjnych zdecydowaliśmy, że sondażowe prace wykopaliskowe zostaną przeprowadzone w części szpitalnej, czyli lazaretowej Stalagu VIII B – wyjaśnia kierownik badań, dr Dawid Kobiółka z Katedry Archeologii Historycznej i Bronioznawstwa Uniwersytetu Łódzkiego – Pierwszy wykop, wytyczony po wstępnej interpretacji danych, miał długość 14,5 i szerokość 2,5 metra. Ideą tego założenia była próba przecięcia w poprzek jednego z sześciu baraków szpitalnych tak, aby rozpoznając jeden obiekt uzyskać wgląd w szerszy krajobraz obozowy. Oparliśmy to założenie na przesłance, że skoro baraki lazaretowe miały identyczne wymiary, zbudowano je w podobny sposób. Przeprowadzone prace wykopaliskowe pozwoliły odsłonić główny korytarz oraz dwa boczne skrzydła, gdzie ustawione były prycze dla chorych jeńców.

W drugim wykopie badacze odnaleźli pozostałości pieca kaflowego, służącego do ogrzewania baraków lazaretowych. Wykop o wymiarach 2,5 na 3 m pozwolił odsłonić podstawę pieca oraz jego najbliższe otoczenie.

– Jest to ciekawe odkrycie, bo nie zachowały się dokumenty archiwalne, prezentujące tego rodzaju wyposażenie baraków. Do budowy pieca użyto kafli o różnej wielkości i rozmaitego typu, w dodatku o różnych zdobieniach, a nawet małe odłamki rozbitych kafli, co świadczy iż w warunkach wojennej gospodarki w okresie rozmaitych niedoborów wykorzystywano każdy dostępny materiał. Zwracają uwagę umieszczone na niektórych kafkach sygnatury wytwórców, co pozwoli określić dostawców, u których dokonywano zakupu materiałów w trakcie rozbudowy obozu – dodaje dr Dawid Kobiółka.

Prace wykazały także, że pełniący funkcję szpitalną barak nie był wyłożony płytkami ceramicznymi, a jego podłogę stanowiła zwykła betonowa wylewka. Odkryto na niej czerwone przebarwienia, okazały się nimi pozostałości tynku ze ścian budynku, które zalegały podczas wyburzania lub rozbioru obiektu.

W ubiegłym roku podczas prac, w których obok archeologów brali udział pracownicy Centralnego Muzeum Jeńców Wojennych oraz osoby prywatne ze Stowarzyszenia Historyczno-Eksploracyjnego Triskelion, przeprowadzono także badania georadarowe na cmentarzu jeńców radzieckich oraz pobrano próbki gleby do badań geochemicznych. W obu przypadkach chodziło o próbę precyzyjnego zlokalizowania grobów masowych oraz przestrzeni, w których w okresie powojennym prowadzone były ekshumacje.

Pożegnanie Damy

Józefa Rebeś 26 marca 1929 – 22 grudnia 2022

Ziuta

IGA HEROK-TURSKA

Józefa Rebeś była dla nas – jej rodziny i przyjaciół – po prostu Ziutą, Ziutką lub czasami – żeby było bardziej elegancko – Józefiną. Dla rodziny była ukochaną ciotką – i to ciotką „wielopokoleniową”, z którą się dyskutowało o polityce, grało w karty, chodziło na wycieczki, rozmawiało o książkach, o teatrze, jeździło na wakacje, wspólnie zasiadało przy świątecznym stole. Dla nas – Jej Przyjaciół, sąsiadów i znajomych – Ziuta także była bliskim, ciepłym, dobrym i mądrym człowiekiem. Dzisiaj, gdy Ją żegnamy, pozwolę sobie, za zgodą Rodziny, powiedzieć kilka słów.

Ziuta urodziła się w Wojkowicach, czyli – za Brynicą. Była najmłodszą z rodzeństwa i, jak sama mówiła, rozpieszczaną przez rodziców i dwóch starszych braci, Mieczysława i Kazimierza. Szkołę średnią ukończyła w pobliskich Tarnowskich Górach, a studia na Wydziale Filologii Polskiej na Uniwersytecie im. Adama Mickiewicza w Poznaniu. Po studiach, podjęła pracę w Katowicach, w Pałacu Młodzieży i zamieszkała w służbowym pokoiku w tylnej, mieszkalnej części Pałacu, gdzie życie towarzyskie kwitło. Mimo że powojenne lata (pięćdziesiąte, sześćdziesiąte XX w.) były trudne i dość siermiężne, był to bardzo szczęśliwy okres w jej życiu, do którego bardzo chętnie wracała wspomnieniami. Również przyjaźnie z tamtych młodzińszych, „pałacowych” czasów nigdy nie zwietrzały i przetrwały wiele lat.

Pałac Młodzieży był wtedy instytucją bardzo znaczącą w Katowicach, podobnie jak Pałac Kultury i Nauki w Warszawie. Ziuta przez ponad 40 lat prowadziła tu Dział Edukacji Humanistycznej. Prócz biblioteki i czytelnicy naukowej założyła Klub Literacki dla młodzieży. To spod jej ręki wyszło wielu ludzi świata kultury i nauki: poeci, dziennikarze, aktorzy.

W latach siedemdziesiątych nawiązała współpracę z Wydziałem Filologicznym Uniwersytetu Śląskiego. Szczególnie bliski kontakt miała z prof. Ireneuszem Opacikiem, prof. Janem Malickim i prof. Krzysztofem Kłosińskim, którzy – wraz z innymi wykładowcami – przez wiele lat prowadzili organizowane przez Nią wykłady

dla maturzystów. Zjeżdżała na nie do Pałacu młodzież z całego Śląska i Zagłębia, natomiast z profesorami i całym środowiskiem literackim połączyły Ziutę serdeczne więzy przyjaźni i szacunku.

W Pałacu Józefina pracowała aż do emerytury, a potem – wraz z Teresą Darmon



– prowadziła Klub Literacki przy Związku Literatów Polskich w Katowicach. Kilka lat później kontynuowała tę działalność w Domu Kultury na Koszutce oraz w Bibliotece Śląskiej.

W zawodowej biografii Ziuta miała także epizod zagraniczny. W 1994 r. zaprosiłam Ją do współpracy przy tworzeniu Polsko-Niemieckiego Salonu Literackiego w Norymberdze. Jego gośćmi byli m.in. ks. prof. Józef Tischner, Agnieszka Osiecka, Wojciech Młynarski, Magda Umer, gwiazdy Piwnicy pod Baranami... – nazwiska, które świetnie promowały polską kulturę. Ziuta w polonijnym środowisku w Norymberdze czu-

ła się doskonale. Była osobą bardzo lubianą i wszędzie chętnie zapraszana. Nic więc dziwnego, że często i z przyjemnością wracała później do tych wspomnień i fotografii.

Pod koniec swojej aktywności, gdy zbliżała się do osiemdziesiątki, Ziuta wymyśliła i zorganizowała „Ariadnę” – towarzyskie Biuro podróży! – które w doborowym towarzystwie, korzystając z otwartych granic, autobusem lub mikrobusem zwiedzało Europę.

Dziś, gdy Ją żegnamy, możemy zapytać: A jaka była, tak na co dzień? Każdy z nas ma w pamięci inny Jej obraz, inne wspomnienia. Ale pamiętamy jeszcze Jej twarz, głos, uśmiech, sylwetkę. A Ziuta była:

1. Z jednej strony – zawsze była pełna pomysłów, energii, świetnej organizacji i konsekwencji. Często uparta jak „marcowy Baran”, potrafiła twardo bronić swoich poglądów, a jednocześnie (choć nie często) zaakceptować inny punkt widzenia, a nawet – zmienić swoje zdanie. Z drugiej strony – była pełna była taktu, dyskrecji, wyczucia sytuacji, oraz – pewnej nieśmiałości i delikatności. Niechętnie występowała się na scenie w świetle jupiterów. Woląла działać z drugiego planu, nie rezygnując jednak z pozycji dowodzenia.

2. Potrafiła zdobywać sobie sympatię, zaufanie i przyjaźń. W Jej katowickim, małym mieszkaniu na 11 piętrze w Superjednostce, wielu zaprzyjaźnionych z Nią ludzi znajdowało wygodny fotel, dobry trunek, świetną kuchnię, a przede wszystkim – ciekawą rozmowę. I metryka nie grała tu żadnej roli.

3. Bo Ziuta lubiła ludzi młodych. Miała z nimi świetny kontakt i dobrze się czuła w ich towarzystwie. Szanowała ich. Ciekawili ją. Zawsze miała dla nich czas i uwagę. Chętnie pomagała. Wielu z nas, dziś już w starszym wieku, doświadczyło Jej wsparcia – czy to radą, czy listem polecającym lub telefonem. Umiała się dzielić – także swoim mieszkaniem.

4. Była, jak wszyscy dobrze wiemy, homo politicus. Do samego końca, jeszcze w Superjednostce, słuchała stacji TVN, wywiadów, obrad sejmowych. Doskonale orientowała się w wydarzeniach, faktach, nazwiskach. Dzięki temu było z nią o czym porozmawiać.

5. A przede wszystkim Ziuta umiała cieszyć się życiem. Śmiać się i żartować. Bardzo lubiła opowiadać historie, w których często z wdziękiem przesadzała, zmieniała fakty lub dodawała nowe zakończenia.

Ale Ziuta miała i swoje „szare godziny”, pełne obaw, wątpliwości, a czasem i rozczarowań. Mimo to – do końca – pozostawała młoda duchem. „Żywe srebro” – jak

mówiła o niej p. Irenka, współmieszkanica z Domu Opieki w Bażantowie. Bo Ziuta miała apetyt na życie. Chciała żyć. Czekała i cieszyła się z każdego telefonu, z każdej informacji. Planowała spotkania, planowała wyjazdy.

Towarzyszyła nam do końca. I chy-

ba nawet bardziej, niż zdawaliśmy sobie z tego sprawę. Dlatego teraz, w Jej Imieniu, dziękuję Państwu – Rodzinie i Przyjaciółom – za czas, uwagę i troskę Jej poświęcony. Za obecność zarówno w dobrych, jak i w trudnych chwilach. Ziuta potrafiła być dobrym i oddanym Przyjacielem. I taka niech pozostanie w Naszych sercach na zawsze. ■

Józefina, Ziuta, Ziuteczka

MARTA FOX

Józefinę Rebeś, zwaną przez przyjaciół Ziutą, poznałam w Klubie Literackim na Misjonarzy Oblatów. Organizowała tam spotkania z pisarzami, repetytoria i konwersatoria oraz warsztaty dla olimpijczyków. Działalność przynosiła dochód, dzięki któremu ZLP nie musiał w kryzysowych latach 89/90 otwierać w ogrodzie kiosku ze smażonymi kielbaskami, co wówczas było w modzie. Jej kreatywność była godna podziwu, choć wówczas jeszcze nie odmienniano słowa „kreatywny” przez wszystkie możliwe przypadki.

W roku 1995 w domu kultury „Koszutka” założyła Józefina Salon Artystyczny, który działa do dzisiaj i może poszczycić się setkami spotkań przy pełnej widowni. Miałam przyjemność otwierać ten salon prezentacją swoich erotyków. Na fortepianie improwizował Michał Banasik. Razem z Basią Stawowczyk, polonistką, Ziuta stworzyła również salon dla zainteresowanej literaturą i sztuką młodzieży. Obowiązywały w nim, jak pisało na zaproszeniach, „dobre maniery i elegancja”. Józefina zamiast ambicji dosiadania

dyrektorskich stołków miała taki zwyczaj, że jak już rozhułała swój pomysł, to przekazywała jego realizację innym, a sama wpadała na kolejny. Tym to sposobem otworzyła wspólnie z Igą Herok salon artystyczny w Norymburdze.

Był też czas, kiedy Ziutka zmieniła „branżę”, powołując klub podróżników „Ariadna”, w którym organizowała wyjazdy zagraniczne o zabarwieniu literackim i historycznym. Wymyślanie trasy odbywało się albo w restauracji „Labirynt” na Staromiejskiej albo w jej mieszkaniu, na 11. piętrze Superjednostki, przy suto zastawionym i wykwintnie przygotowanym stole.

Kiedy odwiedzałam ją słoneczną jesienią 2022 roku w Domu Seniora na Bażantowie, była pełna energii i radośnie chwyciła każdą chwilę. Nawet zwykłe gałązki nawłoci ją cieszyły. Witła mnie często słowami: „Mam pomysł!”. Lubiłam to u niej. Ziutka zawsze miała pomysły, a my, jej koleżanki, miałyśmy robotę, nieraz tak żartowałyśmy.

Ktoregoś ponurego dnia powiedziała: „Spójrz na mnie, tak o siebie dbałam, cho-

dziłam do kosmetyczki, robiłam rano makijaż. I po co traciłam czas? On i tak zrobił ze mną, co zechciał” – uśmiechnęła się, wieszając na szyi sznur koralu.

Innego dnia pokazała mi siniaki na twarzy, nodze, ręce. „Przewróciłam się w łazience – powiedziała. – Czuję, że już zbliża się mój koniec. Ciągle o tym myślę”. Ja też myślałam, Ziutko. Każdy myśli, tylko niektórzy się nie przyznają. To pomyślmy teraz, ile dobrych chwil za nami. Ziutko, i cieszymy się, że siedzimy w ogrodzie. „No to zrób nam selfika” – proponowała. I robiłam. Dlatego tak wiele kolorowych spotkań w ten sposób udokumentowałam.

Ziutko, byłaś świetną przyjaciółką. Zdążyłaś ucieszyć się z podarowanej książki Katowice nie wierzą łzom, w której zamieściłam tekst o Tobie. Wiele Ci zawdzięczam w sensie zawodowym i „siostrzanym”. Nauczyłaś mnie przede wszystkim tego, że jak nie spróbuję, to nie będę wiedziała, czy pomysł wypali. ■

Przyjaciółka

ELŻBIETA HURNIK

Ziuta – tak nazywaliśmy naszą przyjaciółkę, przez kilka dziesięcioleci animatorkę, jak by się dzisiaj powiedziało, życia kulturalnego w Katowicach, związaną z różnymi placówkami i instytucjami, a także – poprzez kontakty osobiste – ze śląskim środowiskiem naukowym. Wspomina ją wielu przyjaciół i z tych wspomnień można by z pewnością zbudować portret bogaty w szczegóły, mieniący się różnymi barwami, portret osoby zwyczajnej (jak to często sama podkreślała) i zarazem niezwyklej (co potwierdzali i potwierdzają nadal Jej dawni przyjaciele i znajomi). Osoby, z którą każdego z nas wiązały różne okoliczności, przedsięwzięcia, spotkania, wyjazdy – słowem,

to wszystko, na czym budują się kontakty między ludźmi.

Poznałam Ziutę jesienią 1976 roku, kiedy profesor Ireneusz Opacki namówił mnie, wówczas studentkę piątego roku polonistki, do podjęcia pracy w Pałacu Młodzieży w Katowicach, w dziale, którym kierowała właśnie „pani Ziuta”. Do dziś pamiętam naszą pierwszą rozmowę, po której bez wahania zdecydowałam się na tę pracę. Do moich zadań (jako nauczyciela instruktora) należało między innymi prowadzenie spotkań młodzieży z wybitnymi twórcami zapraszonymi przez nasz dział. Trzeba tu podkreślić, że Pałac Młodzieży był wówczas miejscem przyciągającym całe klasy uczniów szkół

podstawowych i średnich, oferującym młodym ludziom różnorodne formy rozwijania zainteresowań. Do tych, którzy pragnęli pogłębiać swoje pasje literackie, skierowane były konkursy poetyckie i spotkania z takimi pisarzami, jak Tadeusz Nowak, Tadeusz Śliwiak, poeci ze środowiska śląskiego, jak Tadeusz Kijonka, Feliks Netz, i wielu innych. Ponadto zapraszani byli twórcy związani ze sceną, teatrem, filmem, co pozwalało młodym ludziom poznawać różne obszary sztuki i twórczej działalności. Dzięki pomysłom Ziuty, starającej się angażować uczniów do udziału w rozmaitych przedsięwzięciach kulturalnych, mogli oni pod naszą opieką brać udział w wycieczkach do in-



nych miast, zwiedzać muzea (np. wystawę w Muzeum Literatury im. Adama Mickiewicza w Warszawie), uczestniczyć w spektaklach teatralnych.

Podczas dziesięcioletniej pracy w Pałacu Młodzieży miałam okazję wiele nauczyć się od Ziuty. Obserwowałam, jak przyjmowała gości zaproszonych do udziału w spotkaniach – pisarzy, reżyserów, aktorów – z jaką uwagą traktowała każdego z nich. Ale ważni byli dla Niej także wszyscy, którzy szukali kontaktu z literaturą i sztuką: uczniowie, nauczyciele, studenci, czytelnicy biblioteki działającej w Pałacu Młodzieży. Obowiązki zawodowe ułatwiała Ziucie rzadko spotykane poczucie humoru, które jest niezawodnym środkiem w utrzymywaniu kontaktów między ludźmi, a także w rozwiązywaniu trudnych spraw. Ziuta przyciągała do siebie tych, którzy cenili dowcip i poczucie humoru, ludzi interesujących się otaczającą rzeczywistością i mających o niej coś do powiedzenia.

Rozstając się w roku 1987 z Pałacem Młodzieży, nie rozstałam się z Ziutą. Pozostała w kręgu moich najbliższych przyjaciół – przyjaciół „katowickich”, którzy są dla mnie równie ważni, jak przyjaciele w rodzinnym mieście. Nie traciłam z nimi kontaktu, jeździłam na spotkania, które Ziuta organizowała w kolejnych miejscach swojej pracy, brałam udział w wycieczkach zagranicznych naszej grupy. Ziuta również przyjeżdżała do Częstochowy, przeważnie na dwa lub trzy dni, podczas których mogłyśmy rozmawiać godzinami; uwielbiana była przez moje dorastające wówczas córki, czekające na naszego gościa równie niecierpliwie jak ja. Kiedy pracowałam w Wiedniu, Ziuta nas (mnie i moją młodszą córkę) odwiedziła i spędziłyśmy wspólnie piękny czas. Na zawsze pozostaną mi w pamięci długie nocne rozmowy, zwiedzanie miasta, a także smakowanie wiedeńskiej kuchni i dobrych trunków. Bez tych ostatnich trudno

zresztą byłoby w pełni określić osobowość i zwyczaje Ziuty. Jako świetna i pomysłowa kucharka знаła smak dobrych potraw i dobrego alkoholu oraz rolę umiejętności kucharzkich w uprzyjemnianiu życia i w budowaniu dobrych obyczajów towarzyskich.

Tu należy wspomnieć, rzecz jasna, o prywatnym „salonie” Ziuty, salonie mieszczącym się w niewielkim mieszkanku w wieżowcu przy ul. Korfatego. Tę małą przestrzeń Ziuta wypełniła w sposób artystyczny, nie tylko pod względem wyposażenia. Przede wszystkim była to przestrzeń dla gości przyjmowanych prawdziwie po królewsku znakomitym poczęstunkiem i trunkami (niełatwe zadanie w tamtych czasach). Ale najważniejszą formę salonowego obyczaju stanowiła rozmowa, którą Ziuta potrafiła z wprawą pokierować. Wszak wiemy, że salon zawsze był przede wszystkim miejscem konwersacji; u Ziuty mówiło się o sprawach ważnych i mniej ważnych, komentowało ówczesną rzeczywistość (a dyskusje w latach 80., 90. i późniejszych były zażarte!), wydarzenia kulturalne, epizody z naszego wspólnego życia. Do niezwykłych umiejętności Ziuty należało inicjowanie rozmów, „przekazywanie” podjętych wątków gościom; sama gospodyni pozostawała niejako (jak to już podkreślano) osobą „drugiego planu”. Co, rzecz jasna, nie ograniczało Jej udziału w gorących dyskusjach.

Ziuta była osobą cieszącą się życiem, pielęgnującą więzi z przyjaciółmi i ze swoją rodziną, z jej kolejnymi pokoleniami, potrafiącą znaleźć wspólny język z młodymi ludźmi. Powtarzała niejednokrotnie, że miała szanse żyć „w ciekawych czasach” i że czuje się spełniona, że życie przyniosło Jej więcej niż mogła oczekiwać.

Teraz wie dzie dalsze życie – już w naszej pamięci. ■

U Ziuty. Salon i przechowalnia

ALEKSANDER NAWARECKI

Opowiadając o Ziucie, wolałbym teraz mówić o „Józefinie”, bo francuska postać imienia sprzyja literackiej anegdocie, która wiedzie nas do romantycznego Wilna, gdzie znakomity salon prowadziła madame Słowacka-Bécu. Bawiła braci Śniadeckich, młodego Mickiewicza, czy oddanego jej Edwarda Odyńca, a jednak po latach, jej syn krytykował matczyzny styl salonowej konwersacji. Salomea bowiem zawsze mówiła dokładnie to, co chcieli usłyszeć goście. Tymczasem Juliusz przeżywający wtedy mistyczną przemianę, pragnął głosić innym tylko prawdę płynącą z serca, choćby najbardziej bolesną. Poruszające, ale w ten sposób nie da się prowadzić salonu! Chyba, że się jest ekscentrycznym geniuszem, który samą obecnością działa jak magnes.

I pomyślałem o Ziucie, zastanawiając się w jaki sposób brylowała w swoim lite-

rackim królestwie. Panicznie bała się solowych występów i raczej nie błyszczała w wymianie bon-motów, ale czy posiłkowała się pochlebstwem, czy sypała komplementami? I czy jej niezapomniany, perlisy śmiech był kokieteryą, czy maskował nieśmiałość? Tego nie wiem, ale wiadomo, że skromności nie nadrabiała „pozycją” polityczną, finansową, czy towarzyską, bo nie była „gwiazdą” ani „celebrytką”. Natomiast jej atutem był wykwintny stół i barek, choć domową gościnność ograniczała przestrzeń „dziupli” formatu M2, w tyleż słynnej co strasznej Superjednostce. Wyraźnie nie sprzyjał jej genius loci; Katowice to nie Paryż czy Lwów, ani Kraków czy Warszawa – jak zauważył Wojciech Kilar – wszak bez rynku, Piwnicy pod Baranami, kawiarni SPATIF-u czy stlika w „Czytelniku” nikt tutaj nie spotyka

nikogo. To idealne miejsce dla twórców-anachoretów, ale jak tu zakładać salon...

Tylko kto w ogóle ośmielił się mówić, a choćby myśleć, o salonowych fanaberiach? Salony działały dawno, dawno temu, zapewne w pałacach, ale przecież nie w Pałacu Młodzieży im. Bolesława Bieruta! Aristokratyczna instytucja totalnie kłóciła się z PRL-em we wszystkich jego stadiach: stalinowskim, gomułkowskim, a nawet gierkowskim czy jaruzelskim. Potem salon nie pasował do egalitarnej epoki Solidarności, ani do „smutny” stanu wojennego (pisarze najczęściej spotykali się w „kruchcie”), a jeśli w czasach „transformacji” zaistniały legendarne „elity”, a nawet „salony”, to nikt nie nazwałby ich „literackimi”. Przypominam, że świetność tej instytucji przypadła na wiek XVIII i XIX wieku, zaś w XX stuleciu defi-

nitywnie zastąpiły ją literackie kawiarnie. Nie mówimy jednak o Katowicach, gdzie wątle przejawy życia literackiego „ucześć” się mogły co najwyżej bibliotek, oddziałów ZLP i SPP, ew. redakcji literackich gazet. Tym miejscom brakowało jednak salonowego sznytu: w czytelnicy wystarczyły same książki i cisza, w redakcji – telefon, kawa i papierosy, a w lokalu związkowym – biurko, przy którym załatwiano przydziały papieru, stypendia, zapomogi. Jeśli nawet wpadali tam na siebie koledzy po piórze i niekiedy udało im się na zapleczu wychylić kielicha, to przecież nie było życie salonowe.

Literacki salon pani Rebeś, (a właściwie salony, bo chyba był jeszcze Salon Artystyczny), zaistniał oficjalnie dopiero w roku 1995, kiedy przechodząc na emeryturę rozstała się Pałacem. Nie opuściła jej jednak pasja działania ani zażyłość ze środowiskiem literackim, zaś idea salonu, trochę staroświecka, trochę ekscentryczna obiecywała nową przygodę niemłodej już osoby. Przyglądałem się z daleka, z podziwem i nie dowierzaniem, jak ten osobliwy byt, jakby duch czy kaprys upartej emerytki tuła się między Biblioteką Śląską a filią Biblioteki Miejskiej, między redakcją „Poglądów” (a może już „Śląska”?) i siedzibą SPP, a nawet znajduje chwilową rezydencję w dalekiej Norymberdze. Spotkania i rozstania z tymi instytucjami, zapewne coś wnosili, bo nie jest chyba przypadkiem, że w czasie współpracy Ziuty z dyrektorem Malickim w Bibliotece powstał Klub Dobrej Książki i Śląski Wawrzyn Literacki. Wyczuwam tu znajomą aurę, nawet gdyby te instytucje miały konkurować z jej Salonem. I wyczuwam duchową ciągłość z tym, co robiła wcześniej, kierując przez długie lata pałacowym Działem Czytelnictwa, a zwłaszcza opiekując się utalentowaną młodzieżą, bo Klub Literacki, zdaje się może jej największym, najbardziej pożytecznym dokonaniem. Zwracam uwagę, że angielskie słowo club, wolno uznać za brytyjski wariant francuskiego „salonu”; nie ma mowy o przypadku, bo znamion „klubowego” stylu wypatrywałbym w jej podejściu do rutynowych obowiązków. Właśnie w stylu, z jakim organizowała wieczory autorskie, konkursy literackie, imprezy okolicznościowe (najczęściej rocznicowe), otwarte wykłady, aktorskie recitale, kursy dla maturzystów i kandydatów na studia czy warsztaty twórcze i wiele innych akcji. Zapraszała znanych pisarzy i sprawdzonych prelegentów, nauczycieli akademickich i renomowanych pedagogów z okolicznych liceów, a także ludzi z szerokiego świata, także polityki, bo nawet pojawiali się postawie (Edmund Osmańczyk i Jan Szczepański). Zmieniały się dydaktyczne cykle i tematy „kursów”, ale powtarzały nazwiska prowadzących je osób – najciekawszych i najbliższych Ziucie. W ten sposób gromadziła wokół siebie krąg wybranych ludzi, choć trud-



no byłoby mówić o zamkniętej „klicie”, czy towarzyskiej „paczce”, bo wciąż potrzebne były „nowe twarze”, „wschodzące gwiazdy” i „sezonowe atrakcje” – zupełnie jak w salonie.

Wtedy mówiło się o „środowisku”, czy „towarzystwie”, a kluczowe słowo na literę „s” zabrzmiałoby jak złośliwość. A jednak, ten ekscentrycznie brzmiący termin pojawił się, a raczej objawił, w pobliżu Ziuty już w połowie lat siedemdziesiątych. Myślę o tytule znakomitego eseju Elżbiety Hurnikowej pilotującego jej doktorat, a dwie dekady później książkę pod tytułem Natura w salonie mody (Warszawa 1995). Doktorantce zafascynowanej fenomenem Marii Pawlikowskiej i estetyką secesji słowko „salon” otworzyło zaskakujące konteksty, a zarazem uwolniło się od skojarzeń ze snobizmem towarzyskiej „śmietanki”. Ela pracowała wtedy u Ziuty, a wkrótce pojawiła się tam Iga Herok (wieloręczna, wielojęzyczna, muzykalna i z wiatrem w żaglach) i wreszcie Teresa Darmon z siostrzanego Działu Imprez – oddana do końca. Te trzy młode damy mogły być córkami Ziuty i jako zastępowały jej rodzinę, a jeśli do tego fraucymeru dodać jeszcze żony artystów, Zofię Nowakową i Wilnę Duda-Gracz, to widać jak blisko im było do formuły kobiecego salonu, z odległej epoki sentymentalizmu.

Uparcie myślę o genezie owej „salonowości”, a na myśl mam jeszcze typowo męską i poetycką zarazem trójcę Tadeuszów – Kijonkę, Nowaka i Śliwiaka. Ziuta przyjaźniła się z nimi chyba już w latach sześćdziesiątych, spontanicznie zatem organizowała ich wspólne imienniny, przybierające z czasem postać dorocznego rytuału, a nawet spektaklu, coraz szerzej otwartego dla publiczności. Kiedy wokół solenizantów pojawiali kolejni goście (Ernest Bryll, Michał Sprusiński, Stanisław Balbus, Jan Paweł Gawlik czy najbliższy gospodyni Wojciech Żukrowski), wtedy Ziuta popijająca z nimi herbatę miała prawo po-

myśleć, że beztrudnie pogaduszki z luminarzami słowa, to naturalna kontynuacja anegdot, żartów i ciętych ripost jakie wymieniali się w Ziemiańskiej. A może jeszcze wcześniej na pokojach u Krasieńskich, na filomackich biesiadach, na obiadach czwartkowych albo nawet w Czarnolesie? Pamiętam o proporcjach, ale przecież zawsze szło o to samo: o przyjaźń, słowo, zabawę.

Ziuta miała szczęście do Tadeuszów, bo był jeszcze Tadeusz Sławek (i cała grupa „Kontekst”), a szczęśliwe imię Feliks nosił jej wszechstronny kolega – Felek Netz, i szczęśliwe były też inne personalne wybory: z radia – Krystyna Bochenek, z filmu – Kazimierz Kutz, z satyrycznej krzywizny – Andrzej Czeczot i oderwany od sztalug Duda-Gracz. A koniecznie wymienić trzeba plejadę profesorów Uniwersytetu Śląskiego, bo Ziuta miała tam własną katedrę literaturoznawstwa, w której zatrudniła Annę i Ireneusza Opackich, Renardę Ocieczkową, Zbigniewa Jerzego Nowaka, Jana Malickiego, Krzysztofa Kłosińskiego i najbardziej czarującą polonistkę mojego pokolenia – Annę Węgrzyniak.

A to już mój świat, moi nauczyciele i koledzy, bo polonistykę skończyłem na UŚ w drugiej połowie lat 70. i trafiłem do Działu Czytelnictwa. W głowie wtedy miałem teorię literatury i komplet strukturalistycznych wypaczeń. Interesowały mnie wyłącznie „teksty”, gardziłem zaś materialnością książek i konkretnością żywych pisarzy. Autor – jak wiadomo – umarł, więc nie obchodził mnie ani trochę, a tym bardziej „biografistyczne” konteksty. Tymczasem u Ziuty wszystko było dokładnie na odwrót, chciała zobaczyć „twarz” autora, a nawet zasiąść z nim „przy stole”. Filozoficzną słuszność przyznałby jej Emmanuel Levinas, krytycznoliteracką – Michaił Bachtin, semiotyczną – Jurij Łotman. Może powinienem ją przeprosić za tamte myśli antysalonowe, ale mam w miarę czyste sumienie, bo zawsze kojarzyłem jej działania z Iwaszkie-

wiczowym Stawiskiem, gdzie w aurze nacyjnej, okupacyjnej czy komunistycznej kolaboracji pisarze dostawali talerz zupy, ciepłe łóżko, pożyczkę. A ja trafiłem pod roczną kuratelę, czy raczej pod opiekuńcze skrzydła Ziuty, dzięki protekcji Opackiego, który szukał dla mnie „przechowalni”. Może powinien mówić o „kryjówe”, bo kiedy uczelnia mnie nie chciała, a tęskniła za mną armia, to Pałac okazał się strefą bezpieczeństwa. Potem „przechowywali” się tam się kolejni poloniści, Michał Noszczyk i Leszek Zwierzyński, ale też Zygmunt Słaboń i Jacek Dubikajtis, którzy właśnie wyszli z obozów internowania, by potem ruszyć na emigrację. Wiec nie tyle salon, co schronisko, skrytka, schron i za to zyczliwe przechowanie

jestem Ziucie wdzięczny najmocniej i najbardziej.

Nie chcę kończyć tak wzniosłe, a samemu odgrywać outsidera, bo prawdziwymi uciekinierami byli wówczas niektórzy nieletni uczestnicy pałacowego Klubu Literackiego. Uciekali przed szkołą i rodziną, przed ulicą i okolicą w świat literatury, by wśród klubowiczów znaleźć bratnie dusze, a czasem ratunek. Kiedy jednak przypominam sobie figury jakże licznych wychowanek i wychowanków Ziuty, także moich podopiecznych, to wrócić muszę do estetyki salonowego splendoru. Wszak Olgierd Łukaszewicz, sławny aktor, to zarazem prezes ZASP-u, Bogusław Sobczuk – król konferansjerów, Maciej Szczawiński – czarodziej

mikrofonu, nadredaktor Jerzy Illg – podwawelski luminarz i współtwórca quasi-salonowego „NaGłosu”, Marian Kisiel – profesor, dyrektor, dziekan, doktor honorowy Akademii, Krzysztof Łęcki, też profesor, złotousty bywalec telewizyjnych dzienników, Piotr Zaczekowski, filigranowy, ale wielka figura w Mieście i wreszcie „ekscelencja”, czyli Piotr Wilczek, bo chyba tak zwracamy się do ambasadorów. A to przecież tylko poloniści, poeci, wierszokleci. Gdzie i od kogo nauczyli się tej sztuki? Proszę wybaczyć ten żart, bo młodzież z Klubu nie uczyła się od Ziuty sztuczek, lecz prawdziwej sztuki, nie tylko literackiej. A ona zawsze uczyła się od młodych, co jest sztuką nad sztukami. ■

Skromna pani na salonach

TERESA DARMOŃ

Nie często los stawia nam na drodze ludzi, którzy po cichu i bez szczególnych zabiegów zajmują tak ważne miejsce w naszym życiu. Taką osobą była Ziuta Rebeś. Skromna, powściągliwa w emocjach, ale bardzo skuteczna w działaniu. A przede wszystkim otwarta na ludzi i na nowe wyzwania.

Trudno mi przyzwyczać się do myśli, że Jej już nie ma. Nawet jeśli miałyśmy przerwę w kontaktach, zawsze miałam poczucie, że gdzieś tam jest. Młoda duchem i ciałem Ziuta – najlepsza szefowa, jaką można sobie wymarzyć, absolutny autorytet w sprawach życiowych i świetna kumpelka, jeśli mogę użyć tak poufalego zwrotu.

Minęło prawie 45 lat, jak poznałyśmy się w Pałacu Młodzieży i prawie 35 lat,

jak zaczęłyśmy razem pracować w Domu Literatury. Początki były trudne: zapuszczony wnętrza, brak sprzętów i środków potrzebnych do organizacji imprez. Pierwsze wrażenie było przytłaczające, ale Ziuta z właściwą sobie pogodą ducha podjęła wyzwanie. Drugiego dnia pracy zjawiłyśmy się obie z wiadrami, ścierkami, środkami do sprzątnięcia i zakasałyśmy rękawy. Ale zanim to nastąpiło, Ziuta wyjęła małą buteleczkę z koniakiem i zaproponowała tzw. bruderszaf. Byłam od niej młodsza o 27 lat i trochę mnie to zaszokowało, ale z czasem przestałam zauważać tę różnicę. Zresztą Ziuta zawsze świetnie dogadywała się z młodymi ludźmi i przyjaciółmi, którzy pozostali z nią do końca byli od niej o pokolenie młodszy.

Powoli udało się wyposażać wnętrza Domu Literatury w telewizor, pianino, sprzęty kuchenne do małego bufetu. Potem zdarzało się nam robić w nim po 100-200 kanapek, gdy przyjeżdżał ważny gość. A było ich sporo, by wymienić tylko kilku z nich: Agnieszka Osiecka, Maria Nurowska, Ewa Lipska, Wojciech Żukrowski, Józef Hen, Er-

nest Bryll, Tadeusz Nowak, Michał Ogórek. Spotkaniom z poetami i pisarzami towarzyszyła muzyka i ekspozycja w ramach Galerii Jednego Obrazu.

Notes z Ziuty z telefonami i jej osobiste kontakty z ludźmi nauki, kultury i sztuki były tu na wagę złota. Nie było jednak Internetu, by wyszukać potrzebne informacje. Muszę tu podkreślić niebywałe wyzwanie i talent dyplomatyczny Ziuty. Gdy chciała pozyskać dla nas jakąś ważną osobę, nigdy nie robiła tego telefonicznie, tylko pisała bardzo elegancki list. To była dla mnie nowość, bo choć do ery komórkowej było jeszcze bardzo daleko, moje pokolenie załatwiała większość spraw za pomocą telefonu. Co tydzień zatem w czwartkowe popołudnie Dom Literatury zamieniał się w intelektualny salon, gdzie przy lampce wina słuchało się poezji i muzyki, dyskutowało na ważne tematy. Goście i przyjaciele klubu dobrze się u nas czuli, więc widmo utraty tego miejsca napawała nas zgrozą. Środków było coraz mniej i by utrzymać klub, Ziuta reaktywowała tzw. Wszechnicę Literacką – odpłatne kursy przygotowawcze dla maturzystów, prowadzone przez kadrę wydziału polonistyki UŚ.

Tymczasem stary system wyraźnie się walił, szalała inflacja, doszło do rozmów Okrągłego Stołu. Po pierwszych wolnych wyborach nastąpiły reformy Balcerowicza i w nowej, już wolnorynkowej gospodarce, prowadzenie takiego klubu okazało się zbyt kosztownym kaprysem. Znalazł się spadkobierca dawnych właścicieli budynku i Związek Literatów Polskich musiał się wynieść. A wraz z nim my. W Polsce działały się ważne rzeczy – kto miał wspierać jakiś klub literacki utworzony pod szyldem nagle niewłaściwego związku literatów.

Ziuta i jej salon znalazł swoje miejsce w Domu Kultury na Koszutce, a ja na 30 lat

związałam swoje życie zawodowe z branżą wydawniczą. Choć nasze drogi się rozeszły, nie traciliśmy kontaktu. Ziuta wciąż wymyślała nowe przedsięwzięcia – a to klub podróżniczy, a to jakiś konkurs, czy kolejną imprezę w Bibliotece Śląskiej. Podziwiałam, jak niby mimochodem wyczarowywała smakowite potrawy, zwłaszcza swoje legendarne torty. W małym przytulnym mieszkanku gościła tłumy ludzi, nigdy nie okazując zmęczenia. Podróżowała, rozwijała zainteresowania, była na bieżąco w sprawach kultury i polityki.

To Ziuta utwierdziła mnie w przekonaniu, że życia nie wolno marnować.

Niemal do końca aktywna, była dla nas mądrą i dowcipną kumpelką, z którą lubiliśmy pogadać przy lampce metaxy. Zawsze pogodna i uśmiechnięta sprawiała, że w jej towarzystwie nigdy nie myśleliśmy o czymś takim, jak wiek czy różnice pokoleń.

Ostatnie lata spędziła w domu seniora, ale i tam pozostała niespokojnym duchem. Wciąż kombinowała, jak rozruszać pensjonariuszy. Zabrała nawet torbę z kapeluszami, by zorganizować wraz nimi bal kostiumowy. Trochę się tam nudziła, bo i wzrok, i słuch mocno już szwankował. To był dla niej dramat – osoba, która całe życie przeżyła z literaturą, teraz nie mogła czytać, a i audiobooki trudno było słuchać. Pozostały jej rozmowy z odwiedzającymi ją przyjaciółkami i wspomnienia z dobrych czasów. Ale niemal do końca pozostała dawną Ziutą – wciąż mobilizowała nas do kolejnych spotkań towarzyskich poza terenem domu seniora.

Robiła się stopniowo coraz mniejsza i chudsza, z trudem chodziła, coraz więcej spała, ale gdy przychodziłyśmy, uśmiechała się i chciała „pogadać”. Taką Ją zapamiętamy. Wiele mnie nauczyła, za co teraz ogromnie Jej dziękuję! ■

Marmur i młodość

Co ma (nie)wspólnego rap z poezją?

JAKUB JAKUBIK

Jak by to absurdalnie nie brzmiało, czeladnikiem u Kochanowskiego i potomkiem Mickiewicza nie jest dzisiaj poeta, ale właśnie raper.

Piotr Stankiewicz

Rap obecnie króluje w świecie muzyki popularnej i bez względu na to, czy oceniamy to zjawisko pozytywnie czy negatywnie, warto zwrócić na nie uwagę. Współcześnie poezja stała się raczej zabawą lub narzędziem dla elit, jednocześnie zdaje się, że więcej ludzi pisze poezję niż ją czyta. W związku z takim kryzysem potrzeba obcowania ze słowem przeniosła się na inne medium. Idąc za Piotrem Stankiewiczem, powiem, że tym medium jest rap. Czy rap i poezja mają coś ze sobą wspólnego? Co się stanie, jak przyłożymy narzędzia literaturoznawcze do tekstu rapowego?

Zapraszam na krótki „wybryk” publicystyczny, w którym przyjrzymy się historii zawartej w *Marmurze*, albumie studyjnym, który Filip Szcześniak (ps. Taco Hemingway) wydał nakładem Asphalt Records w listopadzie 2016 roku. Do 2019 roku „krążek” osiągnął status platynowej płyty z 30 tysiącami sprzedanych kopii. Można więc uznać, że jest to dzieło wpisujące się w nurt muzyki popularnej, które jednocześnie wciąż jest żywe w pamięci słuchaczy, mimo upływu kilku lat i wydanych przez ten czas albumów. Taco jako twórca charakteryzuje się sporym potencjałem intertekstualnym oraz wyróżnia się na tle innych twórców pod względem znajomości kultury, co mam nadzieję, pozwoli dostrzec potencjał tekstu rapowego jako gatunku godnego kiedyś stanąć w szranki z poezją. Chciałbym w ten sposób zaprosić miłośników tradycyjnej wersyfikacji do przychylniejszego spojrzenia na nową drogę ekspresji poetyckiej.

O rapie wersów kilka

Zanim o *Marmurze*, wpierw kilka słów o badaniu i klasyfikacji rapu. Przeszło 25 lat temu Shusterman trzeźwo zauważył, że klasyfikacja rapu jako sztuki jest kłopotliwa. W utworach rapowych nie występują żywi muzycy (ale wcześniej przygotowany podkład), piosenki są mówione lub recytowane, a słowa wydają się często proste i brutalne. Z drugiej strony już poezja awangardowa stwarzała podobne problemy badaczom. Po czasie rap został zaklasyfikowany jako sztuka wpisująca się w estetykę postmodernizmu. Argumentem

„za” jest proces samplowania (uzyskiwanie dźwięków i fragmentów z wcześniejszych utworów w celu stworzenia bitu), a co za tym idzie zamiłowanie do eklektyzmu i mieszania stylów. Wszystko to dzieje się w atmosferze wielkiego entuzjazmu względem nowych technologii i kultury masowej. Rap odrzuca autonomię estetyczną i podkreśla to, co lokalne i czasowe, rzadko odnosząc się do tego, co powszechne i wieczne.

Czy tekst rapowy jest pisany wierszem? Jeśli tak, to czy istnieje coś takiego jak wiersz hip-hopowy? Gdy przyjdzie nam porównać poezję śpiewaną z rapem, intuicyjnie wychycimy elementy charakterystyczne dla danego gatunku. Gdy podejmiemy próbę zestawienia poezji z tekstem rapowym, również okaże się, że mamy do czynienia z czymś zgoła od siebie odmiennym. Możemy zaklasyfikować rap jako swego rodzaju wiersze, ponieważ są autoteliczne, ale podlegające innym paradygmatom – chociażby paradygmatowi muzycznemu (bit), albo paradygmatowi rymu i nawiązań specyficznych dla kultury rapu. Po omówieniu kilku podstawowych cech możemy śmiało włączyć rap do sztuki. Jednak mimo niektórych elementów tożsamych z poezją, rap jasno kształtuje się jako twór odrębny. Warto zaznaczyć, że *tekst rapowy jest poematem, który oczekuje wykonania* (A. Bradley). Pełną ontologiczną wartość takiego dzieła otrzymujemy dopiero po wykonaniu tekstu przez artystę, co zbliża rap do korzeni literatury, czyli do Homerowskiej tradycji oralnej.

W *Marmurze* pojawia się wiele motywów szeroko omawianych i obecnych w poezji. Proponuję, abyśmy wraz z przechodzeniem przez zagadnienia albumu poszukali w swej pamięci wierszy i porównali je, traktując to doświadczenie jako okazję do niezobowiązującej rozrywki. Teraz skupię się na albumie muzycznym.



Okładka albumu zwyciężyła w Cover awArts 2016

Podróż

Ważnym elementem w rapie jest zamiłowanie do lokalności, która w przypadku Taco Hemingwaya również wybrzmiewa. Artysta swoje utwory często osadza w Warszawie, śmiało opisując i diagnozując miasto i jego mieszkańców. *Marmur* jest inny. Mimo jawnych nawiązań miejskich i jednego utworu osadzonego *stricte* w Warszawie, jego centrum stanowi podróż oraz pobyt w nieistniejącym hotelu „Marmur”.

Motywy podróży w sztuce jest bardzo częstym i wielokrotnie omawianym toposem, który wciąż pozwala na odkrywanie nowych, niezbadanych dotąd łądów. W przypadku *Marmuru* podmiot liryczny jest podróżnikiem, który ucieka ze swojego świata, licząc na odpoczynek.

Pierwszy, tytułowy utwór albumu otwiera charakterystyczny śpiew kobiety, zaczerpnięty z filmu Jerzego Kawalerowicza *Pociąg* (1959). To nawiązanie nie jest bynajmniej przypadkowe, ponieważ bohaterowie *Pociągu*, Marta i Jerzy, podobnie jak podmiot liryczny, znajdują się w drodze z Warszawy nad Bałtyk (w przypadku filmu mowa jest o Helu, a w przypadku albumu muzycznego destynacją jest Sopot). Nastroj filmu koresponduje z atmosferą wykreowaną w albumie muzycznym, eksponując enigmatyczność i znamiona refleksji o charakterze psychologicznym – w *Marmurze* zarysowanej poprzez charakterystyczne dialogi podmiotu z innymi bohaterami. Aspekt refleksji będzie towarzyszył bohaterowi od początku jego podróży, czy w konflikcie, który rozpoczyna się wraz



Stopklatka z teledysku „Deszcz na betonie” autorstwa grupy takie.pany

z obserwacją zza szyby przedziału: *Pana co tu najwyraźniej cztery zimy przesiedział / Zimny wzrok, gesta broda, pod nią kły ma niedźwiedzia*. Od tego momentu postać zaniedbanego mężczyzny będzie towarzyszyła Filipowi (*Przy okazji jestem Filip Szczesniak gdybyś nie wiedział*) do końca jego podróży, jednocześnie stając się ważną osią interpretacyjną i kluczem przy odkrywaniu ważnych motywów. Jak się później okaże, jest on jednym z powodów podróży.

Warto poświęcić chwilę tej postaci: *Patrzy na mnie ciągle typ jakby starał się bratać / Wyprany tweed i koszula jakby stara cerata*. Mimo, że nie znamy wyglądu podmiotu lirycznego, wnioskując po opisie, dostrzegamy pewną barierę społeczną, którą towarzyszy z pociągu chce przełamać. Wydaje się to doświadczeniem powszechnym. Postać mężczyzny (prawdopodobnie lekko podchmielonego, zaniedbanego, w przedziałowym pociągu), który kroczy w naszą stronę, by zapytać o *Stan ducha i cywilny, czym para się tata*, jest wydarzeniem znanym lub zapośredniczonym. Tutaj jednak pojawia się pewien twist: *Dostrzegam chłodny marmur jego oka / Czarne myśli w jego czaszce już się budzić chcą / Pragnienia ma ukryte, nie na pokaz / Widzę, że chce mieć duży dom, pełen cudzych żon*. W ten sposób postać zdaje się być jedynie kreacją, wyobrażonym *alter ego*, doświadczonej oczami wyobraźni Filipa.

Wątpliwość znika przy wejściu w refren: *Chce mieć duży dom, pełen cudzych żon, słyszysz? / Tylko tobie mówię wprost, że ja lubię brnąć w cyfry [...] Cały dom w marmurze, cały dom w marmurze*. Rapera jednak ogarnia przerażenie wziętą siebie w takiej formie i zerka w telefon: *Wpisuję kod 4822 / Sześć nieodebranych od Jedyńaka*. Jedynek (pseudonim) planuje trasę koncertową Taco Hemingwaya: *A ja uciekłem, bo mnie męczy rapgra [...] Chcę wszystkie prace swoje spalić jak przed śmiercią Kafka, i: Chcę wypocząć, zanim skończę jak ten współpasażer*.

Z ciężącym bagażem codzienności i refleksją Filip wyrusza w podróż. Erik Cohen zalicza do jednego z typów podróżniczych tych, którzy czują się wyobcowani, a utraciwszy wiarę w wartości celebrowane we własnym środowisku, starają się osiągnąć jakieś doświadczenie o charakterze zastępczym. Odnajduję w tym opisie postać Filipa, który zmęczony środowiskiem rapgry, poszukuje doświadczenia zastępczego w hotelu „Marmur”, bo: *Chce żyć w hotelu, czasem co najwyżej pójść na plażę / Napisać płytę, pić herbatę i czuć się jak starzec*. Szczególnie intrygujące zdaje się to, że podróż korespondująca z vitalnością i młodością ma stać się w tym przypadku kluczem do doświadczenia starości, lub kulturowej wizji spokoju, jaką może dawać słuszny wiek, bo

– jak zauważa Tadeusz Sławek – to kultura zabrania starości czynić i każe mówić – najlepiej od rzeczy. Wydaje się, że Filip chce przestać czynić (grać koncerty), zamknąć się (na świat) i mówić od rzeczy (od rapgry).



Marmur

Kolejną ważną osią interpretacyjną jest marmur. Podmiot widzi w nim zarówno niebezpieczeństwo zamknięcia się w pułapce idealizacji przez środowisko raperskie (dom pełen cudzych żon ma być marmurowy), jak i szansę, bo hotel „Marmur” ma przynieść otwarcie na inny świat i ukojenie. Marmur w sztuce i kulturze odsyła do bogactwa, prestiżu i potęgi tego, co minione. Jest też świadkiem historycznym dlatego, że jest stały i trwały. Starość hotelu pojawia się też pośrednio w dialogu, bo Portier wita przybyśza zaproszeniem na „wieczorek taneczny”, a w pokoju czeka na niego „video powitalne”. Są to praktyki hotelowe raczej dawno zapomniane i charakterystyczne dla turnusów uzdrowiskowych, na które wyjeżdżają raczej starsi niż młodszy podróżnicy.

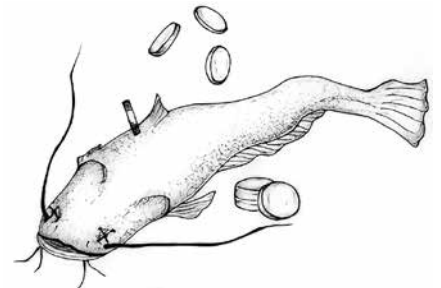
Zazwyczaj młodzi zachwyceni procesem własnego rozwoju nie chcą słuchać trudnej lekcji starości. Z punktu widzenia młodości starość jest głupotą. Starość dostrzega niedojrzałość młodości i zarazem żal jej własnego doświadczenia, którego nie ma komu przekazać. Filip zdaje się podejmować próbę odnalezienia personifikacji dobrej starości, od której mógłby się uczyć – mędrca. Niestety nie trafia na mentora, w hotelu próżno szukać mądrości, a jedyną postacią żywo zainteresowaną jest Portier i nieodłączne, zaniedbane *alter ego*. Filip wyrusza w podróż, by: *Poczuć się jak starzec*, co sugeruje, że chce szukać odpowiedzi w sobie samym, zamiast zwrócić się w stronę mądrości, którą oferuje starość. Filip jest turystą zamkniętym w sobie.

Starość vs młodość

Okazuje się, że podmiot nie jest jedynym. W *Żyrandolu* dowiadujemy się, że wielu artystów przyjeżdża do tego miejsca. Jest to argument za traktowaniem hotelu jako swego rodzaju meta-hotelu, wyobrażonej przestrzeni, do której odbywa

się wymagowaną podróż w celu odzyskania spokoju ducha (może to być gra z pewną PRL-owską estetyką, gdzie istniały „Domy Pracy Twórczej”). Tylko że inni goście, w przeciwieństwie do podmiotu-obszernika wydarzeń, zamiast poszukiwać spokoju ducha, upijają się bez namysłu dużymi ilościami whisky. Jest to wyraźna sugestia, że częścią ucieczką, tripem jest dla wielu artystów alkohol. Chwilę później kieliszek podnosi w oddali osoba, w której Filip rozpoznaje pociągowego współpasażera, swoje *alter ego*. Dowiadujemy się wtedy, że taki rodzaj ucieczki jest mu dobrze znany z autopsji.

W skicie *Portier!*, w tle słychać utwór Marty Mirskiej *Pierwszy siwy włos*. Podmiot skarży się na hałas, który słyszy z pokoju wyżej i płacz z pokoju niżej, sugeruje, że osiwiuje ze stresu, na co Portier odpowiada: *Rzeczywiście, skroń jakby srebrniejsza*. Kreuje się tutaj pewien konflikt dotyczący wizji starości. Utwór Marty Mirskiej sugeruje zgodę na mijający czas i nieprzemijające uczucie, gdzie słowa Filipa wywracają sens, zwracając uwagę, że to nie czas jest powodem starości – ale stresujące, zamykające doświadczenia. Po rozmowie słyszymy pierwszy wers utworu *Mgła I (Siwe włosy)*: *Zaskoczyłaś mnie / Jak pierwsze siwe włosy moich rodziców*.



Otwiera się w ten sposób dialog dwóch utworów *Mgła I (Siwe włosy)* i *Mgła II (Mówisz masz)*. Zaskoczenie siwym włosem w pierwszym utworze staje się narzędziem do opisu dwóch stanów. Podmiot zdumiewa się swoją romantyczną relacją, która była mu bliska, lecz jest już przeszłością. Poprzez: *obcy love song*, sekretarki hotelowej i karcjarza, który pojawia się wcześniej w *Żyrandolu*. Dwie sylwetki potencjalnych kochanków są przedstawione karykaturalnie, szczególnie postać mężczyzny. Wcześniej w *Grubo-chudych psach* podmiot przedstawiał swoją relację z kobietą w sposób wyidealizowany, młodzieńczy. W *Mgłach* wypowiada się o swojej relacji z dozą pesymizmu, podobnie opisuje relację hotelowej pary. Wydaje się, że mówi jak zmęczony i zamknięty na życie starzec, który porzucił młodzieńczą naiwność. Same tytuły sugerują pewne zaćmienie, brak widoczności. Tak samo zresztą jak siwy włos starości, mgła jest siwa. Otwiera to możliwość interpretacyjną, że „zamglenie”, brak możliwości percepcji pełne-



Taco Hemingway podczas koncertu w Warszawie, 2018

go obrazu rzeczywistości może być cechą zarówno młodzieńczą, jak i starczą, nie ma i nie powinno być narracji nadrzędnej i słusznej. Skostniałość podmiotu jest spowodowana wyrządzoną mu krzywdą, a opis obiektu zadumy sekretarki poprzez optykę niechęci do jego systemu wartości.

Taco Hemingway, czyli Everyman

Jedną z cech, na którą stawia rap, jest autentyczność osoby i autentyczność doświadczenia. Sukces Taco jako artysty jest zakorzeniony w zręczności przekazywania doświadczenia Everymana, czyli innymi słowy doświadczenia bliskiego odbiorcom. Po mocnym portrecie karciarza w *Mgle II (Mówisz masz)*, podmiot opowiada o swoich trudnościach w zdobywaniu serca kobiety, ujmując je w metaforę szkolnej lekcji wychowania fizycznego. Świat jest wufem a ja nie mam stroju – z dystansem i błyskotliwością uderza w uniwersalne doświadczenie w języku metafory szkolnej.

Podobnie *Świecące prostokąty* przedstawiają krytykę i absurdy, na jakie sobie pozwalamy w świecie nowoczesnej technologii. Podmiot jest „każdym zwykłym” członkiem społeczności, co sprawia, że łatwo w tekście o poczucie uwidza autentyczności i braterstwa/siostrzeństwa. Może to być jeden z powodów wpływu

i pozytywnej recepcji wśród odbiorców. Jest też zaczątkiem rozłamu, którego zobrazowaniem jest postać z pociągu. Filip zauważa jak zmienia go życie artysty, że zaczyna się borykać z innymi problemami niż ogół społeczeństwa. Apogeum rozdarcia przypada na *Ślepe sumy*: Ślepe sumy ślepe sumy, wszędzie ślepe sumy / Szykuj trumnę, mam objawy tej pieniężnej dżumy. Terapią na objawy *pieniężnej dżumy* jest *Żywo!*. Dość szczegółowe prześledzenie drogi „od zera do bohatera” zbliża słuchacza do Filipa i daje wiarę, na dobrą przyszłość mimo wcześniejszych wątpliwości.

Sciany mają uszy jest hołdem dla przyziemnych czynności

Everymana, wyjściem z anhedonii, tak też pobyt w hotelu Marmur zostaje zakończony – *Tylko ja, długopis, papier oraz żmudne chwile / Ale muszę wracać do Warszawy, jutro kupię bilet.*

Czas

Próbując rozwikłać szczegóły dotyczące pobytu Filipa w hotelu, natrafiamy na wiele trudności. Wśród fanów krążą domysły i teorie, czy hotel „Marmur” istnieje i czy faktycznie Taco Hemingway napisał płytę w trakcie podróży. Uważam, że takie rozważania są wydumane i mimo wysokiej roli autentyzmu w rapie, sądzę, że przekaz albumu i jego rzetelność polega bardziej na szczerej refleksji nad sobą samym niż na eksponowaniu istniejących miejsc. *Chronologia mi kuleje, nie wiem w sumie ile / Tu spędziłem*

dziłem czasu, ale chciałbym drugie tyle – sugeruje pewną dziwną właściwość pobytu w hotelu. Filip nie jest w stanie do końca określić ani osadzić w czasie turnusu, który miał go oczyścić z rozdarcia. Efekt chaosu wzmożony jest przez sample z *Pociągu* Kawalerowicza i utworu Marii Mirskiej, bo w gruncie rzeczy nie wiemy, w jakich czasach obraca się Filip. Wydają się nam one współczesne, a jednak akompaniament jest o kilkadziesiąt lat starszy. W drodze powrotnej do Warszawy okazuje się nawet, że: *Odbicie w kiosku, grube zmarszczki na powiece świecą, o! / Wyglądam jakbym lat miał jakieś siedemdziesiąt, o!* Podmiot w ten sposób wyraźnie oddziela się od autora, sugerując, że album jest meta-podróżą, albo przestrożą. Opisana podróż może się wydarzać wielokrotnie, od zwątpienia i rozdarcia przez terapeutyczne refleksje do *katharsis*.

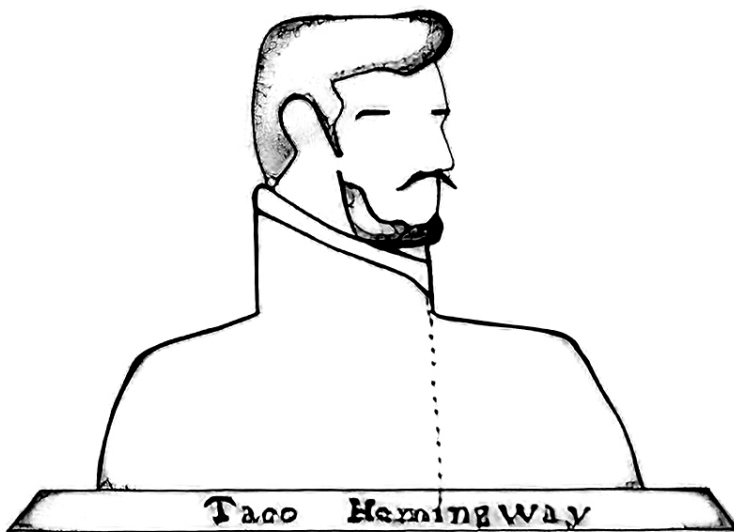
Marmur może zatem być opowieścią o pisaniu, o uldze, jaką daje twórczość oraz z jakim obciążeniem się wiąże. Już w *Marmurze* Portier wita Filipa słowami: *Zdajemy sobie sprawę, że przed panem ogrom pracy oczywiście, niemniej zachęcam pana do uczestniczenia w życiu naszego hotelu*, co sugeruje jasno, że celem tej podróży jest tworzenie i obcowanie z hotelem. Może w ten sposób Taco chce nam powiedzieć: *Exegi monumentum aere perennius – monumentum marmor?* To domysły, bo otwartość i mnogość interpretacji nie pozwalają na jeden słuszny odbiór tekstu, co jest argumentem, że pomnik mógł zostać wzniesiony udanie.

Gdzie tu poezja?

W krótkiej formie postarałem się zwrócić uwagę na kilka ciekawych, moim zdaniem, aspektów pojawiających się w albumie. Nie jest to argument w dyskusji, czy rap to pozytywne artystycznie zjawisko, ale raczej próba przeniesienia doświadczeń interpretacyjnych na dotąd niezbadane medium. Być może jest to kredyt zaufania. Lub nie. Jeżeli od tej pory czytelnik nie miał okazji spotkać się z *Marmurem* albo z Taco, to zachęcam do przesłuchania albumu. Może się okazać zaskakująco dobrym uzupełnieniem do lampki wina podczas chłodnych zimowych wieczorów. Nie jest to patos ani kultura wysoka, ale błysk w kulturze popularnej, który pomoże otworzyć się na nowe horyzonty i przełamać niechęć do *mainstreamu*. Może rap nie jest poezją, ale podobnie jak poezja wkrada się po cichu, uczy otwartości i wymyka ostateczności. ■

Może się okazać zaskakująco dobrym uzupełnieniem do lampki wina podczas chłodnych zimowych wieczorów. Nie jest to patos ani kultura wysoka, ale błysk w kulturze popularnej, który pomoże otworzyć się na nowe horyzonty i przełamać niechęć do *mainstreamu*. Może rap nie jest poezją, ale podobnie jak poezja wkrada się po cichu, uczy otwartości i wymyka ostateczności. ■

Rys. Roksana Jania



Szekspir jako celebryta?

KRZYSZTOF KORWIN-PIOTROWSKI

Podczas niedawnego pobytu nad Bałtykiem, zobaczyłem w Teatrze Muzycznym w Gdyni musical *Something Rotten!* w reżyserii Tomasza Dutkiewicza. Głównymi bohaterami spektaklu są bracia Spodek (the Bottom Brothers), którzy chcą stać się sławni, ale na ich drodze stoi William Szekspir. Wsłuchują się w przepowiednie Nostradamusa i mają nadzieję na zmianę sytuacji. Chcą, aby powiedział im, jaka sztuka Szekspira będzie najsłynniejsza. Prorok mówi, że jej tytuł to... *Omlet*. Przewiduje też, że najbardziej pożądana przez publiczność będą spektakle z tańcem i śpiewem. Za jego namową bracia Spodek postanawiają więc stworzyć musical *Omlet*. Brzmi to absurdalnie, więc nieprzypadkowo musical *Something Rotten!* (Coś gnije) jest porównywany do twórczości Mela Brooksa i grupy Monty Pythona.

Na studiach teatrologicznych na Uniwersytecie Jagiellońskim czytałem dramaty Williama Szekspira w różnych tłumaczeniach, najpierw Józefa Paszkowskiego, które mnie trochę męczyło. Później zachwyciłem się przekładami Macieja Słomczyńskiego do czasu, gdy pojawiły się tłumaczenia Stanisława Barańczaka. Jesteśmy jako Polacy szczęściarzami, ponieważ Szekspir żyje nie tylko w treści swoich sztuk, w świetnej intrydze i budowaniu postaci, ale także w ewoluującym języku polskim. Dzięki temu okazuje się jeszcze bardziej uniwersalny i współczesny, o czym świadczą najnowsze tłumaczenia Piotra Kamińskiego. Nawet kiedy zna się dobrze angielski, nie jest łatwo przebrnąć obcokrajowcowi przez język Szekspira w oryginale, ponieważ ma już ponad 400 lat. Można jednak odkryć wiele ciekawych słów, zwrotów i wyrażeń, które są zaskakujące. Pisał o tym np. profesor językoznawstwa David Crystal („Polityka”, 22.04.2016). Lady Makbet chce być „unsex” czyli pozbawiona kobiecej natury. Jakież to ciekawe określenie także w naszych czasach! Odwołanie przekleństwa to „uncurse”, a cofnięcie słowa – „unspeak”. Słowo u Szekspira miało niesamowitą moc: mogło stwarzać i niszczyć, bywało wspaniałe i niebezpieczne.

Natomiast ze spektaklu granego w Teatrze Muzycznym w Gdyni można się dowiedzieć, że literacki geniusz był nieuczciwy i podkradał pomysły innym pisarzom. Pamiętamy jed-

nak, że w tamtych czasach prawa autorskie nie były respektowane, więc nawet gdy pisarz korzystał z cudzych pomysłów, nie był uznawany za „złodzieja”. W 2022 roku w „The Guardian” opublikowano artykuł „Nowe dowody sugerują, że Szekspir mógł ukraść fabułę *Cymbelina*” – dramatu o królu Brytanii (Dalya Alberge, 24.04.2022). Badacze szukają powiązań między sztukami Szekspira i ocalałymi notatkami Thomasa Northa. Dennis McCarthy używa do tego celu od 2005 roku oprogramowania antyplagiatorskiego. Natomiast Michael Blanding opublikował w 2021 roku książkę *North by Shakespeare*, wydaną kilka miesięcy później pod zmienionym tytułem *In Shakespeare's Shadow* (W cieniu Szekspira). Nie zmieni to jednak faktu, że Szekspir był geniuszem, a większość jego dramatów przetrwała próbę czasu i jest zrozumiała na całym globie.

Jak powiedział w jednym z wywiadów reżyser Tomasz Dutkiewicz: „Szekspir w naszym przedstawieniu jest gwiazdą, jest celebrytą dokładnie tak, jak to słowo rozumiemy – nie tylko dramaturgiem, ale kimś, kto jest bożyszczem tłumów. To w dużej mierze jest opowieść o showbiznesie” („Pomorze Kultury”, YouTube 23.08.2022). Amerykański musical stworzony przez braci Wayne’a i Karey’a Kirkpatrick jest zabawą w teatr, niewiele mającą wspólnego z biografią Williama Szekspira. Przedstawione tu postaci są karykaturami. Trzeba jednak przyznać, że akcja toczy się wartko. Jeśli ktoś przychodzi na ten spektakl, oczekując rozrywki, na pewno się nie zawiedzie. Muzyka jest taka, jak powinna być w musicalu: melodyjna, wpadająca w ucho, dobrze zinstrumentowana. Spektakl miał premierę na Broadwayu 22 kwietnia 2015 roku i został zagrany 708 razy, więc nie odniósł oszałamiającego

sukcesu. Był nominowany do 10 nagród Tony i zdobył jedną – przyznaną aktorowi Christianowi Borle’owi. Miał też 11 nominacji do nagród Outer Critics Circle Awards, ale nie uzyskał żadnej.

Gdyńskie przedstawienie jest bardzo dobrze śpiewane i tańczone (udana choreografia Sylwii Adamowicz z dobrymi układami stepowania Macieja Glazy). Można podziwiać z pieczołowitością wykonane kostiumy według projektów Anny Adamek i Martyny Kander. Scenografia Wojciecha Stefaniaka robi wrażenie swoją monumentalnością i zmiennością, z dobrym wykorzystaniem sceny obrotowej i warunków technicznych. Gdyby zmieniono kostiumy na XX-wieczne i zamiast Szekspira postawiono w centrum Freda Astaire’a – mogłoby być równie rozrywkowo, zwłaszcza że jednym z najbardziej popisowych „numerów” jest w tym spektaklu układ stepu.

Ojciec Williama Szekspira był bogatym rękawicznikiem i handlarzem, a także radnym Stratfordu. Stracił jednak dużą część majątku w wyniku swoich nieuczciwych interesów i karnych spraw za nielegalny handel wełną oraz lichwiarstwo. William chciał być sławny i bogaty, więc musiał pisać dużo i szybko, aby zapewnić sobie palmę pierwszeństwa. Czasem podkradał pomysły, intrygi i bohaterów innym pisarzom, ale zmieniał je tak, że do dziś trzymają widzów i czytelników w napięciu. Jego język był niesłychanie bogaty, metaforyczny i zaskakujący, więc wśród angielskich dramatopisarzy okazał się najlepszy. ■



Ech, ten konserwatyzm

KRZYSZTOF ŁĘCKI

Bartłomiej Najtkowski recenzję mego studium „Stadiony świata. Pomędzy Gemeinschaft i Gessellschaft („Studia Europaea Gnesnensia” nr 24/2022) zatytułował „Futbol w oczach socjologa, czyli tęsknota za minionym”. Podobne tony („tęsknota za minionym”) pojawiały się w innych recenzjach „Stadionów...”. Nie zamierzam uciekać od konserwatywnej etykiety. Przy czym uwaga ta dotyczy w równym, a może nawet w większym, stopniu – moich felietonów. O ich zbiorze pisała Monika Gneciak: „wydaje się, że właśnie felietony, ze względu na swoją podlegającą naciskowi terażniejszości formę i zakorzenienie w aktualnych wydarzeniach przede wszystkim mogą być narażone na tę efemeryczność tonu i stylu. Nie w tym przypadku. Łęcki proponuje nam lekturę tekstów, które łączą nie tylko charakterystyczne pióro autora, ale i spójność poglądów, zapamiętań i tematów. Mamy do czynienia z całością, którą scala sposób widzenia świata, ugruntowany w przemyśleniach i lekturach kontakt z rzeczywistością” (Ich terażniejszość jest naszą przyszłością (rec. z książki: Krzysztof Łęcki, „pre-teksty i kon-teksty. Krótkie szkice z »socjologii obyczajów i komunikacji społecznej«”), w „Opcje”, nr 1–2, 2016.

I Nie mam powodu polemizować ze wspomnianą recenzją Najtkowskiego. Książka jego zdaniem jest wszak „obszerna i wnikliwa”, jest „przekrojowym spojrzeniem na futbol”; zaś „(w)ielkość wątków i omawianych aspektów czynią ją atrakcyjną dla każdego czytelnika. Rozdziały układają się w spójną narrację, ale mogą być też czytane pojedynczo lub w kolejności odmiennie od tej ze spisu treści. Autor umiejętnie łączy wątki lokalne i globalne, historyczne i współczesne. Siłą książki jest również to, że nie kryje własnych emocji i daje czytelnikowi do zrozumienia, jakie jest jego zdanie na temat futbolu. A jest ono takie, że dawniej był to sport lepszy niż dzisiaj”. Odstawmy na bok futbol. Dawniej było lepiej – czyż nie tak najłatwiej przedstawić konserwatyzm? Otóż – dawniej na pewno było inaczej. Czy lepiej? Talleyrand, wybitny polityk, człowiek, który przeżył Ancien Régime, Rewolucję Dyrek-

tariat, Cesarstwo, Restaurację, monarchię lipcową, mógł oświadczyć z taką pewnością, że nie zna słodyczy życia ktoś, kto nie żył przed Rewolucją. Ale dzięki Rewolucji mamy nowoczesność, a nawet ponowoczesność. Daniel Bell, znakomitość amerykańskiej socjologii, już dawno temu przekonywał, że przesłanie „jestem człowiekiem i nic co ludzkie nie jest mi obce”, w radykalnie modernizującym się świecie brzmi: „jestem człowiekiem i nic co nieludzkie nie jest mi obce”.

II Nowoczesność dla wielu jest synonimem postępu społecznego, kulturowego, cywilizacyjnego i – na pewno – technologicznego. Jerzy Jedlicki zastanawiał się w swojej książce „Świat zwyrodniał. Łęki i wyroki krytyków nowoczesności”: „.../ czemu tak wielu ludzi wykształconych i rozumnych tak głęboko gardzi nowymi formami życia, które są dziełem ich współczesnych. Jakie są źródła pesymizmu historycznego całego legionu pisarzy i filozofów ostatnich trzech stuleci, którzy te nowoczesną cywilizację mają za zwyrodniałą, nikczemną i szczęśliwie zmierzającą do swej zagłady?”. Jedlicki swoje rozważania doprowadza do początków XX wieku. Pisał: „Był to czas względnej politycznej stabilizacji i wielkich sukcesów nauki i przemysłu”. No cóż, w tamtym czasie prawdziwym bestsellerem, ba przedmiotem kultu, stał się w oświeconych kręgach książka Normana Angella zatytułowana „Wielka iluzja”. Autor udowodnił w niej, że wobec ekonomicznej i finansowej współzależności państw europejskich agresor i ewentualny zwycięzca ucierpiałby w tym samym stopniu co pokonana przez niego ofiara agresji. Innymi słowy: nie byłoby po wojnie w Europie wygranych, przegraliby wszyscy aktorzy europejskiego teatru wojennego. Doktrynę wyłożoną przez Angellego w „Wielkiej iluzji” propagowano jako dogmat, tak bardzo jej przesłanie wydawało się nieodparte. A jednak niedługo potem wybuchła Wielka Wojna, zwana dzisiaj I wojną światową, w jej wyniku rozkwitły dwa totalitaryzmy – komunistyczny i narodowo-socjalistyczny; i II wojna światowa. Stalin, Hitler (i ich kontynuacje – Mao i Pol Pot)... Nigdy wcześniej dyktatorzy nie byli

odpowiedzialni za śmierć wielu milionów ludzi. Czyż trójka z wyżej wymienionych totalitarystów nie powoływała się na postępowe doktryny społeczne? „Krwawy skończy się trud/ Gdy związek nasz bratni/ Ogarnie ludzki ród”? A jak było? Może więc nie ma się co specjalnie dziwić się „łękiom i obawom krytyków nowoczesności”?

III W tzw. dyskursie potocznym krytykowanie nowoczesności to od dawna stawianie się z góry na przegranej pozycji. Jak podsumowywał to Maciej Rybiński: „Na Zachodzie w latach 70. w ogóle nie było wierzących i praktykujących konserwatystów przyznających się otwarcie do tego, że są konserwatystami wartości. Konserwatystą było się mianowanym wbrew własnej woli, jeśli głosiło się poglądy nieakceptowane przez kontrolerów opinii publicznej. Kto został zetykietowany jako konserwatysta, przestał istnieć. Nie było potrzeby z nim polemizować, wystarczyło wzgardliwe stwierdzenie, że to przecież konserwatysta”. Nie inaczej działo się w świecie artystycznym: „Awangarda wprowadziła straszak >>konserwatyzmu<< przeciw każdemu, kto się z nią nie zgadza. Analogicznie marksizm” – pisał w swym „Dzienniku” Krzysztof Mętrak.

IV A przecież trzeba było konserwatysty Ronald Regana, konserwatystki Margaret Thatcher i konserwatywnego Jana Pawła II, żeby zwyrodniał świat postępu społecznego jakim był komunizm załamał się w latach 80-tych ubiegłego wieku. Ktoś powie, ech, konserwatyzm to tęsknota za „niegdysiejszymi śniegami”. I co niby miałyby ona przynieść realnie? Wreszcie jeden z bohaterów „Kaloszy szczęścia” Jana Christiana Andersena, chwala czasów minionych, ubiera przypadkiem kalosze szczęścia i... I trafia w tak upragnioną przez siebie przeszłość, przeżywając prawdziwy koszmar. Tak, oczywiście, to bardzo przekonujący obraz. Niemniej – z drugiej strony – dystopia przedstawiona przez Aldousa Huxleya w „Nowym wspaniałym świecie” to wreszcie nic innego jak obraz zwyrodniałego świata nowoczesnej przyszłości. Może zatem warto, odrzucając skrajności, po prostu zachować rozsądek.

Książnica Matka. Biblioteka Polska w Rumunii

JAN MALICKI

W stulecie Matki Żywicielki
Śląskiej Humanistyki.
Bibliotece Śląskiej.

Zapewne wielu czytelników zdziwi zderzenie pojęć Polska i Rumunia, na dodatek w kontekście nazwy instytucji, w rzeczy samej – czujemy to – na wskroś lokalnej. Instytucji, której podstawową funkcją jest służebność wobec najbliższej społeczności, korzystającej z jej gromadzonych (mniej lub bardziej profesjonalnie) zasobów. Uniwersalnych, lub jedynie specjalnych, np. polskich. Taka biblioteka, to bowiem przecież ledwie wysepka wobec dominującego, lokalnego żywiołu etnicznego. Biblioteka i jej księgozbiór – jesteśmy wszak w XIX wieku – zawsze skupiały i nobilitowały małą, przybyłą z daleka, społeczność. Tak było w paryskiej Bibliotece Polskiej, założonej w 1838 roku przez m.in. Adama Jerzego Czartoryskiego i Juliana Ursyna Niemcewicza jako fundacja Wielkiej Emigracji, czy w Muzeum Narodowym Polskim w Rapperswilu otwartego 23 października 1870 roku przez Władysława Broel-Platera. Wszak jego celem głównym było – czytamy w akcie fundacji – „zbieranie i przechowywanie polskich pamiątek historycznych do chwili odzyskania niepodległości przez państwo polskie”. Z czasem zakładana antykwaryczność przedsięwzięcia zmieniła swój charakter. Stała się czymś więcej niż znakiem przeszłości. – „Muzeum Polskie w Rapperswilu jest dziełem zbiorowym Szwajcarów i Polaków. Jest ono – pisze Anna Buchmann, dyrektorka muzeum – przykładem koegzystencji dwóch kultur i dowodem, że kultura służyć może zbliżeniu i zrozumieniu narodów. Wspólnym mianownikiem powstałej zażyłości jest wychyleność w marmurze, na kolumnie stojącej na wzniesieniu zamkowym, maksyma: MAGNA RES LIBERTAS”.

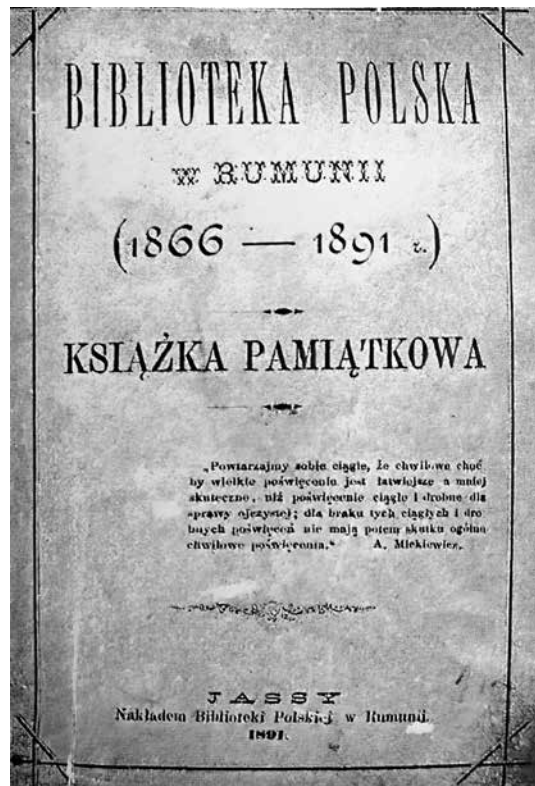
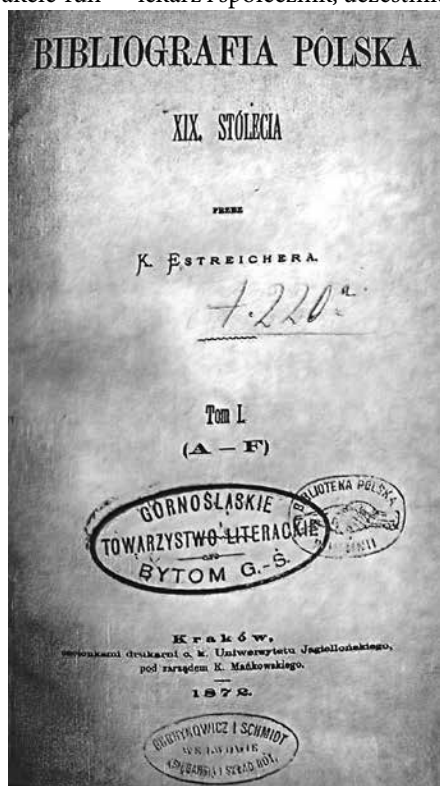
Okrutnie z tymi zbiorami zgromadzonymi w mieście pełnym krzaków róż sadzonych przez znakomitych go-

ści, postąpił Los. Przeniesione do kraju przeszło sto lat temu, po latach, 24 września 1939 roku, w całości spłonęły. Inne, choć także z momentami dramatycznymi, były natomiast dzieje Biblioteki Polskiej w Rumunii, której – uprzedźmy punkt – przetrzebione zbiory zachowały się do dziś. Spróbujmy więc zrekonstruować dzieje tylko jednej z wielu polskich bibliotek na uchodźstwie, powstających i peregrynujących po Europie i obu Amerykach. Ale tej wyjątkowej, która odegrała w dziejach Śląska niezwykłą rolę. Ważną przez swoje trwanie i silną swoim autorytetem.

Początki Biblioteki Polskiej w Rumunii sięgają czasów powojennych, kiedy to gromady wychodźców po upadku powstania styczniowego wędrowały po całej Europie i nie tylko. Był rok 1866. Rok szczególny, rok ogromnych zmian na południowo-wschodniej części naszego kontynentu. Po przemianach politycznych i przyjęciu nowej konstytucji na mapie Europy pojawiła się też i nowa nazwa kraju – Rumunia. Wtedy też w Mihalenach (Mihaileni) na pograniczu Mołdawii i Bukowiny, osiedlił się lekarz i spolecznik, uczestnik

powstania styczniowego, dr Julian Łukaszewski. Z jego inicjatywy powstała wkrótce gmina Zjednoczenia Emigracji Polskiej, największej powojennej organizacji skupiającej wychodźców z naszego kraju, a osiadłych w Europie i Stanach Zjednoczonych. Wśród wielu celów, jakie ta organizacja sobie stawiała były te, zdawać by się mogło, najprostsze z możliwych, jak nauka pisania i czytania, gromadzenie i udostępnianie czytelnikom polskich książek. Ale i cele głębsze, perspektywiczne, jak szerzenie, utrzymanie i popularyzacja kultury polskiej na terenach odległych od naszych ziem. Takie funkcje spełniały z czasem największe i najbardziej znane biblioteki: rapperswilska, paryska czy wiedeńska.

„I to właśnie dzięki gminie – pisze Magdalena Skóra – a szczególnie dzięki Franciszkowi Kopernickiemu, już 1 października 1866 roku otwarta została pierwsza, niewielka, bo licząca około 200 woluminów czytelnia adresowana do osiadłych tu Polaków. Od początku miała wyraźnie określone, sprecyzowane podstawy prawne. Miała własną »Ustawę Biblioteki Polskiej w Rumunii



i czytelnicy obok niej utworzonych» napisaną – dokładnie – 25 grudnia 1866 roku, dopuszczającą powstawanie podobnych czytelni w innych miejscowościach. Tak powstały – pisze dalej Magdalena Skóra – czytelnie w Bakowie (Bucau), Jassach, Niamcu (Neamt), Bukareszcie, Paszkanach (Paskani), Zworeztach (Zvoresti), Tekuczu (Tecuci), Romaniu (Roman), Botoszanach (Botosani) i Tigru-Frumos”.

Ze wszystkich przywołanych tu miejscowości szczególną rolę odegrały Jassy, dokąd przeniósł się dr Julian Łukaszewski, wielki orędownik polskości, a z zamiłowania organizator przedsięwzięć edukacyjnych. Z jego inicjatywy powołano towarzystwo społeczno-kulturalne pod nazwą »Biblioteka Polska w Rumunii«, nawiązujące do idei podobnych instytucji w Europie i Ameryce. Spoglądając na założenia programowe nowej instytucji, to możemy dostrzec dwie podstawowe sfery poczynić. Jedną to utrzymanie i zabezpieczenie książnicy; drugą to powołanie lokalnej, polskiej szkoły w Jassach. Niestety, ten drugi pomysł nie został zrealizowany. Jednak zebrane fundusze zostały przekazane w połowie Macierzy Szkolnej Księstwa Cieszyńskiego, a w połowie złożone jako depozyt w Towarzystwie »Czci i Chleba« w Paryżu.

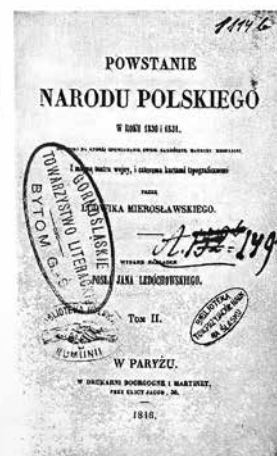
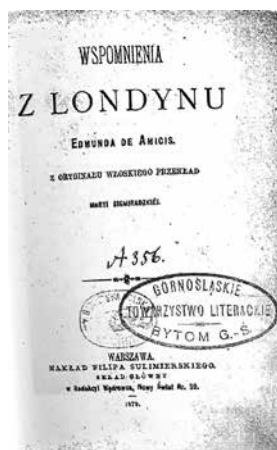
O wiele łatwiejszy do osiągnięcia był pierwszy z celów. Już bowiem w momencie powstania nowej instytucji na apel organizatora odpowiedział Jan Konstanty Zupański – niezwykle szanowany poznański księgarz, ofiarowując 200 woluminów, stanowiących aż 25% całego ówczesnego księgozbioru. A nie był jedynym. Po nim przesłali swoje książki księgarze ze Lwowa, Wilna, Warszawy, Berlina, Lipska, a nawet z paryskiej Księgarni Luksemburskiej Władysława Mickiewicza, nie wspominając już o redakcjach wielu czasopism. Ale byli też inni jeszcze mecenas, opiekujący się tą biblioteką w całym jej trwaniu, m.in. Józef Ignacy Kraszewski, Karol Libelt, Wacław A. Maciejowski, Zygmunt Miłkowski, Eliza Orzeszkowa... Nic więc dziwnego, że w ciągu ćwierćwiecza istnienia Biblioteki Polskiej w Rumunii jej księgozbiór wzrósł do 4242 pozycji. To jedno skrzydło działań biblioteki; drugie to przekazywanie darów innym książnikom. Zarówno ludowym – np. na Śląsku Cieszyńskim, na Warmii, w Galicji, jak również naukowych, do czytelni akademickiej w Aachen, Chemnitz czy Sofii. Niestety, jak to się wielokrotnie w środowiskach emigracyjnych zdarzało pojawiły się animozje, konflikty, wzajemne oskarżenia. To zawsze jest zapowiedź klęski i rozpadu. To niemal znak firmowy zwłaszcza naszych środowisk kulturalnych. Ale co z księgozbiorem? To dylemat i dramat wielu bibliotek dawnych i współczesnych. Pół biedy, gdy – do-

słownie – „księgi trafiają pod strzechy”, gorzej – gdy do potężnego pojemnika z napisem „makulatura” trafiają setki książek, najgorzej – gdy znajdują się one na śmietniku, podlane sosem ideologicznych miazmatów. Na szczęście tamten świat był czasem dominacji kultu książki. Jej ratowania przed niechybnym unicestwieniem. Dzięki Julianowi Łukaszewskiemu nastąpiło – pisze Magdalena Skóra – „przeniesienie Biblioteki Polskiej na Śląsk, dzielnicy, jak twierdził, najbardziej narażonej na wynarodowienie”. Po konsultacji ze Ślązakami podjęto decyzję o przekazanie jej zasobów właśnie na Górny Śląsk, do Bytomia. Jednak warunkiem koniecznym było utworzenie nowej instytucji kultury przejmującej i odpowiadającej za księgozbiór. W dniu 11

lipca 1892 roku utworzono Górnośląskie Towarzystwo Literackie zarządzane przez posła w berlińskim parlamencie, Szmulę oraz Adama Napieralskiego i Juliusza Szaflika. Podstawowym celem było „wydawanie dobrych książek, zbieranie materiałów, tyjących się dziejów, dziejów literatury, zwyczajów ludu itd. Utrzymywać bibliotekę większą, zakładać biblioteczki dla ludu”. Jesienią tegoż roku z Rumunii do Bytomia przekazano „przeszło 4000 dzieł oraz fundusz żelazny, wynoszący 7000 franków w papierach renty rumuńskiej, i kasę podręczną (a właściwie rewers na 98 i 1/2 franków). Oprócz tego jeszcze nadeszło z Rumunii 3824 franki (3108 marek niemieckich) na pomoc naukową dla niezamożnych polskich studentów górnośląskich”. Nie czas na analizę działań GTL-u. To osobne zagadnienie. Warto jednak przypomnieć jedynie wydany w 1902 roku, „Katalog Biblioteki GTL” informujący o całym jej bytomskim już zasobie. Jednak nad księgozbiorem zaczęły się gromadzić chmury. Wojna, czasy śląskich powstań nie sprzyjały kulturze. Komisariat Plebiscytowy proponował oddanie całego zasobu Towarzystwu Czytelni Ludowych, a więc w konsekwencji jego rozproszenie. Na szczęście zarząd GTL-u odmówił. Po raz pierwszy pojawił się też postulat, który wyznaczył książnicy naturalną drogę jej dalszego istnienia, aż po najbliższą nam współczesność. Należy stworzyć właśnie tu, na Górnym Śląsku, „porządną bibliotekę naukową”. To głos ks. Emila Szramka. Był rok 1920. Na przełomie kwietnia i maja „Komisja statutowa zreagowa-

ła odezwę, którą osobno wydrukowano i rozesłano do wszystkich znanych inteligentów polskich na Górnym Śląsku” (J. Łuka: *Z dziejów Towarzystwa Przyjaciół Nauk na Śląsku*). GTL przekształcony został więc w Towarzystwo Przyjaciół Nauk na Śląsku. Niezwykle ważny w tej odezwie był drugi akapit; z jednej strony kontynuujący idee poprzedników, z drugiej zaś wyznaczające nowe jakości działań. Komisja Statutowa pisze: „Celem nowego towarzystwa jest ożywienie nauki i sztuki polskiej na Śląsku poprzez zbieranie i utrzymywanie biblioteki, gromadzenie kultury na Śląsku, urządzenie periodycznych wykładów naukowych, utrzymywanie czytelni naukowej. Te cele musimy my sami, Górnoślązacy, osiągnąć”. Mimo wzniosłych, choć naturalnych idei, codzienność stała się ich ostrym weryfikatorem. Szczególnie po podziale Śląska i przeniesieniu zasobów biblioteki do Katowic. I to z przyczyn wręcz prozaicznych. Brak lokalu był bowiem główną przyczyną decyzji z dnia 22 maja 1934 roku. 10 520 woluminów zarząd Towarzystwa Przyjaciół Nauk na Śląsku przekazał w darze istniejącej od 1922 roku Bibliotece Sejmowi Śląskiemu. Ta z kolei, swoje dublety przekazała jako dar jednej z bibliotek na Śląsku Opolskim.

Dalsze dzieje zbiorów rumuńskich ściśle wiążą się z losami Biblioteki Śląskiej w Katowicach.



Potrzeba wspólnoty

WOJCIECH LIPOWSKI

Życie każdego człowieka jest opowieścią. Historie zaczerpnięte z codziennych, potocznych doświadczeń w jednej chwili mogą być inspiracją, stanowić istotne rozstrzygające doznanie teraźniejszej sytuacji, przeżycia czasu rozumianego jako niedawna przeszłość widziana z obecnej perspektywy. Zatem wspomnianie układa się w proces twórczy przynoszący odbiorcy różne korzyści poznawcze. Nawet doraźne, gdy stanowi komentarz,

czy pochodną przeżyć wspólnych jak w przypadku tych, które miały miejsce dwa lata temu, gdy przez ulice przetaczały się protesty przeciwko zaostreżeniu ustawy antyaborcyjnej. Przyniosły one nie tylko falę komentarzy, odniesień o charakterze społeczno-politycznym, posłużyły również jako materiał dla kobiecej artystycznej kreatywności o różnym charakterze i formie. Jednym z przejawów tamtego wrzenia stały się teksty pisane dla teatru. Teatr mierzący

puls rzeczywistości, interpretujący, nadaje znaczenia sytuacjom, towarzyszy empirii codzienności. W konsekwencji rzeczy, które zdarzyły się w otoczeniu społecznym tak niedawno przecież zaczynają nakładać się na siebie tworząc palimpsest pamięci, aby nie uciały słowa, przeżycia, by nie stłukł się obraz ludzi tamtego czasu, nie pogubiły intencje, marzenia, wyartykułowana wściekłość i bunt.

Odnaleźliśmy pewnego wieczoru wszystkie te sprawy w pajęczynie z wełny, która spowiła bohaterów sztuki Maliny Prześluga. *Kobieta i życie* na deskach Teatru Śląskiego (koprodukcja z Teatrem im. J. Słowackiego w Krakowie) w reżyserii Gosi Dębskiej to próba wyplątania się ze schematów, rozbięcia uwierającej metafory, uwolnienia problemów pochowanych w stereotypach, uprzedzeniach, zwykłym ludzkim strachu czy głupocie. Bohaterką tego artystycznego manifestu jest kobieta, jej portret zwielokrotniony, a właściwie wielość kobiecych doświadczeń rozpisany na grupę aktorów, to jeden wielki monolog opowiadający o kulturowych kliszach, statusie, problemach jak i codziennym życiu.

Malina Prześluga jest dramatopisarką, kulturoznawczynią, autorką książek dla dzieci oraz imponującej liczby dramatów, także kierowniczką literacką Teatru Animacji w Poznaniu. Swoje sztuki publikowała w „Dialogu”, „Nowych sztukach dla dzieci i młodzieży”. Jest m. in. laureatką Gdynińskiej Nagrody Dramaturgicznej za sztuki *Debil* (2020), *Jeszcze tu jesteś* (2022); Ogólnopolskiego Konkursu Dramaturgicznego Strefy Kontakt: *Garnitur prezydenta* (2015), *Nie ma* (2017), *Kobieta i życie* (2021); Ogólnopolskiego Konkursu na Wystawienie Polskiej Sztuki Współczesnej: *Chodź na słówko* (2013), *Smoki* (2016). Jej utwory przetłumaczone na kilkanaście języków grywane są także poza krajem.

Kobieta i życie to spektakl bardzo osobisty, można rzec intymny, mimo że ma bohatera zbiorowego. Jego narracja została utkana z wielu drobnych cząstek życia kobiety i opowiedziana przez kobiety oraz mężczyznę. Od razu zaakcentowano dystans do przedstawianych prywatnych historii powracającą frazą, wypowiedaną przez wszystkich niemal mechanicznie: „To nie ja, nie

fot. Przemysław Jendroska



moja historia, to nie o mnie, to o niej, o tamtej”. To znaczy, że my tu siedzimy jak bohaterowie sztuki na starej kanapie a gdzieś tam, może niedaleko, jakąś „ją” toczy bez końca zło. Czy należy powiedzieć coś więcej, potrzebny psychologiczny komentarz, skoro repetycja stanowi złowieszcze memento, zapowiada opresyjną konieczność życia tam, poza nawiasem teatralnej fikcji.

Dębska w zwyczajny sposób wprowadza nas w głąb rodzimego bagna, gdzie umieszczono wszelkie możliwe klisze społeczne dotyczące kobiet, ich życia, doświadczeń, złożonych powszednich spraw. Oczywiście nie ma tu patosu, jest spora dawka ironii, nawet humoru, ale uśmiech szybko gasnie na twarzach, gdy rulon z manifestem zawierającym oskarżenie rozwija się przed oczami widzów w dynamicznym tempie. Z jednej strony rażąca sztuczność opinii, a także potocznych wyobrażeń dotyczących kobiecego świata, z drugiej absurdalność schematycznych uproszczonych powtykanych w gigantyczny, zrobiony na drutach sweter, w którym unieruchomiono trzy kobiety i jednego mężczyznę. Ciepło, dom, bezpieczeństwo dziergane w długie wieczory, a tu nagle demony wychodzą na powierzchnię, rozdzielają się i zaczynają funkcjonować jako byty osobne, chociaż snujące jedną wielopoziomową historię o poszukiwaniu wolności tej „innej”, „tamtej”.

Koło fortuny kręci się niemrawo w stworzonym z włóczki świecie. Oszczędna a jednocześnie krzycząca barwami, rozedrgana podmuchami powietrza scenografia Anity Piotrowskiej, oplata nie tylko postaci, ale przede wszystkim ludzkie myślenie starające się uporządkować świat, wyartykułować za sprawą poszczególnych monologów, czasem wyspiewanych songów, że każda egzystencja ma charakter czasowy. Powstaje ciekawa propozycja poznawcza dla odbiorcy tekstu Prześluga, a mianowicie poszczególnie elementy dyskursu nałożone niejako na prawdziwe życie stają się metaforą spraw ogólnych, uniwersalnych wpisanych w aktualny kontekst, lecz – podkreślmy to – twórcom udało się uniknąć taniej publicystyki i przez to zwiększyć siłę oddziaływania teatralnej wypowiedzi. Te fragmenty biografii bohaterki spektaklu, czyli narracje aktorów nasączone ich wrażliwością, pomysłowością stają się sposobem percepcji, formą doświadczenia, poszukiwania wspólnoty, porozumienia, siostrzanego powinowactwa. I choć ciągle słyszymy nachalne zdanie: „Nie moja historia. I nie moje życie”, to przecież także w końcu padną słowa: „Jestem twoją siostrą. Nic o mnie nie wiesz. Nie będziesz szła sama”.

Partytura została, jak wspomniano, rozpisana na cztery aktorskie głosy. Trzy



aktorki w różnym wieku: Alina Chechelska, Anna Lemieszek i Agnieszka Przepiórska. Trzy osobowości, charakter, wrażliwość, interpretacje, spojrzenia na życie. Grają i śpiewają historie, dystansując się wobec lepionej postaci, współczują, ale trzymają się na dystans. Bardzo przekonująco i pięknie. Gosia Dębska doskonale żongluje poszczególnymi elementami konstrukcji dramaturgicznej tego manifestu, przenosząc akcenty z jednego poziomu na inny, aby wypunktować najważniejsze elementy tej feministycznej układanki. Wersy przepływają w następujących po sobie epizodach, podmiot, który jest z założenia fikcją tej opowieści, wypowiada swoje prawdy i przemyślenia wyznaczając obszar narracji, dzieląc go na odrębne segmenty biograficzne bohaterki. Kobiety blisko czterdziestoletniej, doświadczonej przez życie, pozbawionej możliwości decydowania o własnym ciele, życiu, ale też niedalekiej przyszłości. Trzy kobiece głosy nie tylko ją opisują, ale też nadają tekstualne wcielenia, budują jakieś konstrukty wypełnione treścią, komentarzem, subiektywnym odczuwaniem, może współzuciem, stwarzają, grzebiąc bezlitośnie w prywatnej historii, domniemane prawdziwe „ją”, chociaż to nie ich egzystencja.

Chechelska, Lemieszek, Przepiórska, grają powietrzem, ulotnością, ale też grubą kreską prowokacji, przerysowania a to dlatego, iż autorki tej inscenizacji nie kryją, że chodzi im o społeczną siłę oddziaływania tekstu. Rzecz jasna poza negatywnymi emocjami, jakie zapewne towarzyszyć będą odbiorcom manifestu, pojawiają się bez wątpienia próby utożsamiania się z przedstawioną propozycją spojrzenia na omawiane kwestie, czemu sprzyjać będzie dosadność artykułowanych tu kobiecych głosów. Otwartym pozostanie pytanie, co po niedawnym fermentie społecznym ocalało, co zrobiono ze zrodzonym wówczas potencjałem, kreatywnością, czy będzie jakieś dalej. Twór-

cy tego ważnego spektaklu prezentują taki sposób myślenia, który stwarza pole dla wielu analiz, spekulacji i jest następstwem poczynionej już na początku deklaracji, by nie był on tylko głosem jednostki w tak ważnych sprawach, lecz aby opisał, zdefiniował aktualny moment rzeczywistości.

No i jeszcze on. Ważny w omawianej opowieści. Mężczyzna, grany bardzo spokojnie, z dystansem przez Antoniego Milanceja, jakby cały miał być głosem rozsądku, równoważenia, tonowania emocji i eksplozywnych części biografii bohaterki *Kobiety i życia*. Autorka tekstu przyjęła zasadę, że płęć występujących aktorów nie jest tak istotna. Milancej to nie figura całego zła, jakie wypłynęło ze społecznych, systemowych, patriarchalnych uwarunkowań. To nie żaden demon, potępiony samiec, przyczyna kobiecego buntu, ale raczej kolejny sojusznik, narrator równie współczujący, co patrzący na spękaną egzystencję bohaterki z troską i deklarujący poparcie, wywołujący u niej poczucie siły, potencjału a nawet nadziei.

Nici, koce, poduszki oplotą w końcu wszystkich zanurzonych w tej grze bez końca. I nie bardzo wiadomo, co pozostanie, gdy odstawimy lustro, bezlitośnie odbijające opowiedzianą poetycko historię współczesnej kobiety, pełną problemów, które ją dotknęły, ugodziły, skrzywdziły. Czy naprawdę tylko nadzieja? Walka o prawdę? Poobjane, poszarpane życie? A może spotkają się kiedyś te różnokolorowe wątki i połączą w jedną silną całość utkaną z doświadczenia prawdziwej wspólnoty? ■

Malina Prześluga
Kobieta i życie
 reż. Gosia Dębska
 Teatr Śląski w Katowicach
 Teatr im. J. Słowackiego w Krakowie
 Premiera katowicka 14 stycznia 2023
 Premiera krakowska 3 lutego 2023

Co to jest *vintage*? Pierwotnie to angielskie słowo oznaczało winobranie, ale w ostatnich czasach jest używane niemal wyłącznie dla określenia charakterystycznego stylu w modzie, fascynującego ubiorami z innej epoki. COHAM VINTAGE – to przekorna gra słów, stanowiących oryginalne hasło wizerunkowe Igi Sylwestrzak, projektantki odzieży i kreatywnego kostiumografa z Bielska-Białej.

Jej niezwykle projekty odzieżowe są od lat wykorzystywane w spektaklach teatralnych w Bielsku i Krakowie, a także w produkcjach filmowych łódzkiej uczelni telewizyjnej i filmowej oraz w teledyskach popularnych wykonawców muzycznych. Artystka uwielbia eklektyzm w swojej pracy kostiumografa. Pasjonuje się obserwowaniem przechodniów na ulicach, których ubrania są dla niej niejednokrotnie źródłem twórczej inspiracji przy projektowaniu niekonwencjonalnych ubiorów teatralnych. Z zapałem zajmuje się też historią mody, z której wyciąga na światło dzienne zapomniane uniformy, kreacje i wdżianka z minionych epok.

Kiedy rozpoczęła się Pani życiowa przygoda teatralna?

– Już we wczesnym dzieciństwie. Tata jest aktorem Teatru Lalek BANIALUKA, a mama zajmowała się prowadzeniem zajęć teatralnych z dziećmi. Od najmłodszych lat życia miałam więc styczność z teatrem. Byłam jednak nieśmiała i nie lubiłam występować publicznie. Uczęszczałam do Liceum Plastycznego, najpierw w Bielsku, a potem w Krakowie. **Czy wybór kierunku studiów był naturalną kontynuacją plastycznej edukacji w szkole średniej?**

– Początkowo chciałam studiować fotografię, ale ostatecznie wybrałam projektowanie ubiorów. Zostałam studentką Wyższej Szkoły Sztuki i Projektowania w Łodzi. Przed 10 laty ukończyłam ją z wyróżnieniem.

Kim Pani jest właściwie z zawodu? Często używa się anglojęzycznego określenia „costume designer”...

– Przyjaciele i znajomi traktują mnie – wyznam otwarcie – jako pomysłówą projektantkę. Wkładam serce w to, co robię. Po studiach pracowałam w Akademii Sztuk Pięknych w Krakowie. Byłam asystentką w Pracowni Projektowania Ubiorów na Wydziale Architektury Wnętrz. Nadal marzy mi się doktorat z przekrojowej dyscypliny naukowej pod nazwą: „Jak ubiory w historii wpłynęły na dzisiejszą modę”. Przygotowywałam kiedyś ciekawą wystawę na temat damskich strojów inspirowaną wizerunkiem kobiet w dawnym malarstwie. Moja ukochana pracownia projektowa znajduje się w jednej ze starych kamienic przy ul. Cechowej, w odległości kilku dosłownie minut spacerkiem od siedziby bielskiego teatru.

Kocha pastele i marzy o filmie fabularnym

Z IGA SYLWESTRZAK

rozmawia ZBIGNIEW LUBOWSKI

Trzy z Pani projektów były naprawdę fascynujące. Moją uwagę zwróciły stroje aktorów w spektaklach: „Wyspa Kalina” (rzecz o skandalistce Kalinie Jędrusik), „Nikt nie kocha tak, jak tenor” (opowieść o frustracjach starszego się śpiewaka operowego) oraz „Sztukmistrz z miasta Lublina” (portret ginącego świata chasydów).

– Miło mi, że moje prace zostały dostrzeżone. To dla projektantki cenne słowa uznania. Na swoim koncie mam oprawy kostiumowe kilkunastu różnych spektakli scenicznych nie tylko w Bielsku, ale i w Bytomiu (Akademia Sztuk Teatralnych) oraz w Krakowie (Teatr Bagatela). Szczególną satysfakcję przyniosły mi m.in. projekty ubiorów, przygotowane dla potrzeb widowisk „Ciało Bambina” (Bielsko 2018), „Kasie” (Warszawa 2019) oraz „Cyrano de Bergerac” (Bielsko 2020, nominacja do prestiżowej nagrody Złota Maski). Wymagały one dużo pracy, ale spotkały się z nieskrywaną aprobatą widzów i krytyków teatralnych.

Czy Pani ceni muzykę rockową?

– Owszem. Nie jest to, co prawda, mój ulubiony gatunek muzyki, ale byłam na koncercie Rolling Stonesów. Z zainteresowaniem zdarza mi się też słuchać utworów w wykonaniu zespołów Metallica i Iron Maiden. Słucham każdego rodzaju muzyki, oprócz disco polo.

Zapytałem o rock, bo niedawno odkryłem, że stworzyła Pani intrygującą oprawę kostiumową teledysku Muńka Staszczyka, popularnego wokalisty pop-rockowej grupy T.Love.

– W roku 2018 wzięłam udział w przygotowaniu teledysku do utworu Staszczyka „Pola”. Został on wyreżyserowany przez Kasię Sawicką, a tytułową rolę zagrała Agata Buzek. To było wdzięczne zadanie dla projektantki ubiorów. Wspominam to z rozrzewaniem. Nie było to jedyne zlecenie filmowe w mojej dotychczasowej karierze. W czasach studenckich współpracowałam z wywodzącymi się również z Bielska moimi kolegami z Państwowej Wyższej Szkoły Teatralnej, Filmowej i Telewizyjnej w Łodzi. Uczelnia sąsiaduje terytorialnie ze szkołą, w której ja studiowałam. Opracowałam m.in. projekty ubiorów aktorów i statystów, którzy zagraли w półgodzinnym filmie dyplomowym „Outside song” Przemka Brynkiewicza z Wydziału Operatorskiego „filmówki”.

Które tkaniny są dla Pani szczególnie atrakcyjne przy projektowaniu ubiorów?

– Myślę, że najczęściej korzystam z jedwabiu i wełny. W okresie studenckim sięgałam czasami do filcu, ale teraz już tego nie robię. Stroje z filcu nie są łatwe w utrzymaniu.

W naszej rozmowie nie może zabraknąć pytania o ulubione kolory. Jakimi barwami wyróżniają się Pani stroje?

– Nie jest łatwo odpowiedzieć na takie pytanie. Kolor ma istotne znaczenie w pracy projektantki ubiorów, ale nie mam jakichś nadzwyczajnych preferencji w tym względzie. Dominują raczej pastelowe odcienie strojów, które przygotowuję.

Ile czasu zajmuje Pani zazwyczaj praca nad oprawą kostiumową spektaklu teatralnego?

– Od dwóch do czterech miesięcy. Niekiedy jest to żmudne i czasochłonne przedsięwzięcie. Korzystam z różnych źródeł inspiracji, w tym m.in. własnych obserwacji ubiorów przechodniów na ulicach, których spontanicznie fotografuję, ale w taki sposób, by ich przypadkiem nie drażnić. Sama nie szyję zaprojektowanych przez siebie kostiumów. Zajmuje się tym specjalistyczna pracownia krawiecka. Zaprzyjaźniona ze mną krawcowa zna moje odzieżowe upodobania i fascynacje.

Czy zawód kostiumografa jest atrakcyjną profesją artystyczną?

– Wystawiłabym tej profesji solidną piątkę w szkolnej skali ocen od 1 do 6. Źródłem satysfakcji są np. nagrody i wyróżnienia, które czasami otrzymuję. Przed 10 laty zajęłam – dla przykładu – drugie miejsce w zorganizowanym przez Muzeum w Wilanowie konkursie „Helena Modrzejewska – ikona stylu”. W ostatnich latach (2018, 2020) zostałam zaś laureatką stypendium artystycznego programu „Młoda Polska”, w kategorii „sztuki wizualne”.

O czym marzy rodowita bielszczanka Iga Sylwestrzak?

– Takiego pytania nikt mi jeszcze nie postawił. Mam co najmniej dwa skryte marzenia: zaprojektować stroje dla aktorów, którzy zagaliby w pełnometrażowym filmie oraz stworzyć muzeum historii ubiorów w Bielsku-Białej (ex-mieście włókienniczym). Moja pracownia przy ul. Cechowej (COHAM VINTAGE) mogłaby stać się załącznikiem takiej placówki muzealnej.



Iga Sylwestrzak



Sztukmistrz z miasta Lublina w kostiumach zaprojektowanych przez Igę Sylwestrzak . Fot. Dorota Koperska



Kolekcja zaprojektowanych przez Igę Sylwestrzak kostiumów, inspirowanych wizerunkami kobiet z wybranych dzieł malarstwa polskiego. Fot. Iwona Wolak



Piłka polityczna i metaforyczna

RYSZARD JASNORZEWSKI

Finał mistrzostw świata piłce nożnej w Szwajcarii, w 1954 roku, uważano za starcie systemów. Na boisku w Bernie drużyna Węgier miała pokonać, w imieniu bloku państw socjalistycznych, rywali z Niemiec, reprezentujących Zachód. Kilka dni wcześniej wydrukowano w Budapeszcie znaczki pocztowe z nadrukiem: „Na pamiątkę mistrzowskiej reprezentacji Węgier”. Nie weszły do obiegu. Wygrali Niemcy. Ich niespodziewany triumf przeszedł do historii jako „Das wunder von Bern” – „Cud w Bernie”.

Po czasie zauważono, że w walce o mistrzostwo globu rywalizowały dwa upokorzone narodowe egoizmy, poszukujące utraconej po klęsce wojennej nowej tożsamości. Z tej konfrontacji – sportowej i jednocześnie symbolicznej – zwycięsko wyszli Niemcy. W istocie na boisku nie grają jednak ani cuda, ani symbole. O przewadze drużyny niemieckiej przesądziły buty. Mocne, solidne, z wkręcanyimi kołkami, doskonale sprawdzające się w grze na grząskiej murawie. Krążyły jednak pogłoski, że pomógł także specyfik na bazie amfetaminy o nazwie pervitin, nazywany niekiedy „tabletkami zwycięstwa”, serwowany żołnierzom niemieckim na frontach niedawnej wojny.

Gra w piłkę jest niekiedy rzeczywistością przedłużeniem wojny. Tak się stało, gdy na mundialu w Meksyku – w 1986 roku – Argentyna zagrała z Anglią. Cztery lata wcześniej Brytyjczycy pokonali Argentynę w wojnie o Falklandy (Malediwy). Klęskę militarną pomścili na boisku piłkarze, do czego wielce przyczyniła się zdobyta ręką („ręką Boga”) bramka Diego Maradony.

Autorzy Operacji mundial postanowili dowieść, że polityka jest stałym fragmentem gry – i to nie tylko podczas niejednego pojedynku toczonego na piłkarskim boisku, ale również za kulisami zabiegów o przywilej goszczenia drużyn na mistrzostwach świata, ale również. Mundial stał się w tym samym stopniu wydarzeniem sportowym, jak i projektem z obszaru marketingu. Państwo gospodarz jest z tej perspektywy tyle marką handlową, ile produktem, sprzedawanym globalnej publiczności, w najlepszym czasie antenowym. Przy okazji zyskują oczywiście również wspólnoty plemion – drużyny państw uczestników.

Operację mundial wydano na krótko przez mistrzostwami w Katarze. Siłą rzeczy książka zawiera nie zawiera opisu rzeczywistości już dokonanej, ale oczekiwanej i spodziewanej. „Emirat jest zbyt mały – piszą autorzy – by nabrać znaczenia wyłącznie na polu tradycyjnej polityki (...). Stąd sięgnięcie po soft power, czyli miękką siłę, polegającą na zdobywaniu międzynarodowych wpływów i uatrakcyjnieniu wizerunku poprzez subtelne propagowanie narodowych idei i kultury, a nade wszystko

organizowanie głośnych imprez sportowych”. Dzisiaj już wiadomo, że gospodarze zrealizowali założony plan, a pozytywne emocje, jakie towarzyszyły zmaganiom piłkarzy, zadziałały jak wybielacz. Niewielu obserwatorów zdobyło się na refleksję, że areny meczów, nowoczesne, klimatyzowane stadiony, zbudowali cudzoziemscy robotnicy, kieszko opłacani i pozabawieni ochrony prawnej.

W Katarze zabrakło piłkarzy z Rosji, gospodarza poprzedniego mundialu. W meczu barażowym odmówiła z nimi gry reprezentacja Polski, a decyzję (niezbyt chętnie) pobłogosławiła europejska federacja. Futbolisci rosyjscy zapłacili za agresję swojego kraju na Ukrainę. Co najmniej jironicznie brzmią słowa byłego sternika światowego piłkarstwa Josepha Blattera: „FIFA będzie zawsze za Rosją, a futbol robi wiele dla pokoju”. Długo za był również Gianni Infantino, następca Blattera, uhonorowany przez Władimira Putina Orderem Przyjaźni.

O przyjacielskich gestach nie było mowy w decydującym meczu pierwszych mistrzostw świata, które odbyły się w 1930 roku w Urugwaju. Finał, w którym gospodarze pokonali zespół Argentyny, doprowadził do wieloletniego kryzysu w stosunkach między obydwo krajami. Nie pomogło, że w pierwszej połowie grano piłką dostarczoną przez Argentyńczyków, a w drugiej – urugwajską. Podobno jedna była lżejsza i mniejsza, a druga cięższa i większa, ale nie ulega wątpliwości, że dla każdego gracza okrągła, mimo to dla jednych mniej, dla drugich bardziej szczęśliwa.

Przed wojną światową zagrano o prymat jessze we Włoszech i Francji. Pierwszy z turniejów rozgrywała głównie propaganda, a jak prostolinijnie zadeklarował szef włoskiego związku piłkarskiego generał Giorgio Vaccaro: „Ostatecznym celem jest dla nas pokazanie światu, jak wygląda faszystowski ideał sportu, którego jedynym inspiratorem jest Duce”. Dla podkreślenia właściwych wymiarów wspomnianego ideału, zwycięską drużynę gospodarzy nagrodzono nie tylko Złotą Nike, lecz i sześciokrotnie większą Coppa del Duce. Piłkarze z Italii obronili tytuł w 1938 roku. Dublet uznano za „metaforę nowej pozycji Włoch na arenie międzynarodowej”.

W pełni metaforyczne cele zrealizowali piłkarze Korei Północnej, którzy podczas mistrzostw globu w 1966 roku, w Anglii, swą znakomitą postawą na boisku ocieplili wizerunek komunistycznego reżimu. Pozasportowe zyski przyniosła – na mundialu w 1998 roku – futbolowa konfrontacja Iranu i Stanów Zjednoczonych. Przed meczem Irańczycy wręczyli rywalom białe róże, symbol pokoju. Skądinąd gestów wzajemnego szacunku i sportowej solidarności nie za-



brakło również podczas niedawnego spotkania obydwu reprezentacji na mistrzostwach w Katarze.

Przed laty mistrzostwa w Republice Południowej Afryki miały stać się „mundialem całej Afryki”. Przy wcześniejszej mistrzowskiej okazji oczekiwano, że zbliżenie narodów będzie efektem wspólnej organizacji turnieju przez Koreę Południową i Japonię. Czy tak się stało, nie wiadomo. Na pewno jednak obydwa kraje nie zamierzają projektu powtarzać w przyszłości. Konsekwentna pozostanie natomiast polityka kadrowa w reprezentacji Francji, mimo że w gorszym dla niej momencie Marine Le Pen ostrzegała: „w drużynie są różne klasy, etniczne i religijne”.

Na mundialu w Hiszpanii, w 1982 roku, opozycyjnie nastawieni kibice wnieśli na mecz Polski z Związkiem Radzieckim duże transparenty z napisem „Solidarność”, widoczne w kilku kadrach telewizyjnego przekazu do kraju. To jedyny polski wątek, który omówili autorzy Operacji mundial. Chyba ciekawsza byłaby opowieść o losach ludzi. Bohaterem meczu Polski z Brazylią na mistrzostwach we Francji – w 1938 roku – był Ernest Wilimowski z Ruchu Chorzów, strzelec czterech bramek. Podczas wojny grał w reprezentacji III Rzeszy. Nigdy nie wrócił do kraju. Przegrał z polityką. Jak wielu innych wcześniej. I znacznie później.

Krzysztof Kawa i Remigiusz Półtorak: Operacja mundial. Futbol, korupcja, polityka. Wydawnictwo Znak, Kraków 2022, s. 380.

Czarna studnia (2)

KARL WUNSTER Przełożyła Nina Nowara-Matusik

Valerius wyraźnie dostrzegwał, że wszystko to było próbą, jaką poddawały go istoty wyższego rzędu, znał bowiem tajemnice misteriów eleuzyjskich¹. Jeśliby nawet znajdował się w królestwie Auryonii i Velledy², to musiało istnieć przecież wyjście z tego labiryntu.

Wtem świece zgasły, a otwarte drzwi się zamknęły. Z wysokiego sklepienia poczęły bić błyskawice, wijąc się wokół ogłuszonego Valeriusa. Z kamiennego podłoża co rusz wyłaniały się błękitne języki, oplatając młodzieńca roztańczonym korowodem, który na przemian zbliżał się do niego i oddalał. Nagle w stojący na porfirowym ołtarzu biały posąg wstąpiło życie. Ukrywając się za zasloną z czarnych chmur, posąg zstąpił przed naszego rycerza: „Oto widzisz przed sobą, obcy młodzieńcze, władcę potężnego królestwa płomieni! W zamierzonych czasach, gdy ogień i woda nie były jeszcze osobnymi żywiołami, władzę nad nimi ustanowił mój ojciec. Przed wiekami ojciec podzielił swe królestwo między mnie i mą siostrę, oddając mi ogień, jej zaś wodę, po czym wznosił się w przestworza, by sprawować pieczę nad nami i władzę nad królestwem eteru. By zapewnić pokój, żelaznym berłem okiełznałem dzikie duchy ognia, zaś królestwo mej siostry rozlało się po ziemi wraz z potężnym prądem wód”.

Valerius nie pojmował przedziwnego zjawiska, nigdy bowiem tak głęboko nie zgłębiał natury, zaś postaci bogów dawno już straciły w jego oczach swoją żywotność, stając się ledwie martwymi tworam fantazji. Nie rozpoznał więc znaczenia owej przemowy, ani tym bardziej nakazu szeszcianu, aby milczeć. Lecz postąpił podobnie jak niegdyś, słuchając epoptów³ w Delfach, zaś księżę płomieni, który najwidoczniej przerwał przemowę umyślnie, z furią zwrócił się do niego: „A zatem milczysz? Czy także ciebie opętał zwodniczy szeszcian? Czyż nie pragniesz, abym odzyskał należne mi prawa, przez co i sobie przysporzyłbyś chwały? Mów!” Valerius milczał. „A zatem, niech bądźże tak: to, o czym nie chcesz mówić i czego nie chcesz wiedzieć, ukazę ci teraz, ty zaś zadrzyśz. Pośrodku gwałtownego sporu żywiołów bezsilny śmiertelnik musi bowiem zginąć!”

Wtem straszliwie uderzył grom i ołtarz zniknął, w jego miejscu zaś, z najgłębszych czeluści ziemi, wytrysnęła czarna woda. Sala wokół rozświetliła się, lecz nie błyskami, a drganiem światła, które a to ukazywały komnatę w najpiękniejszym blasku, a to znów pograżały ją w ciemnościach. Oprócz księcia płomieni w komnacie pojawiły się niezliczone rzesze ognistych gnomów, które wrogo unosiły się wokół Valeriusa, zaś z każdej strony owej upiornej sali pełzły ku niemu języki siarki, liżąc go po stopach. Zdawało mu się, że ziemia się zapada, a duszący dym poraża mu zmysły. Woda w źródle kipiała coraz mocniej, a z czarnej otchłani dobywała się biała piana. Naraz przez salę przetoczył się straszliwy grzmot, a jego echo po tysiącokroć odbiło się od granitowych kolumn. Ziemia zadrżała, z czarnego źródła zaś wystrzeliły ogniste promienie, osmalając powietrze. Potężna zjawa uniosła się, jej biała szata przybrała barwę krwistej czerwieni, zaś jej wężowe włosy się zjeżyły. Z obrzydliwym sykiem zionęła nasze mu rycerzowi w twarz:

„Zstąp wraz ze mną do źródła rozkoszy! Pokażę ci moje królestwo, pełne wszelakich uroków życia. W objęciach przecudnych dziewcząt upoisz się najśłodszą rozkoszą, by krocząc przez komnaty mego pałacu dotrzeć do światła twego hesperyjskiego nieba i rozpocząć nowe życie w ojczyźnie, w ramionach twych krajan! Chodź za mną!” Valerius jednak milczał, a szeszcian-drogowskaz mienił się w mroku sali przyjaznym światłem.

„Nie chcesz? Przekornie trwasz przy swym zamyśle? Zadrzyj więc przed mą siłą! Wciągnę cię w dół wbrew twjej woli i cisnę na drugą stronę – w gardziele Hadesu!”

„Walcz”, pomyślał Valerius, „lecz nie błyszczącym mieczem, a siłą twjej decyzji! Nie drzyj na myśl o potwornościach podziemnego świata, lecz w obliczu tego, jak koszmarny jest brak decyzji!” I Valerius milczał. Boskie twory natury w swym pierwotnym kształcie przenikały go niesłychaną grozą, przerażające zjawiska, tak nowe i władcze, zbyt mocno pochłaniały jego wnętrze, aby mógł użyć słów. A zatem milczał. Wszystko to bowiem – szeszcian z hieroglifami, tajemnicze sfinksy, ów szacowny starzec, wreszcie on sam, Valerius – było zbyt wielkim wyzwaniem, aby przyjmując aktywną postawę i mężnie stanąć do walki. Azaliż większym honorem jest wytrwać w cichości niż dać czynny odpór. Cenniejszym jest wygrać z samym sobą, niż pobić wroga. I tym piękniejsza korona zdobi nasze oblicze, gdy z godnością walczymy z grobem po tej stronie, niż gdy stawiamy czoło gromom podziemnego świata.

Tak oto dodawał sobie otuchy Valerius, bez lęku wpatrując się we władcę płomieni, który daremnie wyczekiwał reakcji milczącego młodzieńca. Naraz rozwarła się ziemia, potężne kolumny przecudnej komnaty zadrżały, i w najgłębszych czeluściach mrocznej nocy ukazały się płonące kamienie, w górę zaś poczęły bić trujące języki siarki. Wciąż jeszcze nad buchającą dymem przepaścią wznosiła się sylwetka postaci o gorących gniewem oczach, grożąc dzielnemu Valeriusowi śmiercią i zatraceniem. Wtem komnata poczęła drżeć w posadach, a kolumny ustępować pod naporem majestatycznej katedry. Upiorna zjawa zniknęła w błyskach ognia i tryskającej wysoko kipieli. Jenó woda w studni płynęła wciąż jeszcze. Zapadła cisza, niczym o północy, zaś Valerius poczuł, że niebezpieczeństwo minęło i jest wolny. I oto znowu leżał na zboczu góry, znów obok było przyjazne źródelko, i ten, który dotąd milczał, przemówił. Rozmawiał ze sobą i z drzewami, zaś przecudne źródło podszeptowało mu odpowiedzi. Łatwo wzięłby minione zdarzenia za sen, gdyby wciąż jeszcze nie widział tego wszystkiego jakże wyraźnie oczyma swej duszy i nie dostrzegwał związków, jakie łączyły je z naukami i misteriami w jego ojcystym kraju. I jakże mógłby przemilczeć je tutaj, w tych germańskich ostępach? Liczył, że uratuje go potworna zjawa, życzył sobie ratunku z ręki słodkiego dziewczęcia i ta właśnie sprzeczność między tym, co się stało, a owym miejscem zbyt mocno ciążyła mu na duszy, aby bezwarunkowo mógł oddać się nadziei i swoim marzeniom.

I gdy tak starał się zapanować nad sobą, myśląc jednocześnie, cóż by tu ze sobą począć w tej bezludnej ciszy lasu, ni z tego ni z owego, tuż obok, w ojcystym języku Valeriusa, odezwał się do niego jakiś głos: „A dokąd to wiedzie droga?”

Oto w rodzimej mowie zwracał się do niego wysoki starzec, odziany w niedźwiedzie futro i sięgające ledwie kostek spodnie, z przypasanym na wysokości łądźwi ogromnym mieczem. W jego lewej ręce tkwiła włócznia, zaś upleciona z wierzbowych witek tarcza, okuta skórą, zasłaniała prawie całą jego postać. Na ten widok Valerius nie zląkł się wprawdzie, lecz sięgnął po miecz ze skalnej grotty, by z tym większą radością dostrzec jego blask u swego boku. W tej samej chwili miraż ów jednak zniknął, zaś jego oczom ukazała się fantasmagoria ostatnich dni w całej swej wspaniałej namacalności, choć wciąż jeszcze w niepojętym mroku.

Gdy przybrany w oręż starzec dostrzegł zakłopotanie Valeriusa, tak zwrócił się do niego: „A zatem mnie nie pozna-

jesz, obcy młodzieńcze? Widzisz tylko zmieniony odziewek? Czyż to, co trwa, wciąż jeszcze więzi twą duszę?” Podchodząc bliżej, Valerius rozpoznał rychło owego czcigodnego starca, który jeszcze przed chwilą wsparł go dobrą radą. Uściskawszy troskliwemu przyjacielowi dłoń, poprosił go o rozwiązanie zagadki. „Wszystko to, co widziałem, jest tak wielkie i potężne, tak czcigodne i znaczące, że pragnąłbym uchylić rąbka tajemnicy, za którą skrywa się prawda.”

„Pójdź zatem”, odparł starzec i poprowadził młodzieńca za sobą. Poczuli wnet wspinać się coraz to wyżej, ku porośniętemu lasem grzbietowi góry. Stąpali po mało uczęszczanej, wąskiej ścieżce, przodem starzec, za nim milczący młodzieniec, a wspinaczkę utrudniały jeszcze wysokie i gęsto rosnące świerki. Nie grasowały tu jeszcze topory, jeno stulecia powaliły niejednemu staroemu i zmęczonemu życiem leśnego olbrzyma. Lecz on wciąż jeszcze był aktywny, zapewniając strawę i pomyślność wielu młodym świerkom, których przepelnione nadzieją załadki wystrzeliwały w górę na butwiejącej ściółce zgasłego ojca.

Jeśli kto kiedy, podobnie jak Valerius, podążający u boku starca do celu swej wędrówki, miałby zabłąkać się w tym głębokim mroku kniei, pośród ścierających się żywiołów, temu obfitujące w nadzieję złoto wschodu przysłoni swą wspaniałością lśniący bladło zachód. Jakżeby Valerius miał znaleźć odpowiedzi i napęlić serce nadzieją tutaj, gdzie natura wciąż jeszcze skrywała się za gęstą zasłoną, gdzie spotkać mógł Germanin jeno niedźwiedzia i wilka, ziemię zaś pokrywały bagna i gruby lód, i jakże rzadko wschodziły złote kłosa Ceresy!

Tak oto przemawiał Valerius, tak też myślano w Rzymie, na co jego towarzysz uśmiechał się jeno i milczał.

Gdy po jakimś czasie, wychodząc z gęstwiny iglastego lasu, skierowali się w prawo, ukazał się im widok na rozległą okolicę. Pod ich stopami, po zboczu góry, płynęła woda, a droga zrobiła się szersza. Pod przyjaznym dachem z liści drzew dotarli od prawej strony do wzniesienia, wyższego jeszcze niż zalesiony grzbiet góry. Na nim zaś rozsiadła się mała zagroda, otoczona kilkoma drzewami owocowymi, zapewne rosnącymi tylko tutaj.

„Jesteś zmęczony?”, zapytał starzec. „A zatem jesteśmy u celu: czekają tu na ciebie radość i wyjaśnienia. Oto mój dom: wejdź i rozgość się”.

Wędrownicy wspięli się na niewielkie wzniesienie. Po lewej biegła nieco spadzista droga, wiodąca ku siarczanej dolinie, którą, od drugiej strony, prowadzono wcześniej pojmanego Valeriusa, po prawej zaś wznosił się leśny grzbiet w sosnowej koronie. Zagroda składała się z domu oraz kilku mniejszych budynków, podobnych do stajni i spiżarni. Drewniany dom, otynkowany czarnym szutrem i żółtą gliną – tym samym materiałem utwardzone były zapewne także drogi – przykrywał trzciniowy dach, zaś wokół zabudowań wiał się plot, uformowany z krzewów malin i innych owoców. Dorodne kozy, ro-



Eugène Lenepveu: Velléda, efekt księżycy

słe bydło oraz hoże konie świadczyły o dobrobycie gospodarza. Krótko mówiąc, wszystko to nadzwyczajnie odróżniało się od pustkowień wokół.

„Jesteś zdumiony, nieprawdaż? Lękałeś się, że wplącesz się w nową tajemnicę? Chodź za mną, to już koniec!”.

To rzekłszy stary wojownik wprowadził młodego rycerza do swego domu. Budynek miał tylko jedno piętro, lecz za to zaskakująco wysoki dach. Przytulny przedsionek z ciepłym kominkiem powitał naszego Valeriusa. „Poczekaj tutaj”, powiedział starzec, „niebawem wrócę”. Młodzieniec, przepelniony bardziej radością, że oto niebawem usłyszy odpowiedzi, niż nadzieją na powrót do ojczyzny, nie potrafił okiełznać już niecierpliwości. I oto do przedsionka wkroczył baśniowy starzec, prowadząc pod rękę owo złotowłose dziewczę, które tak serdecznie zajęło się Valeriusiem w granitowej komnacie, zapraszając młodzieńca do środka domu. Przesionek powiódł ich do okrągłej sali z wysokim dachem, z niej zaś prowadziły dalej liczne drzwi. ■

Przypisy tłumaczkii

1 Tajemnicze misteria przedchrześcijańskie, których celem było zrozumienie zjawisk nadprzyrodzonych oraz zwycięstwo nad śmiercią.

2 Także Weleđa. Najbardziej znana wieszczka starożytnych Germanów.

3 Wtajemniczeni w misteria w trzecim i ostatnim stopniu, dopuszczeni do ostatecznego poznania tajemnic natury.

4 Rzymska bogini wegetacji i urodzaju.

Wilamowice to zaledwie dwutysięczne miasteczko, położone między Oświęcimiem a Bielsko-Białą. Z pozoru nie ma tu nic ciekawego. Rynek, kościół, uliczki, także gospodarstwa rolne. A jednak jest to jedna z najbardziej interesujących miejscowości na pograniczu Małopolski i Śląska.

Fenomen kulturowy

Niewątpliwie Wilamowice są dość stare, ich początki sięgają XIII wieku. Wówczas na ziemiach polskich osiedlali się różni przybysze z Europy zachodniej, znajdując tu dobre warunki do życia. Jedną z grup migrujących do Polski założyła właśnie Wilamowice.

Można z pewnym prawdopodobieństwem określić, skąd oni przybyli, ewentualnie skąd przybyli późniejsi osadnicy, chociaż kroniki raczej milczą na ten temat. Ci migranci ze swej pierwotnej ojczyzny przynieśli bowiem mowę, która zachowała się przez wieki, ponieważ aż po dzień dzisiejszy. Oczywiście uległa ona wielu przemianom pod wpływem mowy kolejnych przybyszów i polszczyzny. W końcu stała się odrębnym językiem – wymysiöeryś. Ów język ma w sobie wiele elementów flamandzkiego i niderlandzkiego, również dolnoniemieckiego, a nawet angielskiego. W takim razie można domniemywać, że wilamowianie pochodzą z krajów, w których te języki są rozpowszechnione, a więc z Belgii, Holandii i północnych Niemiec.

Mimo niesłowiańskiego pochodzenia mieszkańcy Wilamowic dość szybko się zasymilowali, lecz zawsze wyróżniał ich osobny język. Posługiwali się nim we własnym kręgu, po polsku zaś rozmawiali z mieszkańcami okolicznych miejscowości. Mieli nadto bardzo oryginalny strój.

Wilamowice przez większość swoich dziejów były wioską. Ale wilamowianie nie trudnili się tylko rolnictwem. Wielu z nich uprawiało tkactwo, dzięki czemu doszli do pewnej zamożności.

W czasach zaborów Wilamowice należały do Austrii, umiejscowione w najbardziej na zachód wysuniętej części Galicji. W 1808 r. ich mieszkańcy sami wykupili się z pańszczyźnianej zależności. A dziesięć lat później postarali się o uzyskanie dla Wilamowic statusu miasta.

Stosunkowo wielu z nich zdobyło wykształcenie, na ogół w Gimnazjum Humanistycznym w Wadowicach, a nawet w Uniwersytecie Jagiellońskim. Lecz wykształceni wilamowianie rzadko wracali do swego miasteczka, a kariery robili w różnych częściach Austro-Węgier.

Niejednym został duchownym. Spośród nich najbardziej znany jest Józef Bilczewski (1860–1923), arcybiskup lwowski, kanonizowany w roku 2011.



Rynek w Wilamowicach

fol. Silar

Wilamowice i ich język

GRZEGORZ PEŁCZYŃSKI

Dziś często słyszy się o współczesnym hierarsze, kardynale Kazimierzu Nyczu.

Natomiast Florian Biesik (1849–1926) był nadoficjałem kolei austriackiej w Trieście. Tamże stworzył w rodzimym języku poemat *Ófjer welt* (Na tamtym świecie), wzorowany na *Boskiej komedii* Dantego. W ten sposób wymysiöeryś stał się językiem literackim.

Powyżej wymieniono kilka wilamowickich nazwisk. Nazwisko Bilczewski, które przybrał przysły święty i jego krewni, zastąpiło pierwotne Biba. Prócz tego w tym miasteczku spotyka się też inne, np. Fox.

Wraz z powstaniem Drugiej Rzeczypospolitej wilamowianie umocnili swe więzi z Polską. Aczkolwiek była wśród nich niewielka grupa uważająca się za Niemców.

W okresie międzywojennym coraz bardziej dostrzegano w nich niezwykły fenomen kulturowy. Pod koniec lat dwudziestych utworzyli zespół folklorystyczny, dzięki czemu ich pieśni i tańce, a także stroje, mogli podziwiać mieszkańcy innych regionów. W 1935 r. wystąpili nawet na dożynkach w Spale. Wydawało się, że mimo swej odrębności, cieszą się uznaniem współobywateli.

Początek końca

Gdy wybuchła druga wojna światowa, także wilamowianie wzięli udział w obronie kraju. We wrześniu 1939 r., wskutek przemieszczeń ludności, w Wilamowicach nastąpiły rabunki i dewa-

stacje, ale poza tym miasto wtedy nie ucierpiało.

Obszar, na którym leżały Wilamowice został włączony bezpośrednio do Trzeciej Rzeszy. Niemcom zależało na szybkim jego zintegrowaniu z ich państwem. Spodziewali się, że dopomogą im w tym przedstawiciele mniejszości niemieckiej z Bielska i Białej (te dwa miasta połączyły się dopiero po wojnie) oraz ich okolic. Za swoich rodaków uważali też wilamowian, prócz mieszkańców miasteczka nie wywodzących się z wcześniejszych osadników.

O ich niemieckości świadczyć miała przede wszystkim ich mowa. Niemcy uznali ją za dialekt swojego języka. Język niemiecki posiada wielu użytkowników i jest bardzo zróżnicowany. Łatwo było więc dołączyć doń wymysiöeryś, zwłaszcza że jego przynależność do germańskiej grupy językowej nie budzi żadnych wątpliwości. A poza tym nie ma obiektywnych metod, za pomocą których można by rozstrzygnąć, czy mowa danej społeczności jest dialektem jakiegoś języka, czy już całkiem osobnym językiem. W dużym stopniu decydują o tym czynniki pozajęzykowe.

Naciski germanizacyjne przybrały na sile od roku 1941, wtedy bowiem pojawiła się Deutsche Volksliste. Była to procedura mająca na celu przycięgnięcie do narodu niemieckiego osoby mogące się wykazać rzeczywistym lub tylko domniemanym pochodzeniem niemieckim, a zamieszkujące te-

reny okupowane przez Trzecią Rzeszę. Rozróżniała ona cztery kategorie potencjalnych Niemców: Pierwsza obejmowała członków przedwojennej niemieckiej mniejszości narodowej, aktywnie działających w rozmaitych jej organizacjach. Do drugiej mieli należeć ci, którzy w żadnych organizacjach nie działali, ale których niemieckość była oczywista. Natomiast do trzeciej klasyfikowano osoby w minionym czasie częściowo spolonizowane. A do czwartej nawet całkowicie spolonizowane, ale mające zamiar powrócić do narodu niemieckiego

Do trzeciej i czwartej kategorii zaliczano niejednokrotnie pod przymusem, szczególnie na Górnym Śląsku i przylegającym do niego rejonie bielsko-bialskim. Ci, którzy nie chcieli być folksdojcami narażali się na przesładowania. Mogli zostać zabici, zesłani do obozu, w najlepszym wypadku wysiedleni do Generalnego Gubernatorstwa. Władze polskie na uchodźctwie, a także władze kościelne, obawiając się wyniszczenia ludności śląskiej, wydały oświadczenia, że nie postępują źle ci, którzy zostali folksdojcami, by ratować swoje życie.

W Wilamowicach tak postąpiło 70-80% mieszkańców. Uznani za Niemców mieli nawet pewne przywileje, na przykład dostęp do lepszej żywności. Jednakże wiązało się to jednocześnie z niewspółmiernie wielkimi niedogodnościami. Dorośli wilamowianie musieli obowiązkowo brać udział w lekcjach języka niemieckiego. Odgrodzić musieli się zaś od polszczyzny. Pilnowano, by nie zabierali ze sobą do kościoła polskich modlitewników. A przede wszystkim mężczyzn powoływano do Wehrmachtu – niejeden z nich zginął.

W opinii mieszkańców okolicznych wiosek – Dankowic, Pisarzewic, Starej Wsi – wilamowianie rzeczywiście sta-

li się Niemcami. Na pewno niektórzy do tej roli bardziej się przykładali, ale swym polskim sąsiadom nie szkodzili. Wręcz przeciwnie, aby uchronić ich przed wysiedleniem, zatrudniali ich fikcyjnie w swoich gospodarstwach. Także zgadzali się trzymać w swoich obejściach ich sprzęt rolniczy, gdyż mógł im być zarekwirowany.

Kultura skazana na zagładę

Kiedy Trzecia Rzesza zaczęła przegrywać wojnę, a Niemcy wycofywać się z terenów okupowanych, poza sporadycznymi przypadkami, wilamowianie za nimi nie podążyli. Jest to dowód na to, iż Deutsche Volksliste była dla nich wojenną koniecznością, a nie możliwością wyrażenia ugruntowanej tożsamości narodowej. Mimo to nie uniknęli represji.

Najgorsze spadły na tych, którzy wpadli w ręce Sowietów. Wywieźli oni w głąb Rosji 65 wilamowian, by pracowali nieodpłatnie w kopalniach. Kilkunastu z nich tam zginęło.

Wobec pozostałych, jak w przypadku wszystkich folksdojców, przeprowadzono postępowanie weryfikacyjne. W jego wyniku wszyscy zostali zrehabilitowani. Nie znaczy to jednak, że odtąd żyć mogli spokojnie i bezpiecznie. Spośród okolicznej ludności ten czy ów samowolnie i bezprawnie zajęły gospodarstwo niejednej zrehabilitowanej rodziny, zmuszając ją do zamieszkania gdzie indziej. Poszkodowani w ten sposób starali się odzyskać swoje majątki. Niekiedy trwało to kilka lat.

Represje dotknęły również oryginalnej kultury mieszkańców Wilamowic. W pierwszej kolejności zabroniono używania języka; poza tym chodzenia we własnym stroju. Oczywiście w gronie rodzinnym rozmawiano po wilamowski, ale do dzieci coraz częściej

mówiono po polsku. Do kościoła chodzono początkowo w stroju, lecz szybko tego zaniechano. Zdarzało się, że kobietom na rynku zdzierano z głowy czepek. Na szczęście po wojnie odrodził się zespół folklorystyczny i dzięki temu tradycyjny przyodziewek, a także wilamowskie obrzędy i pieśni mogły w jakimś mierze przetrwać.

Jednakże powojenne zakazy przyczyniły się do obumarcia kultury miasteczka. Kiedy zaczęła się Trzecia Rzeczpospolita, wymysiöeryś znało biegle zaledwie kilkadziesiąt osób, głównie ze starszego pokolenia.

Rewitalizacja

Podziwu godna jest walka o zatrzymanie zaniku kultury Wilamowic, zwłaszcza języka. W ciągu powojennych dziesięcioleci toczył ją Zespół Regionalny Pieśni i Tańca „Wilamowice”, a później Zespół Pieśni i Tańca „Fil”. W 2000 r. utworzono Stowarzyszenie na Rzecz Zachowania Dziedzictwa Kulturowego Miasta Wilamowice „Wilamowianie”.

Główną troską stał się wymysiöeryś. W 2003 r. zaczął go nauczać w miejscowej szkole Józef Gara, będący też wilamowskim literatem. Nie stał się on przez to narzędziem porozumiewania się, jak to było przed 1945 r., ale odtąd coraz częściej jest okazjonalnie używany, chociażby podczas amatorskich przedstawień teatralnych. Nadto przyjeżdżających do miasta witają tablice już nie tylko w języku polskim, lecz także wilamowskim.

Z inicjatywy Tymoteusza Króla, młodego wilamowianina, którego języka nauczyła w dzieciństwie opiekunka, wymysiöeryś przestał być tylko lingwistyczną ciekawostką o niesprecyzowanym statusie i zyskał międzynarodowe uznanie. Biblioteka Kongresu Stanów Zjednoczonych, przyznająca językom skrót literowy, w 2007 r. nadała mu skrót *wym*. A UNESCO umieściła go na liście języków zagrożonych wymarciem.

Podjęto też starania, ażeby język ten był uznany także w Polsce. Ustawa o Mniejszościach Narodowych i Etnicznych oraz Języku Regionalnym obowiązująca od 2005 r., mogłaby stanowić podstawę prawną do nadania mu statusu własnie języka regionalnego. Takowy posiada w Polsce już język kaszubski. I chociaż zabiegały o to wilamowskie władze, aktywiści tej społeczności, a ponadto krajowi i zagraniczni naukowcy, wymysiöeryś nie stał się językiem regionalnym. Mimo że tę sprawę procedowano w Sejmie, nie udało się jej doprowadzić do pomyślnego końca. Zbyt mała, choć stale wzrastająca liczba jego użytkowników, to wciąż powód niezbyt poważnego jego traktowania.

fol. Kamil Czajński



Tablica powitalna przy wjeździe do miasteczka Wilamowice z tekstem po wilamowski i po polsku

Mowa erudyty i poliglotty

O Oziminnie Wacława Berenta (2)

JERZY PASZEK

Berent był nie tylko poliglotą, znającym łacinę, rosyjski, niemiecki, francuski, angielski i włoski, ale i bezgranicznym i wytrwałym miłośnikiem języka polskiego. Prawie nie rozstawał się ze *Słownikiem języka polskiego* Lindego (ponoć otrzymał od ojca pierwsze wydanie tego dykcjonarza). Jako pisarz nowatorski uważał, iż śmiało może wyszukiwać olbrzymie zasoby ojczyściej leksyki, w tym gwar ludowych czy dialektu warszawskiego, a także sięgać po skarby staropolszczyzny (m.in. po cytaty z *Psalterza Dawidowego* w przekładzie Jakuba Wujka) i przede wszystkim do utworów epoki klasycyzmu i romantyzmu; uważał, iż sam może przyczynić się do wzbogacenia polszczyzny, proponując liczne neologizmy bądź okazjonalizm (czyli wyrazy, które odwołują się do istniejących już słów, ale bywają przez autora zmodyfikowane pod względem niuansów semantycznych). Myslę sobie, że rekordem jest tutaj nowe skojarzenie, jakie wnosi czasownik „popić”. W zdaniu o staroobrzędowcach, czyli bezpopowcach, obserwator pochodzący z Antychrysta powiada: „Księży ni popów całkiem oni nie znają; sami sobie **popią**” (Oz 303). Zwykle koniugacja tego wyrazu zaczyna się tak: popiję, popijesz, popiję; popijemy, popijecie, popijają. Można też inaczej, gdy podstawą będzie czasownik „popijać”: popijam, popijasz, popija; popijamy, popijacie, popijają. Natomiast w neosemantyzmie Berenta koniugacja byłaby inna: popię, popisz, popi; popimy, popicie, **popią!**

Jako skrablista wiem, że ongiś nie mogłem zagrać „trójki” **nęk** (w roku 2009 w leksykonach pojawił się „nęk” jako ‘świerszczojad, błonkówka z rodziny nękowatych lub grzebaczowatych, co uwzględnił 46 update z 1. 02. 2022 do *Oficjalnego słownika polskiego (scrablisty)*, choć obok niej widzę takie rzadkie wyrazy, jak „nek” (‘rdzeń wulkanu’) czy „nef” (‘okręt’) lub „nem” (‘jednostka wartości odżywczej pokarmu dla niemowląt równa wartości odżywczej jednego grama mleka kobiecego¹⁾). „Nęk” oczywiście jest derywatem wstecznym od czasownika „nękać” i w *Oziminie* dość często występuje w duecie ze słowem „udręka” (np. Oz 80: „w tej chwili żądzy za **nękiem** i **udręką** duszy własnej”; Oz 88: „**nękiem** i **udręką** samego siebie”; Oz 164: „**nękiem** i **udręką** życia”; Oz 310: „pelen **udręki** i **nęku** dla siebie”), ale występuje też samodzielnie (Oz 282: „w **nęku** dusz obcych”; Oz 165: „rozpędem po wszystkich **nękach**, okrucieństwach i torturach życia”; Oz 255: „**Nękiem** obcej krwi ołowianej lat dwadzieścia truty”; Oz 333: „oblicze Komierowskiego i oczy jego zamglone **nękiem**”). Jak jednak wyjaśnić czytelnikowi następujące zdanie, gdzie tchnie sporą tajemnicą epitet z rodziny „nęków”: „Z **wnękliwszego** ducha północnych ludów Grecji zstąpił na pogodne bogi Hellady ten smęty mistyczny i wiódł je wskroś przez tajniki dusz ludzkich” (Oz 336–337). Tyle razy Berent używa frazy „nęk i udręka”, iż domyślał się, że wytluszczone słowo jest antonimem określenia „pogodne bogi Hellady”. A zresztą, wszak epitet „wnękliwszy” pochodzi od czasownika „wnękać”, którego nie wymienia Andrzej Bańkowski wśród słów pochodnych (ponękać, przynękać, wynękać, wznękać lub ponęknąć²⁾ od hasła Nękać. Tak więc „wnękać” byłoby konkurentem „popić”. Dodam, że w edycji „Biblioteki Narodowej” cytacja zaczyna się od błędnej frazy: „Z **wnękliwego** ducha północnych ludów Grecji” (BN 308) i wyraz nie został wyjaśniony. Toż w wydaniu z roku 1988 (ALFA 237). Ciekawe, że najnowsza publikacja (z roku 1995) przynosi jednak formę „wnękliwszego ducha”³⁾. Jeden raz zamiast frazy „nęk i udręka” widzimy w tekście połączenie bliskie brzmieniowo, ale łatwiejsze do zrozumienia („śmierci **lęk** lub

myśli **udręka**”, Oz 217) i wygenerowania z tej zbitki przymiotnika: „wnękliwszy” stałby się „lękliwszy”!

Takich krótkich, utworzonych paradigmatycznie derywatów jest w tekstach Berenta więcej. Bo pojawia się i „wid” (Oz 198: „ja sama [Wanda], jak ten skłamanym sercem **wid** otuchy zamknęłam mu [Woydzie] oczy”), który wedle ostrożnych gramatyków może być użyty jedynie we frazie „ani widu, ani słyhu” lub „w pijanym widzie”⁴⁾. Używa pisarz również innych zwartych słów, zastępujących formy dłuższe: np. **szyd** zamiast szydzenie (Oz 90: „iskra szydu”), **mruk** zamiast mruczenie (Oz 300: „dudy monotonnego mruku”), **kłam** zamiast kłamanie czy zakłamanie (Oz 199: „nici [...] barwione w kłamię wobec życia” i „krynica [...] poila nazbyt długo [dzieci] najtragiczniejszym kłamię serca”), **stęć** zamiast stękanie (Oz 300: „wybijął się stęciem bas najgłębszy”), **ukój** zamiast ukojenie (Oz 247: „A jednak złudne to były ukoje: nurt sięgał głębiej i dał się ledwie po wierzchu ukołysać”). Jeden z tych pomysłów pisarza został uznany przez Doroszewskiego za indywidualizm autora powieści o roku 1904. Chodzi o wyraz **zjaw** w zdaniu: „Tuż przy tym słonecznym promieniu i białym jego **zjawie** ujrzy [Nina] mary snu nieprzeżnionego, o pysku z warg, nozdrzy i oczu krwią ociekłym” (Oz 271). Definicja semantyczna brzmi: ‘to, co się staje jawą, rzeczywistością; dodano też cytację z *Próchna*: „Aleś się przesycił marzeń moich ułudą. Zjawu chcę”⁵⁾.

Podobnych neologizmów, okazjonalizmów, derywatów i formacji odczasownikowych (wyrazów kończących się sufiksami – anie czy – enie) jest w *Oziminie* sporo, by nie powiedzieć „zatrzesienie” (wywołujące u niektórych czytelników – np. Jerzego Andrzejewskiego – lekturowe trzesienie ziemi: proponował, by tę powieść przełożyć na język polski słowo po słowie⁶⁾). Wymienię kilka charakterystycznych przykładów, stosując klasyfikację alfabetyczną przedrostków i przyrostków, a pomijając stronicę pierwszego wydania, bo to prowadziło by do znacznego powiększenia gabarytów niniejszego mojego tekstu.

Zacznijmy od prefiksów. Arcy – (arcynaiwny); bez – (bezambitny, bezcień, bezdarny, bezduch, bezsłoneczny, bezwola, bezwładny i bezruchy); do – (dopowiedzieć i dobarwiać, dociska, dorada [‘porada’]); nie – (Niemsta, Nieman, nieodpór, niepoimny, niepowroty, niewolnie, niemrawota, niesytość dosytów, nieelegancko); o-, ob – i od – (opłot, odwdzięka, obrupieć, obtłukiwać, obzywać, omartwica, omartwiały, omierzyły, omroczyć, osłyszeć się, odziczały, opuch włosów, omroki, otrząs, odziczenie); po – (poszept, postuk, pohuk, postypowy, poszczek); pół – (półkożuch, półszlafrok, półgębkowy, półkola, półkręgi, półśmiech, półtaneeczne ruchy); pod – (podkożuch); prze – (przebolesny, przeciekawy, przedawny, przebuchny, przebiały, przemydlić się); przy – (przyjęk, przytęgi); roz – (rozpuch, rozjęk, rozdzwon, rozśmiejch, rozpylny, rozwiew, rozchwiej, rozturkotany, rozplomieniać, rozplomieniony nieład, rozślimaczyć, rozbabrać, rozdygotać); samo – (samopas samokwitły, samokwitły); u – (uwstrętniający, upieszczanie, użarliwić, uwstrętnić, ucaćkać; fraza: „Ucałuj! – ubłagam! – ubóstw!”; Oz 261); w – (wgnębiać, wkołysać, wpieszczać, wdławić, wstrzepywać); wy – (wysiepać, wyrzucanie się w górę); z – i za – (zaszept, zasłych, zamra, zahukany obok zhukanego, zokrutnieć, zawycie, zwilczeć, zbestwić, zszeptywać, zmądrzyć, zratować, zsobaczeć, niedźwiedz zanudzony).

Sufiksy równie często posiadają tu stempel Berentowego stylu. Oto kilka przykładów: – anie (zbarbaryzowanie, zaprzepaszczanie, ubłóżanie, nieobcieranie, fukanie, odczarowanie, turkanie sukien, cerkwią handlowanie); – enie (odziczenie, wytlenie, ogorzenie, sposągowie-

nie, odgarmienie, oniemiaenie, zmnozenie, zamilkniecie, zaklebie-
nie, rozpromienie, splonienie, nachmurzenie sie troski, zagwie-
nie, sprzenie, osmetnienie); – aty, – ato (waszeciowaty, zachowato);
– ica (osmetnica [slovo klucz moderny!], sabatnica, czapica); – iwy
(pomsciwy, teskliwy, lyskliwy); – nac (wypsnac sie skokiem, wstrzep-
nac, szurnac), – ny (spowiedny, ochlodny, dosytny, pogrzebny, prze-
lewny ksztalty, krzetny, skretny, strunny, ratowny, szwargotny, scier-
wny, wladna ladem); – osc (posagowosc, krewnosc, pociagliwosc, wege-
tatywnosc, burzowosc, krzetnosc, wzorzystosc); – owy, – owo (rabu-
siowy, bezsterowy, bandażowy, warkoczowy, narcyzowy; poduszko-
wersiowy, drgawkowo; podwikowe [podatek od dziewczyn sprzedaj-
nych]); – stwo, – arstwo (matarstwo, wscibiarstwo, nedzarstwo, lach-
maniarstwo, lazaronstwo, bluznierstwo slow), – yzna, – izna (swiez-
zna, szarzyzna; slabizna).

Wśród tych wyrazów można wyodrębnić ciekawe i oryginalne zdro-
bnienia. Przykładowo: bachorki, breloczek, brzydotki, dresczyk, dro-
biażdżek, dymek, dyszkancik, dziewczęta (i dziewczęca sylwetka gło-
wy), fabryczki, figurka, flaszcza, fotografiki [pornograficzne], ga-
zетка, głowina, główka, gorsetki, kolorek, kosteczka, krawczyzna, la-
buś, maciejówka, młodzieniaszek, mózdzki ptasie, mundurek, osóbka,
paniątko [o uwodzonej przez „żuka” „lili”], piołunki, pisemko, roz-
mówka, sklepiczki, ślepki, świderki, tabaczką, temperamencik, tru-
chcik karawanu, wąsik, wiadomostki, wódeczka, wstręci, żyłki na
czole Wandy. O wiele mniej zauważa się tu słówek pogrubionych czy
augmentatywów. Oto niektóre z nich: biczyśko, błoćko, chłopaczysko,
chłopisko, czapa, gładzisko, kłębowski, kolisko, rumowisko i rumor,
starucha, wąsiska, wężowisko.

Ze spieszczoniami wiąże się w *Oziminie* ukryta dyskusja Niny z ba-
ronem Niemanem na temat celowości używania takich hipokorysty-
ków: „Drasnęły ją [Ninę] te zdrobnienia nagle, po tak poważnym przed-
chwilu tonie. Skoro sprawy życia są tak ważne, że słuszność musi być
aż brutalna, to czymże jest jej własne życie, skoro nagle: **raczka, głów-
ka, czółko**. Lecz jeden rzut oka na niego [barona] wystarczył, aby się
przekonała, że ani poniżać jej nie zamierzał, ani też przymilnym być
w życzliwości: przeciwnie – wygłaszając te słowa **‘raczka’, ‘główka’,** miał
jakąś powagę, namaszczenie nieomal w sobie. I teraz dopiero uderzy-
ło ją coś obcego w całym zachowaniu się tej nieco sztywnej postaci:
znamiona rasy tknęły ją instynktownie” (Oz 232–233).

Inaczej podchodzi do modnych warszawskich deminutiwów ro-
syjski pułkownik. Tak oto mówi do kelnera, proponującego obcokra-
jowcowi francuskie wino: „Tyłko mnie nie rozpytuj o swe **‘wódeczki’**;
wólej już: nalej z jakiej chcesz **‘flaszczyki**. Że też u nich każde słowo
musi być cikliwie i fałszywe!” (Oz 67). Przez cały wiek XX (a chyba i na
początku XXI stulecia też!) w stolicy kelnerzy, zachwalając jadło i na-
poje, nie żalowali sobie określeń typu „masełko”, „kotlecik” czy „pie-
niążki”. Doszło do tego, iż prof. Jan Miodek został w punkcie poboru
krwi zapytany przez pielęgniarkę: „A moczyc jest?”... Berent, dzięki
kreacji postaci powieściowych, mających zdrowy dystans do ludzi, in-
teresów, pejzaży warszawskich (prof. z Krakowa, diwa z teatrów euro-
pejskich, Komierowscy przemieszczający się po dwóch kontynentach,
baron jeżdżący i do Berlina, i do Petersburga), daje nam nieucukrowaną
panoramę polskich losów, głosów i póż około roku 1904.

Wymieniłem w moim tekście wiele słów i fraz, które nie są dla
przeciętnego czytelnika łatwe do zrozumienia i umieszczenia ich we
właściwych kontekstach (rola ironii oraz sarkazmu narratorów, sym-
bole i mity narodowowyzwoleńcze, np. siwa maciejówka, odwołania
do misterioznych eleuzyjskich, o czym pisze odkrywco Maria Prussak).
Ale od tego są historycy literatury, tekstolodzy, eseści polonistyczni,
by pomóc czytelnikowi „z zewnątrz” zaczarowanego koła beletrysty-
ki i poezji w czułym kontakcie z książkami przełomu XIX i XX wieku,
nb. księgami przełomowymi dla naszej kultury. Jeden jeszcze przy-
kład: Berent nie musi posługiwać się archaizmami, barbaryzmami,
neologizmami, okazjonalizmami, formami odczasownikowymi rze-
czownika, aby wykreować zapadający w pamięć obraz. Spójrzmy na
krótkie zdanie z rozmyślań krakowianina pod koniec powieści: „Oto
żółwia ziemi skorupa naga!” – pomyślał, zapadając w tę właśnie za-
dumę powolnego oddechu” (Oz 323). Cytat w cytacie ma co najmniej
dwa sensy: raz słowo „żółwia” jest rzeczownikiem (skorupa kogo, cze-
go? tego żółwia!), a innym razem będzie odczytywane jako przymiot-
nik: naga i żółwia (jaka?) skorupa ziemi... O takich niespodziankach

semantyki pisarza mówiłem na konferencji Instytutu Badań Literac-
kich PAN pół wieku temu, w roku 1973⁸.

W roku 1976 wydałem rozprawę habilitacyjną, w której rozdział VI
miał tytuł: *Berent a Joyce*. Była to oczywiście paralela komparatystycz-
na, dotycząca ewolucji prozy światowej u progu XX wieku. *Oziminę*
zestawiałem z *Ulissem*⁹. Wielu czytelników tej książki pisało, iż nie-
co fantazjuję, a przecież nie szukałem wpływu dzieła o Ninie i baro-
nie na narrację o Bloomie i jego Molly. Bo to absurd! Minęło prawie
pół wieku, a tu Michał Głowiński zmienia zdanie, powiadając, że coś
w tym jest! Potrzebna jest nieco dłuższa cytacja:

„By się zorientować, o co tutaj chodzi [o stematyzowaną symboli-
kę], wystarczy wskazać na tak ważną zwłaszcza w końcowych parti-
ach utworu symbolikę dionizyjską. I ten sposób operowania sym-
bolami, zwłaszcza zakotwiczonymi w mitach, mógł się wydawać po-
zostałością po młodopolskich poetyzacjach, choć nią nie był, bo zo-
stał w sposób szczególnie ukształtowany i wykorzystany. Mniemany
anachronizm okazał się przejawem nowatorstwa. Ten paradoks *Ozi-
miny* ujawnia się za dużą wyrazistością, gdy sobie uświadomimy, że wy-
przedzała ona o ponad dziesięć lat *Ulisessa* Joyce’a”¹⁰.

Nawiasem mówiąc, Ryszard Nycz podąża dalej w owej paraleli, gdy
nazywa profesora z Krakowa „mędrcom-Telemachem, nad zgielkiem
bitwy podejmującym refleksję o współczesności”¹¹. A kto wówczas był-
by Odysem? Zapewne wędrujący – wojskowo – po całej Europie sędzi-
wy major Komierowski! Czytając przypisy do *Ulisessa* dowiedziałem się,
że żołnierze śpiewają „tention” zamiast „attention”, a ich kapral krzy-
czy do nich: „atitudes!” zamiast „attitudes”¹². Takie zmiany wymowy
są więc wspólne Kraszewskiemu, Berentowi i Joyce’owi! A wszystkie
te operacje podporządkowano stylizacji – raz z życia wyższych sfer (w
Oziminie: rozmowa hrabiego z kanonikiem), a kiedy indziej – z kli-
matów wojskowych czy quasi-militarnych (pijani studenci).

Paradoks powieści ekspresjonistycznej (*Próchno* miało sznyt i szyk
impresjonistyczny!) polega na tym, że aby stworzyć tak skomplikowa-
ną i misternie skonstruowaną (rola muzycznych motywów przewo-
dnych) narrację – trzeba się uciec do awangardowych środków wyrazu,
a w tym przede wszystkim do bogatego słownictwa i odtwarzania śro-
dowiskowych dialogów (monologów i polilogów też!). Czyli do polifonii
dyskutujących bohaterów. Muszę przyznać, że ponowna oraz powolna
lektura *Oziminie* daje dużo satysfakcji. I pomyśleć, że na seminarium
magisterskim prof. Henryka Markiewicza w latach 1961–1962 two-
rzyłem w niemałym trudzie rozprawę roczną o *Rzeczywistości przed-
stawionej w „Oziminie”* – kłopot polegał na tym, że wymogiem promo-
tora było pojęcie, podjęcie i zastosowanie teorii Romana Ingardena!!!

Appendix I

Markiewicz wspomniał mi kiedyś, że pamięta, jak matka śpiewała
mu piosenkę ze słowami „Do Ciebie płyną te rzewne tony, / O wyma-
rzony / Błogi śnie” (Oz 102; tamże aluzje do tematyki tego muzycz-
nego utworu: „w pieściwej **serenady** tonach”; „**serenady** zew”). Było
to zapewne jeszcze w XX wieku, gdy ani jemu, ani mnie nie śniło się
nawet o dobrodziejstwach Internetu. Teraz dość łatwo można spraw-
dzić, iż jest to fragment serenady z operetki węgierskiego kompozy-
tora Jenő Huszki (1875–1960) pt. *Książę Bob* z roku 1902 (w USA gra-
no ją pod tytułem *Prince Vagabond*). Oryginalny tekst napisali Ferenc
Martos i Károly Bakonyi. Dzieło to na język polski przetłumaczył Win-
centy Rapacki (1865–1943), który ponoć spolszczył aż 72 zagranicz-
ne operetki! Serenadę opublikowało Wydawnictwo Kasy Przeworno-
ści Warszawskich Pomocników Księgarskich ok. roku 1910 (w tym
roku ci sami zaradni nakładcy wydali, też w przekładzie Rapackie-
go, pieśń włoską *Sorrento*). Informację o Huszce podał Adam Bielecki
w artykule *Jenő Huszka – ojciec węgierskiej operetki* (opubl. 24. 04.
2021). Tak więc w nowym opracowaniu BN-owskim *Oziminie* przy-
będzie nieoczekiwany przypis!

Appendix II

„Attitudy” przy omawianiu dzieła Berenta pojawiają się (po francusku)
w tytule książki Zygmunta Lubicz Zaleskiego *Attitudes et destinées. Fa-
ces et profils d’écrivains polonais* (Paris 1932), gdzie ten dwujęzyczny
krytyk literacki analizuje *Żywe kamienie* (1918)¹³; poprzednio w zbio-
rze swych studiów *Dzieło i twórca* (Warszawa 1913) obszernie charak-
teryzował powieść z roku 1910. Zaleski zapewne pierwszy ujął twór-

czość Berenta w formule „polski Flaubert” w swoim artykule *Lettres polonaises* w „Mercure de France” z 1 marca 1924, o czym pisał sam autor *Żywych kamieni* [zestawianych z *Salambo* (1862)] w liście do Józefa Gajkowskiego¹⁴. Zresztą już na początku 1911 roku dr Józef Hieronim Retinger, ogłaszający tak jak Zaleski swoje artykuły w dwu językach, w czasopiśmie „Miesięcznik Literacki i Artystyczny” chwalił tę powieść współczesną Berenta jako wydarzenie na skalę europejską: godną rywalką miał być tylko utwór duńskiego prozaika Hermana Banga pt. *Beznadziejne pokolenie*¹⁵. Nikogo chyba nie zdziwi to, iż Duńczyk, Peer Hultberg, autor fundamentalnej rozprawy doktorskiej o stylu naszego doktora ichtiologii, równie mocno podkreśla powinowactwa Berenta z Bangiem¹⁶?

Appendix III

Theodor W. Adorno wspomina Georga Simmela (1858–1918; w Młodej Polsce pisywano o nim jako Jerzym Simmlu), który wprowadził do swoich rozlicznych i wielotematycznych esejów dużo słów francuskich, czym wyróżniał się wśród ówczesnych niemieckich socjologów i filozofów. Jednym z takich wyrazów był rzeczownik *attitude*: „jego *attitude* obejmowała swe subtelne obiekty prostymi kategoriami albo przyłączała ogólne refleksje nigdy nie zatracając się w rzeczy bez ubezpieczenia, jak to trzeba czynić – jeśli poznanie ma być czymś więcej niż tylko samozaspokajającym się jałowym biegiem jego przedustanowionej aparatury”¹⁷. Jeśli Berent czytywał Simmela w oryginale, to musiał zapewne dostrzec powtarzające się często słowo *attitude*!

Coda

Długo nie mogłem zrozumieć, na czym polega dowcip „tłustego szlachcica z Litwy” (Oz 47), wyśpiewującego „na nutę *Tysiąc walecznych opuszcza Warszawę* – „Tysiąc żydzących włóczy się po świecie!...” (ib.). Niewiele wyjaśniał mi przypis Głowińskiego: „Początek pieśni pt. *Pułk Czwarty* z okresu powstania listopadowego, napisanej w r. 1831 [1832] przez niemieckiego poetę Juliusa Mosena” (BN 46–47). Dopiero lektura wiersza Jana Nepomucena Kamińskiego, w którym incipit brzmi „Walecznych tysiąc opuszcza Warszawę”, a pointa zaskakuje dystychem: „Kto idzie? stojcie! krzykną pruskie warty. / My to, dziecięciu, cały pułk czwarty!”¹⁸ – uświadomiła mi, że Litwin, obserwujący starania studentów i opiekującego się nimi pana Downara, szukających sponsorów na wyjazdy naukowe, powątpiewa w powodzenie tych wędrujących po Europie badaczy (z tysiąca wyjeżdżających z Warszawy, tylko garstka rzeczywiście jest zdolna osiągnąć sukces naukowy!). Paweł Hertz podaje, iż tekst Kamińskiego jest tłumaczeniem wiersza Mosena pt. *Die letzten Zehn vom Vierten Regiment bei ihren Übergang über die preussische Grenze*¹⁹ [Ostatnich dziesięciu z czwartego pułku przechodzi przez pruską granicę]. Gdyby Głowiński podał w przypisie ten tytuł, czytelnik mógłby się zorientować w rubasnej ironii Litwina: nie każdy wojażujący po obcych krajach student czy nawet doktor nauk wszelakich może stać się sławną Marią Skłodowską-Curie! Melodię do tego tekstu, opublikowanego w roku 1832 w tomie *Polenlieder*, zacerpnięto albo z wodewilowego dorobku Josepha-Denisa Doche (1766–1825), albo Gustava Alberta Lortzinga (1801–1851). Inną kwestią jest warszawska legenda „czwartaków”, której dokumentem stał się czterowiersz Artura Oppmana:

Jeszcze nad tobą, o Grochowie stary,
Wiatr w postrzelane łopocze sztandary,
Jeszcze po nocach zaciągają warty
Szalone widma, krzyczące: „**Pułk czwarty!**”²⁰

Przypisy końcowe

1 *Wielki słownik wyrazów obcych...*, s. 867. Nb. Berent podpowiada inną „trójkę”, a mianowicie „nęt”, którą sugeruje fraza „**nęta** cen wysokich” na stare woluminy i inkunabuły (Oz 168).

2 A. Bańkowski: *Etymologiczny słownik języka polskiego*. T. 2: L – P. Warszawa 2000, s. 291. Nb. już w *Próchnie* (Warszawa 1956, s. 104) pojawia się ten czasownik: Jelsky uświadamia Bowerskiego, iż „Tam, gdzie nie ma kawiarni, wszystko, co twórcze, a samotnym być nie potrafi, wkurczy się, wgrzęźnie, da się **wnękać** w obmierzłe idealiki mieszczaństwa...”.

3 W. Berent: *Ozimina*. Warszawa 1995, s. 266. Tom z serii „Kolekcja Prozy Polskiej XX Wieku”.

4 *Wielki słownik ortograficzny PWN z zasadami pisowni i interpunkcji* pod red. E. Polańskiego. Warszawa 2006, s. 870; B. Janik-Płocińska, M. Sas, R. Turczyn: *Wielki słownik ortograficzno-fleksyjny* pod red. J. Podrackiego. Warszawa 2001, s. 1426.

5 *Słownik języka polskiego* pod red. W. Doroszewskiego. T. X..., s. 1123. W. Berent: *Próchno*. Powieść współczesna. Ozdoby M. Wawrzynieckiego. Warszawa 1903, s. 210.

6 Przed J. Andrzejewskim, publikującym szkic pt. „*Ozimina*” Berenta („Odrodzenie” 1948, nr 10), była Marta Ruszczyńska, „postulująca, by powieść Berenta przełożyć na zwykłą polszczyznę” („Przegląd Wielkopolski” 1911, nr 18). Zob. I.E. Ruśsek: *Życia lampy niewygasłe...*, s. 31.

7 M. Prussak: *Niedoceniony katastrofizm Wacława Berenta*. W teźże: *Od słowa do słowa. Na marginesach krytyki tekstu*. Warszawa 2013, s. 217–227 (o roli inspirującej eseju Waltera Patera pt. *The Myth of Demeter and Persephone* z roku 1895).

8 J. Paszek: *O polisemii „Oziminy” Berenta...* Zob.: tenże: *Polifoniczność „Oziminy” Berenta*. „Tygodnik Kulturalny” 1973, nr 2; *Nowatorstwo „Oziminy” Berenta*. W *stulecie urodzin pisarza*. „Poglądy” [Katowice] 1973, nr 1, s. 17–18 (z portretem pisarza, rys. J. Moskał).

9 J. Paszek: *Styl powieści Wacława Berenta*. Katowice 1976, s. 117–132. Wcześniej taką paralelę wskazywał Peer Hultberg (op. cit., s. 142, 154, 171, 215, 227: „I tylko *Oziminę* można uważać za początek ekspresjonizmu w polskiej prozie”).

10 M. Głowiński: *Między „Lalką” a „Ferdynandem”*. (O *paradoksach „Oziminy” Wacława Berenta*). W t. zb.: *Dynamika Wacława Berenta* pod red. A. Wójtowicz. Warszawa 2016, s. 23.

11 R. Nycz: *Język modernizmu...*, s. 277. Cytowana rozprawa pt. *Homo irrequietus. Nietzscheizm w twórczości Wacława Berenta* była opublikowana w „Pamiętniku Literackim” 1976, z. 2.

12 S. Slot, M.A. Mamigonian, and J. Turner: *Annotations to James Joyce’s „Ulysses”*. Oxford 2022, s. 1314.

13 Zob. W. Berent: *Pisma rozproszone. Listy*. Oprac. R. Nycz i W. Bolecki. Kraków 1992, s. 467 i 550 (oprac. R. Nycz). W cytowanym tomie pojawia się przedruk *Ideji w ruchu rewolucyjnym* (Kraków 1906, pod pseudonimem S.A.M.), w którym wprowadzono emendację: „po tyloletnim zastoju wobec tak nagle wezbranej fali powszechnego czucia, takiego rozg[w]jaru i głodu dusz, tak lotnej chwytności umysłów [...], że tego wszystkiego na politykę i jej najbliższe cele przefrymarczyć nie wolno, przefrymarczyć wprost niepodobna” (ib., s. 173, oprac. W. Bolecki). Znając rusycyzm „rozgar” („W rozgarze wyobraźni [Niny] snuły się właśnie jakieś postacie zagadkowego życia” – Oz 153), oznaczający ‘rozgorączkowanie’ [ros. „razgár” i „razgorát’sja”], przypuszczam, że autorowi mogło chodzić o „rozgar”, a nie „rozgwar”. Ale to tylko koniektura, opierająca się na fakcie bliskości stylu *Ideji w ruchu rewolucyjnym* i 4 lata późniejszej *Oziminy*.

14 W. Berent: *Pisma rozproszone...*, s. 466–467 (oprac. R. Nycz).

15 J.H. Retinger: *O literaturze polskiej*. „Miesięcznik Literacki i Artystyczny” 1911, nr 1 (z 15. stycznia), s. 54. Tekst ma następujący incipit: „Przedudna to książka *Ozimina* Berenta. W tym krótkim tomie [340 s.!] skupił on myśl całej Europy współczesnej; przez pryzmat swej indywidualności przepuścił wszystkie nowe kierunki i myśli artystyczne” (ib., s. 53).

16 P. Hultberg: op. cit., s. 129 (m.in. o *Beznadziejnym pokoleniu*).

17 T.W. Adorno: *Sztuka i sztuki. Wybór esejów*. Przeł. K. Krzemień-Ojak. Wybrał i opatrzył wstępem K. Sauerland. Warszawa 1990, s. 297.

18 J.N. Kamiński: *Pułk czwarty*. W tomie: *Zbiór poetów polskich XIX w.* Ułożył i oprac. P. Hertz. T. I. Warszawa 1959, s. 505–506. „Biblioteka Poezji i Prozy”.

19 Ibidem, s. 510.

20 A. Oppman: *Grochów*. W tomie: *Księga cytatów z polskiej literatury pięknej od XIV do XX wieku* ułożona przez Pawła Hertz i Władysława Kopalińskiego. Warszawa 1975, s. 381.

zaległości

mieszkam dokładnie w pół drogi
do niemieckiego więzienia

i cmentarza żydowskiego.

przez ostatnich dwadzieścia lat
dużo częściej odwiedzałem

to pierwsze.

najwyższa pora zacząć nadrabiać
życiowe zaległości.

zeszyt

umrzeć w środku
swatania.

narobić bałaganu.

zostawić zeszyt z drugimi
połówkami, nieczytelnymi dla

pierwszych.

osierocić niepowstałe pary.



fot. Tomasz Bieniek

ważne miejsca

kiedy mam je wskazać
i po nich oprowadzić –
wygrywa banal:

przedszkole, szkoły, kolejne mieszkania.

przez szybę podglądam
niezmienione korytarze
podstawówki i liceum.

znowu stoję na placu
na inauguracji pierwszej klasy.

choć kiedy huśtam się
na przyprzedszkolnej huśtawce,
nie odnajduję już żadnego

z tamtych czasów.

jest całe mnóstwo pustych wzruszeń,
ale bez najważniejszych ludzi,
którzy rozplynęli się

w listopadowej mgle.

nie rozumie po co

śmieje się, nie rozumiejąc, po co chciałbym
kiedyś, choćby na jedną noc, wynająć
samemu pokój w hostelu na sąsiedniej
ulicy. udać się w krótką podróż. zmienić
perspektywę. a jednak – kiedy rozmawiamy
już szóstą godzinę pyta, czy może usiąść w
moim fotelu – po tym jak najpierw, półleżąc
spoglądała na mnie oparta o
piec. tymczasem chwilę wstecz
spotkaliśmy się na cmentarzu. zanim
zjedliśmy obiad i zachowując odpowiedni
dystans wypiliśmy wino.

Zaledwie dwa miesiące po śmierci Franciszka Pieczki, aktora ukochanego przez większość Polaków, ukazała się pierwsza o nim – trafiona! – biografia, napisana przez Magdę Jaros. *Ty pieronie! Biografia Franciszka Pieczki* została wzbogacona osiemdziesięcioma zdjęciami i opatrzona intrygującą (choć wolałbym dobre zdjęcie bohatera) okładką Zuzanny Miśko.

Autorka biografii spieszyła się, chcąc z nią dotrzeć do wielbicieli Wielkiego Aktora, by mogli ją sobie zamówić pod choinkę, dlatego nie do wszystkich wartościowych źródeł o Nim zdążyła dotrzeć, także do miesięcznika „Śląsk”. Może by też jakoś złagodziła jej tytuł, bo za to, z pozoru łagodne śląskie przekleństwo: *pieronie!*, można było jeszcze po wojnie oberwać na Śląsku szmatą od babci, uznającej je za przyzywanie śmierci od władcy błyskawic bóstwa Słowian Peruna, na Górnym Śląsku nazywanego Pieronem. Nie czepiajmy się jednak aż takich drobiazgów, bo po przeczytaniu biografii trzeba uczciwie stwierdzić, że jest to rodzaj szczególnego panegiryku na cześć znakomitego aktora, który zagrał łącznie 500 filmowych i teatralnych ról. Chociaż słowo panegiryk kojarzone jest z przesadnym wystawianiem osób, w tej biografii nie ma nieuzasadnionych pochwał, żadna nie została wymyślona przez Autorkę, nie jest więc jakimś jej „widzimisię”, bo pochodzą one z setek zgromadzonych i wykorzystanych przez nią, autentycznych opinii wypowiedzianych o Franciszku Pieczce przez same znakomitości naszego świata kultury.

Pamiętam jak w kwietniu 1998 roku w Zamku Królewskim w Warszawie Franciszek Pieczka odbierał wraz z legendarnym piłkarzem Gerardem Cieślikiem piękną rzeźbę *Ślązaczki*, nagrodę Towarzystwa Przyjaciół Śląska w Warszawie. Okazało się, że postawny pan Franciszek (190 cm wzrostu) był ulubionym aktorem filigranowego Gerarda Cieślika, który bardziej przeżywał spotkanie z ukochanym „Wielkim Aktorem”, niż własną nagrodę. Franciszek Pieczka uspokajał wpatrzonemu w niego jak w tęczę maleńkiego przy nim Cieślika: – Ja nie jestem „wielki, tylko wysoki”, to pan jest „wielki”, bo to na pana mecze przychodziło nawet sto tysięcy ludzi! Wspominam o tym, bo Franciszek Pieczka pochodził z ciągle niedocenionego regionu kraju jakim jest Śląsk, do tego – jak twierdził Kazimierz Kutz – wywodził się z najlepszego „sortu” Ślązaków ze Śląska Cieszyńskiego i obce mu były splendory i wszelkiego rodzaju celebracje.

Biografia Mistrza

KSIĄŻKI

Franciszka Pieczkę, w biednym dzieciństwie i wczesnej młodości zafascynowało kino i wbrew rodzinnej górniczej tradycji, postanowił, po roku pracy w kopalni, a potem po rozpoczęciu studiów na Politechnice Śląskiej, wbrew woli ojca, wyrwać się z tego kręgu i zostać aktorem. Udało mu się to w niesamowity sposób. Jesienią 1950 roku zostawił kolegom na uczelni indeks Politechniki i pojechał do Warszawy realizować swe marzenie. I udało mu się dwie – niemożliwe wydawałoby się sprawy. Uzyskał w ministerstwie – wymaganą wtedy – zgodę na zmianę kierunku studiów, a następnie z tą zgodą, już po terminie rekrutacji, dotarł do dziekana wydziału aktorskiego szkoły teatralnej, znakomitego aktora i reżysera Aleksandra Zelwerowicza, który miał prawo przyjęcia jednego studenta poza wyznaczonym limitem. Tym studentem (z czasem ulubionym) został Franciszek Pieczka.

Pieczka miał charakter. Swoje aktorstwo, skoro je wybrał, narażając się mocno rodzinie, potraktował z najwyższą powagą. W szkole teatralnej gdy się przekonał, że ma talent, postanowił go starannie szlifować i mądrze rozwijać. W 1954 ukończył uczelnię i zamiast objazdu się po stolicy i grania byle czego w którymś z warszawskich teatrów, wylądował w Jeleniej Górze, gdzie mógł sporo grać w różnorodnym repertuarze. Po roku był już tak dobry, że chciał go zaangażować do Teatru Polskiego w Warszawie legendarny dyrektor Arnold Szyfman. Franciszek Pieczka jeszcze nie czuł takiej potrzeby, nadal chciał dużo grać, by rozwijać kunszt aktorski, wybrał więc nowo powstały Te-



JAN COFAŁKA

atr Ludowy w Nowej Hucie. Miał rację. Tam się narodził Franciszek Pieczka wielki aktor, którego pokochano, postać niepowtarzalna i niezwykła w historii teatru i filmu, do tego uosobienie dobroci.

W Krakowie zagrał kilkanaście znakomitych ról w sztukach reżyserowanych przez Krystynę Skuszanek, Jerzego Krasowskiego, potem Józefa Szajnę oraz Konrada Swinarskiego (w Teatrze Starym). Nie przeszkadzało mu, że było tu ubogo i siermiężnie, a jego majątkiem był rower – prezent od teściowej. Tamte lata (1955–1963) w Nowej Hucie i w Teatrze Starym-Franciszek Pieczka wspominał zawsze bardzo serdecznie, bo też kilka jego świetnie zagranych ról wymienionych i omówionych przez Autorkę, trafiło do kanonu teatru polskiego.

Franciszka Pieczkę znałem z teatru i filmów, ale miałem też okazję bliżej go poznać w Towarzystwie Przyjaciół Śląska w Warszawie, bo należał do grona jego członków założycieli w 1989 roku i był, kiedy tylko mógł, na Świętach Ślązaków w Warszawie i na Śląskich Biesiadach Świętecznych. Zawsze otaczało go grono wielbicieli, chcących mu coś powiedzieć, lub – w przypadku pań – zrobić sobie z nim zdjęcie. Wspominam o tym, bo Franciszkowi Pieczce obce były splendory i wszelkiego rodzaju celebracje. Po wielkich stresach, jakim są dla aktorów premiery, uciekał do domu, do żony, do ogródka, którym lubili się zajmować. Do końca życia – jak dowodzi Autorka – tej klasy artysta pozostawał „normalnym” człowiekiem.

W grudniu 2004 roku z okazji pięćdziesięciolecia pracy aktorskiej

otrzymał w czasie *Śląskiej Biesiady Świętecznej* na Zamku Ostrogskich w Warszawie, wspaniały bukiet kwiatów wręczony mu przez trzy śląskie znakomitości: posłankę Barbarę Bliedę, senator Krystynę Bochenek i prof. Dorotę Simonides, z torbą smacznego kołocza z Raciborza. Wysłał więc zgodnie ze śląską *kindersztubą* do tych cukierników podziękowanie, dołączając zdjęcie z autografem. Jakże się zdziwił, gdy wkrótce u drzwi jego domu w Falenicy pojawił się wysłannik z Raciborza z ogromną paczką tego śląskiego smakołyku. Żartował, że boi się im jeszcze raz podziękować.

Franciszek Pieczka miał swoich ulubionych reżyserów teatralnych i filmowych oraz role jakie u nich zagrał. Autorka książki wymienia najbardziej przez niego cenione z czasów krakowskich, a potem zagranych w Teatrze Powszechnym w Warszawie, nie będąc więc ich za nią powtarzał. Grać zaczął filmach w 1954 roku, jeszcze na studiach, w epizodzie *Pokoleń* Andrzeja Wajdy, potem w jego *Ziemi obiecanej*. Również w nie mniej słynnej *Matce Joannie od Aniołów* Jerzego Kawalerowicza, w *Zaduszkach* Tadeusz Konwickiego, w bardzo znanym do dziś *Rękopisie znalezionym w Saragossie* Wojciecha J. Hasa. Grał u Jerzego Passendorfera, Janusza Majewskiego, Aleksandra Ścibora-Rylskiego, twórców polskiej szkoły filmowej.

Z ponad 120 ról filmowych bardzo cenił sobie rolę nadwrażliwca Mateusza w *Żywocie Mateusza* Witolda Leszczyńskiego, *Jańcio Wodniku*, bo z jego reżyserem Janem Jakubem Kolskim – jak mi powiedział – „znaliśmy wspólne emocjonalne drganie”. Ciekawą sytuację odnotował z Jerzym Kawalerowiczem, u którego zagrał najpierw w *Matce Joannie od Aniołów*, potem cudownie w *Austerii*, kręconej w stanie wojennym, a następnie świętego Piotra w *Quo vadis*, bo Kawalerowicz nie miał zwyczaju powracania do aktorów, którzy u niego już zagraли. Z Kazimierzem Kutzem, czuli się „naskórkowo przez pochodzenie”, dlatego otrzymał od niego wspaniałą rolę (twierdził, że specjalnie napisaną dla niego) w *Perle w koronie*, bliską mu, bo był przecież w młodości górnikiem.

O jego trzypokoleniowym trwaniu w kinie świadczy przywołana przez Autorkę piękna historia przyjaźni i wspólnej pracy z Janem Jakubem Kolskim, u którego zagrał w dziewięciu filmach. Któregoś dnia Roman Kolski, ojciec przyszłego reżysera filmowego, zabrał swego dwunastolatka, uwielbiającego Gustlika, do wyciągnięcia filmowej w Łodzi, w któ-

rej zajmował się montażem filmów. Było dla syna sporym przeżyciem. Tam, w kącie sali siedział przy fortepianie i pogrywał sobie były organista w rodzinnym Godowie – Franciszek Pieczka. Mały Kolski znał go, więc podszedł i usiadł mu na kolanach, traktując go jak dobrego wujka. Pieczka spytał go: „A ty, kim będziesz, synku, jak dorośniesz?”. Mały odpowiedział bez namysłu: „Reżyserem!”. Wtedy Pieczka znający jego ojca spytał: „A obsadzisz mnie w swoim filmie?”. Mały nie bardzo wiedział, co to takiego „obsadzisz”, więc śmignął do ojca spytać, co to znaczy. „Czy zagra w Twoim filmie?”. Przyleciał z powrotem na te kolana i z całą powagą oświadczył: „Obsadzę Cię!”. Pieczka ucieszył się. „To dobrze, to dobrze!”.

Wiele lat później w latach 90., Jan Jakub Kolski po wydziale operatorskim łódzkiej filmówki szykując się jako reżyser do swego debiutanckiego filmu dotrzymał danego słowa i zaproponował w mu zagranie w *Pogrzebie kartofla* a następnie w kolejnych wszystkich swoich filmach, na czele z napisanym specjalnie dla Pieczki *Jańcio Wodnikiem* (1993), wyświetlanym na wielu festiwalach filmowych na świecie, *Szablą od komentanta* (1996), *Historii kina w Popielawach* (1998), *Jaśminum* (2006). Franciszek Pieczka staje się symbolem jego kina. Mówiono: Trafili na siebie dwaj wrażliwcy, bo byli dla siebie przeznaczeni, choć dzieliło ich aż 28 lat.

A przecież Franciszek Pieczka to nie tylko zjawisko w teatrze i filmie, to także ulubieniec słuchaczy radiowych. Jego tembr głosu był przecież nie do podrobienia. Do radia jeździł – jak żartował – ze względów towarzyskich. Tam spotykał kolegów, z którymi normalnie nie miał okazji się spotykać. Nawet mu się te dojazdy nie bardzo opłacały, lecz słuchacze czekali na starego Wojciaszka w *Jezioreanach* i nie mogli ich zawieźć. Ostatni odcinek *Jeziorean* puszczone już po jego śmierci.

Franciszek Pieczka przychodził na plan filmowy – jak twierdził Kazimierz Kutz – jak Ślązak na szychtę do kopalni, zawsze dobrze przygotowany, po to, aby rzetelnie wykonać powierzone mu zadania. Nie marudził, nie stękał, znosił trudne warunki ówczesnego bytowania na planie, w tym wielogodzinne oczekiwania. Sympatia jaką cieszył się, zawsze go żenowała, a przynajmniej kępowała. Gdy ktoś mu nadmiernie kadził, zaczynał mrugać oczyma szukając ratunku. Lubiano go, bo był skromnym, bez zwyczaju rozpychania się łokciami, aktorem. Czuli się artystą

i człowiekiem spełnionym, bo – jak twierdził – nigdy mu nie brakowało propozycji, co pozwalało mu się skupić tylko na aktorstwie. Ten stresogenny zawód – jak twierdził – był dla niego swego rodzaju psychoterapią, bo mógł, ni stąd ni zowąd, zapomniać o wszystkich sprawach, które człowieka gniołają w życiu. Wchodził na scenę i zapominał, bo był kimś innym. Żałował bardzo, że nie zagrał w filmie *Różowy horyzont*, który zamierzał nakręcić Kutz, o wielkiej śląskiej emigracji, jaka w połowie XIX wieku wyruszyła za chlebem ze Śląska do Teksasu. Miał w nim zagrać wymarzoną rolę jej inicjatora, ks. Leopolda Moczyłki. Niestety, ówczesne władze skonfliktowane z Kościołem, nie chciały dopuścić, aby bohaterem takiego filmu był ksiądz, do tego w wykonaniu Pieczki.

Mam jednak pewną pretensję do Autorki serdecznie polecanej przede mnie książki. Brak w niej, wśród wielu wspaniałych, zdjęć jego rodziny i tej – jak mówił – która mu stworzyła prawdziwy dom, czyli żony Henryki. Przeżyli z sobą – co jest swoistym ewenementem w środowisku aktorskim – bez mała pół wieku. Autorka wyraźnie nie docenia jej roli w życiu męża, chociaż przytoczyła anegdotę o tym, jak to Pieczka po spektaklu wychodził ukłonić się okłaskującym widzom w pierwszym rządzie. Przy drugim wyjściu był już w drugim rządzie, zaś kiedy wychodzono po raz trzeci, Pieczka był już u swojej żony w Falenicy. Franciszek Pieczka w wywiadzie udzielonym mi w 2008 roku powiedział, że gdyby nie żona, chyba nie osiągnąłby tego, do czego doszedł w swoim zawodzie. Ona stworzyła mu komfortową sytuację psychiczną. Potrafiła nawet po urodzeniu się syna Piotra w Warszawie (w szesnastcie lat po córce Ilonie urodzonej w Krakowie), który dostarczał im w dzieciństwie sporo zdrowotnych kłopotów, zrezygnować jako romanistka z pracy zawodowej. Z pięcioletnim synkiem, Gustlik po raz pierwszy oglądał w całości *Czterech pancernych i psa* i mały Piotruś był bardzo dumny, że ma takiego dzielnego ojca czółgiste!

Gratulując Autorce udanej biografii Franciszka Pieczki, raz jeszcze wyrażam ogromny żal po Jego odejściu. Żegnaj, Panie Franciszku – wielka szkoda, że nas już opuściłeś. Tak dobrze nam z Tobą było. ■

Magda Jaros: Ty pieronie! Biografia Franciszka Pieczki. Dom Wydawniczy REBIS, Poznań 2022, s. 253.

Podążając myślą Michaela Foucaulta (przeciw-pamięci), otworzy się przed nami pojęcie kulturowane we współczesnym świecie. Herstoria, czyli historie z przeszłości, uwzględniające dotychczasowe grupy wykluczone, rośnie na sile w XXI wieku. Feministki i feminiści starają się odnaleźć i uwzględnić kobiety w kulturze i społeczeństwie. Dzisiejsi pisarze starają się opowiedzieć mitologię na nowo. Pokłosem ich pracy była seria *Mity*, do której zostali zaproszeni autorzy z całego świata, w tym Margaret Atwood, Karen Armstrong oraz Olga Tokarczuk. Reinterpretacji mitów podjęły się również znane polskie prozatorki, które wspólnie stworzyły antologię *Ziarno granatu. Mitologia według kobiet* pod redakcją Pawła Goźlińskiego. Główną myśl opowiadań stanowi pytanie zamieszczone z tyłu książki: Czy boginie, nimfy, kobiece bohaterki mitów muszą być zabijanymi, gwałconymi, maltretowanymi, upokarzonymi ofiarami wszechmocnych bogów?

Olga Tokarczuk pokładała wielkie nadzieje w zbiorze opowiadań autorek licząc, że odnowią, a w zasadzie „zaktualizują” mitologię i archetypy kobiet, które w patriarchalnej rzeczywistości przemieniły się w krzywdzące stereotypy. Pisarki spełniły oczekiwania polskiej noblistki, tworząc historie nowe, których wcześniej nie było. *Mitologię według kobiet* napisały: Katarzyna Boni, Elżbieta Cherezińska, Julia Fiedorczyk, Agnieszka Jelonek, Renata Lis, Weronika Murek, Grażyna Plebanek, Joanna Rudniańska, Barbara Sadurska, Dominika Słowik, Aleksandra Zbroja oraz Aleksandra Zielińska. Każda z autorek odrodziła inną, znaną od początków ludzkości kobietą bohaterkę mitologiczną. Prozatorki niejednokrotnie odbiegły od doskonale znanej nam fabuły mitu. Niektóre historie zostały bowiem osadzone w czasach współczesnych.

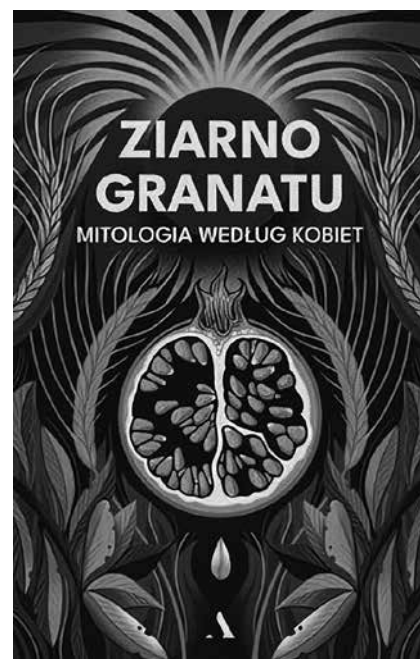
Znamienny tytuł oraz okładka książki nawiązuje bezpośrednio do owocu granatu, będącym – według Władysława Kopalinińskiego – symbolem płodności, miłości, szeroko rozumianej kobiecości oraz przemiany. Każda z autorek kreuje w opowiadaniach inny język oraz osadza wydarzenia w różnych rzeczywistościach, stąd też historia umieszczona w antologii różni się i nie są spójne. Poemat Julii Fiedorczyk o tragicznej historii Echo, zachwyca pięknym, poetyckim językiem, z kolei Aleksandra Zbroja, pisząc o Euridyce, która w interpretacji pisarki brzydzi się Orfeuszem, nie wzbrania się od używania wulgaryzmów. Wszystkie opowiadania posiadają jednak wspólny cel – pisarki starają się odmieńić los mitologicznych kobiet, oddają im chwilowo głos, pozwalają zostać głównym podmiotem zdarzeń, a nie jedynie zbiegiem okoliczności w życiu mężczyzn. Dominujące, a w zasadzie jedyne kolory występujące na okładce zbioru, to niebieski oraz czerwony. Odwołując się ponownie do *Słownika symboli* Władysława Kopalinińskiego, odczytać możemy, że w starożytnej Grecji oraz Rzymie czerwień kojarzona była z krwią, czyli źródłem życia, dlatego pozostawała synonimem płodności. Z kolei niebieski, odnosi się do siedziby bogów w niebie. Obie barwy symbolizują zatem boginie.

(Her)storia po grecku

KSIĄŻKI

Granat nawiązuje również bezpośrednio do mitu o Korze/Persefonie, w którym Hades podstępnie użył owocu, aby dziewczyna pozostała w podziemiu. Pierwszą historię w zbiorze jest napisana przez Elżbietę Cherezińską reinterpretacja archetypu relacji matki z córką. Autorka w opowieści zatytułowanej *Znałaś tylko Korę* jako najważniejszy wątek w całej historii przedstawia siłę więzi pomiędzy spokrewnionymi kobietami. Opowiadanie to pozostaje w zgodzie z pierwowzorem, zostaje jednak wzbogacone w siłę i oddanie skrzywdzonej matki oraz porozumienie, które jest w stanie zrozumieć tylko rodzicielka z córką. Pisarka rozdziela również postać Kory od Persefony. Pierwsza tęskni za matką i chce do niej wrócić, druga – zafascynowana życiem w ciemnościach, pozostaje dumną królową świata podziemnego. Ostatni mit skomponowany przez Dominikę Słowik opowiada o zaginionej ciężarnej kobiecie, która nazywa siebie Korą. Autorka, w odróżnieniu od Cherezińskiej, osadza historię w teraźniejszości, dlatego to policja szuka bohaterki mitu. Słowik również wykorzystuje owoc granatu w swojej historii. Letniczka, bo tak nazywa ją pani, u której pomieszkuje, posiada dar, którym w pierwowzorze mogła się chwalić bogini urodzaju. W ramach podziękowania pozostawia wiele bujnych płonów właścicielce domu. Jedną rośliną, która nie zakiełkowała to właśnie tytułowy owoc „Drzewko granatowe, które tamtego roku weszło w starym wiaderku, towarzyszyło jej później przez wiele lat. Ni gdy jednak nie zaowocowało”.

Każda autorka, której opowiadanie znalazło się w antologii, jest unikatowa w swojej historii, dlatego niektóre opowieści mocno odbiegają od pierwowzorów. Poprzez osadzenie ich w kontekstach medycyny estetycznej, haśle pojawiających się na marszach kobiet czy w aplikacjach komórkowych wiele współcze-



JULIA DUSZA

snych kobiet jest w stanie odnaleźć w boginiach greckich pierwiastek samych siebie. Prozatorki starają się urealnić boskie persony. Niektóre z autorek bawią się formą. Agnieszka Jelonek, pisząc mit o Medeji, przedstawiła historię czarodziejki w postaci scenariusza do serialu telewizyjnego oraz ironicznych uwag do scenarzystów, niejednokrotnie nawiązujących do współczesnych tematów społecznych: „Może nie odwołujemy się do gwiazd? Zwłaszcza, że mówimy tu o kobiecym gniewie i może się kojarzyć z *****”. Wplątane w wydarzenia z życia bohaterek różne tematy niejednokrotnie łamią tabu. Każda z nich była z pewnością postacią tragiczną, uwikłaną w patriarchalny system. Poza licznymi motywami gwałtu, w opowiadaniu o Jokaście, napisanym przez Joannę Rudniańską, pojawił się wątek pedofilii – Jokasta gdy zaszła w ciążę z Lajosem, nie miała nawet piętnastu lat.

Antologia została wypełniona obrazami Izy Dudzik, absolwentki Ogólnokształcącej Szkoły Sztuk Pięknych w Dąbrowie Górniczej oraz Akademii Sztuk Pięknych w Katowicach. Malarka zadbała zarówno o samą okładkę, jak i rysunki bogiń. Zostały przedstawione one w ciepłych odcieniach. Ich portrety rozdzielają poszczególne rozdziały.

Reinterpretacje mitów pozwalają na dużą inwencję twórczą. Książka spisana przez współczesne polskie pisarki zachwyca. Różnorodność przedstawionych historii sprawia, że każde opowiadanie staje się niepowtarzalne. Dzięki takim przedsięwzięciom jak wydanie *Ziarna granatu*, my, czytelnicy, odkrywamy teksty na nowo, a mity greckie stają się „przejmująco aktualne”.

Ziarno granatu. Mitologia według kobiet. Agora SA, Warszawa 2022, s. 368.

Kalina Jaglarz jest autorką tomu *Gościć sójki*, który ukazała się nakładem wydawnictwa Biblioteki Śląskiej w Katowicach w serii *Ut Pictura Bibliotheca*. Poetka mówi osobnym głosem, który podkreśla już sama budowa wierszy. Nie mają one tytułów, a pierwsze wersy oddzielone są zaledwie poziomą kreską. Nie nadaje im to jednak funkcji incipitu, chociaż czcionka pierwszego wersu jest nieco większa, ponieważ tom został pomyślany jako mowa ciągła, coś na kształt znanego teoretykom literatury solilokwium, przetykanego oddechem na zaczerpnięcie powietrza i pozbawionego w zasadzie znaków przystankowych, czy zwykłych reguł składni. Efektem jest gęstość, przez którą przedziera się czytelnik, jak przez krzaczasty, drzewiasty las, gubiąc raz po raz zmienną perspektywę przepoczwarczającą się ze skali makro w mikro i odwrotnie. Nic tu nie jest oczywiste. Wszystko zarośnięte: „jest coś więcej niż rozpad grzyba drążona skórka/ zrośnięte ślady po zębach ucisk w pomiędzy jednym/ a drugim pnem drzewa teraz wszystkie paprocie pobladły// kapelusze ma imię ryby lgnie lekko kościółki rozprasza się łuska/ i przecina tkankę jest coś więcej niż rozpad słowa niż skóra błada/ i zimna i usta wargi wyschnięte i czujne bo mówią z nich zwierzęta// potem długie kołowanie na brzegu lasu wzbiera ciąg liter/ odczytywanych na różne sposoby albo anagramy roślin//jeden jest kolor rozpadu inaczej się mieni oczom inaczej się skrada/ z trudem unosząc żebra lasu całuj wznoszący się brzuch borsuka/ całuj wydęty brzuch zająca ciepły a oko zastygło i cień nad nami/ jeszcze jeden dzień mija i sarna w skoku nad dolinę”.

Obraz dodatkowo rozedrgany jest dzięki przerwaniom, personifikacjom („paprocie pobladły”), modyfikacjom frazeologicznym („rozprasza się łuska”), powtórzeniom, podwójnym konotacjom („ciepły a oko zastygło”), czy nieoczywistym metaforom („anagramy roślin”, „żebra lasu”), by sięgnąć tylko do cytowanego wiersza. Nagromadzenie tropów i ciągłość przenikających się obrazów/obserwacji wzmagają czujność i zaskakują czytelnika, który tak, jak Jaglarz, nigdy dotąd jeszcze nie patrzył.

Tom dzieli się na trzy części: *dolinę* (najobszerniejsza), *pogranicze* i *bez granic* (zaledwie jeden wiersz). Taki układ może sygnalizować wędrowanie, oddalanie się, podróz, której niewątpliwie znaczącym elementem jest tytułowa ptasia wizyta. „tak odmierzany czas gości sójki kołyszące się w gałęziach/ i lęk dolin o bolesnych kościach wyspanych przez ciemność/ ścieżki łączą się w niepodobnych manewrach/ niewoli i wyjścia” – wyzna poetka.

Dlaczego sójki? To, jak piszą ornitology, ptaki znane z tego, że w lasach alarmują głośnym, przenikliwym, ostrym skrzekiem, w zaniepokojeniu reagują na każdy podejrzany obiekt czy ruch. Skrzeczenie sójek pełni nie tylko funkcje sygnalizacyjne dla nich samych, ale i innych zwie-

Gdzie patrzeć, żeby nie raziło

KSIAŻKI

rząt. A pojawienie się tego ostrego okrzyku sprawia, że stają się czujne i wypatrują ewentualnego niebezpieczeństwa.

Gościć je, to czuć to co one. Jaglarz wyostrza więc wszystkie zmysły na raz: słucha, widzi, wącha, smakuje, dotyka, wystrzając wzrok na bliskich i dalekich punktach krajobrazu. Jest w nim coś zwierzęcego, sójkowego, czujnego. To hiperwrażliwość, która patrząc ludzkim okiem, jednocześnie widzi tak, jak widzą zwierzęta, drzewa, mchy, grzyby... a patrząc stają się nimi. Dopina słowom pazury i pióra, jad i wełnę, a niekiedy jego: „jeszcze nie rozpoznane w pozycyju ja ospale przesuwają igliwie”.

Miarą niezmiernie wrażliwości Jaglarza niech będzie dedykacja. Nie ta, która zawisa nad wierszem niczym sztandar i obwieszcza „komu”, lecz ta przypisana gwiazdką przy ostatnim słowie, z niebytu wydobywająca rzecz straszna: „* pamięci szczura, któremu mój dziadek wypalił drucikiem oczy”. Właśnie to niczym nie usprawiedliwione okrucieństwo wobec naszych „braci mniejszych” sprawia, że „w słowie słowo nie staje się ciałem/ tylko padliną ruszona przez ptaki”.

Gościć sójki nie ma w sobie nic z klasycznego bestiariusz, wręcz przeciwnie „bestia” to nie zwierzę a człowiek. Antropocen zmienił tu znaczenie, zezwierzęcenie czyniąc ludzkim i odwrotnie, bo nikt poza człowiekiem nie ma w sobie okrucieństwa. Co więcej, jak twierdzą filozofowie, dbamy tylko o te z nich (psy, koty, chomiki...), które antropomorfizujemy, reszta to wrogowie, magazyn żywności, „inni”. Nimi stają się zresztą także ludzie. Kiedy nie są swoi jednych i drugich pozbawiamy praw. Jaglarz przywołuje trwający do dzisiaj exodus uchodźców w wierszach datowanych na jesień i wczesną zimą 2021 roku, a opatrzonych nazwami miejscowości: „okolice orzeszkowa”, „okolice hajnowki”, „okolice Teremisek” czy puszczy białowieskiej i augu-



PIOTR SKOWRONEK

stowskiej (zapis małymi literami nie jest tu bez znaczenia).

Krzysztof Czyżewski tak widzi ów motyw: „Z ust poezji Kaliny Jaglarza mówią zwierzęta i uchodźcy przy białoruskiej granicy. Słowo zostaje wygnane z człowieczego komfortu. Poruszamy się po literach obrosłych mchem, w których można wytropić ślady owiec albo psa i zmęczyć się cudzym marszem. W lesie kurczącym się od światła granicznych patroli poezja zrasta się z obcoplemiennym. Zwierzęcy jest rdzeń zwierzchni tych jakże gościnnych wierszy”. Ja owej serdeczności nie dostrzegam.

Zmysły wyostrzone do granic możliwości nie rejestrują jednak tylko ciemnej, zagrażającej „innym” strony człowieka, z przynależnym jej okrucieństwem, przemocą i przypisanym „panowaniem”. Świat poetycki Jaglarza tworzony z „nerwami na wierzchu” zapelniają także obraz pierwotnego, naturalnego piękna, które nasze, ludzkie okrucieństwo potęgują jak sól sypana na ranę. Jaglarz prowadzi swoją diagnozę precyzyjnie i delikatnie niczym chirurg. Rozcina nie tylko powierzchownie, nie tylko widzialne, ale schodzi głębiej do zakorzenionych w nas archetypów, także tych w sferze sacrum, każąc nam prze wartościować ich rolę na nowo, bo: „nie można upaść niżej niż człowiek”. Sławomir Hornik napisał: „Doceniam, że skupia w soczewce wiersza groźbę istnienia i piękno natury. W *gościć sójki* czują się ugoszczeni”. A ja nie mogę się pogodzić z ich strachem, który anonsują swym głośnym, przenikliwym, ostrym skrzekiem. Nie łagodzi go nawet ich piękno i lusterka na skrzydłach odbijające niebo. ■

Kalina Jaglarz, *Gościć sójki*, Wydawnictwo Biblioteki Śląskiej, Katowice 2022, s. 56.

Katowice porównuje się często z Dzikim Zachodem. Dynamiczny rozwój miasta rozpoczął się w połowie dziewiętnastego wieku, dzięki przemysłowi oraz kolei, umożliwiając robienie karier „od zera do milionera”. Album *Promenada na południe. Historia ulicy Kościuszki w Katowicach*, pod redakcją Magdaleny Chmiel, pokazuje jak w pigułce zachodzące wówczas procesy, na przykładzie prowadzącej od folwarku w Brynowie do dworca kolejowego drogi, która błyskawicznie przeobraziła się w jedną z najważniejszych arterii stolicy województwa.

Autorzy publikacji – Irma Kozina, Przemysław Piwowarczyk, Marek Wojcik, Jacek Maniecki i Ryszard Nakonieczny – z wielką dbałością o szczegóły opisują, jak pośród pól i nielicznych zabudowań najpierw powstała Kopalnia Beata, cegielnia, kuźnia, szynki, stopniowo coraz bardziej wyrafinowane architektonicznie kamienice czynszowe oraz wille, aż wreszcie ogromny park, obiekty sportowe i rekreacyjne, hala targowa, a także jedna z pierwszych linii tramwajowych w mieście. Tekst wzbogacono licznymi fotografiami Krzysztofa Szewczyka, jak również archiwalnymi zdjęciami, mapami, planami oraz dokumentami meldunkowymi, pozwalającymi zrekonstruować historię ulicy Kościuszki (pierwotnie Beatenstrasse), jej budowniczych, mieszkańców, klientów miejscowych sklepów i spacerowiczów.

Mimo że podczas studiów często przemierzałam pieszo lub tramwajem ulicę Kościuszki, karmiłam wiewiórki i czytałam książki w Parku Kościuszki – w tym opowieść Kazimierza Gołby o znajdującej się w nim słynnej Wieży Spadochronowej i jej obrońcach – to po lekturze *Promenady na południe* zrozumiałam, jak nieuważnie dotąd się wszystkiemu przyglądałam. Dowiedziałam się między innymi, że Plac Andrzeja nazwano na cześć Andrzeja Warzechy, chłopa, który był pierwotnym posiadaczem ziemi od tegoż Placu do Placu Karola Miarki. Że pierwsze Ogrody Szreberowskie na Górnym Śląsku powstały w 1905 roku w moim rodzinnym Chorzowie (wówczas Królewskiej Hucie), a rok później podobne pojawiły się w Katowicach. Również, że w dwudziestoleciu międzywojennym w Barze Galop można było obserwować wyniki gonitw, które odbywały się na torze wyścigów konnych na warszawskim Służewcu.

Szczególne zaciekawienie wzbudziła we mnie biografia Roberta Czieslika, urodzonego w 1844 roku i wychowanego w sierocińcu cieśli, który bardzo młodo, bo już około trzydziestki, dorobił się cegielni. Jako pięćdziesięciolatek posiadał osiemnaście domów przy ulicy Kościuszki i w innych punktach Katowic, co czyniło z niego największego kamienicznika w mieście. Jego awans społeczny wiązał się ze zmianą nazwiska na niemieckobrzmiące Zimmermann, a wyznania na ewangelicyzm. Trudno powiedzieć, czy – w czasach Kulturkampfu – podobny awans byłby możliwy bez germanizacji. Dzieci Roberta przejęły i rozwinęły rodzinne interesy budowlane. Grobowiec rodziny Zimmermannów znajduje się na cmentarzu przy ulicy Francuskiej. Warto dodać, że gdy Robert był właścicielem cegielni, w Katowicach żyło jedenaście tysięcy osób, a trzy i pół dekady później, gdy umierał, już czterdzieści trzy tysiące, co obrazuje, że



Ulica Kościuszki – fotografia ze zbiorów Muzeum Historii Katowic.

Od zagonu do peronu

WERONIKA GÓRSKA

miasto rozwijało się równie dynamicznie, co jego majątek i pozycja.

Kolejną ciekawą historią zawartą w *Promenadzie na południe* jest opowieść o targach odbywających się w pawilonie mieszczącym się naprzeciwko Parku Kościuszki, w czasach dwudziestolecia międzywojennego. Przedsięwzięcie miało na celu integrację gospodarczą Śląska z resztą kraju. Jego organizacja upływała jednak w cieniu animozji między rdzenną ludnością a administracją, która niemal w całości przybyła z Galicji. Ostatecznie impreza nie spotkała się z tak dużym zainteresowaniem ani nie przyniosła tak dużych zysków, na jakie liczone.

Najlepszą ilustracją rozwoju nie tylko ulicy Kościuszki, ale i całego miasta oraz regionu, są jednak szczegółowe opisy oraz piękne zdjęcia kamienic znajdujących się w śródmieściu oraz willi mieszczących się w pobliżu Parku Kościuszki. Reprezentują one bardzo różnorodne style architektoniczne, od bogato zdobionego historyczno-eklektycznego, dominującego pod koniec XIX wieku, poprzez secesję i tak zwany styl rodzimy, modny na początku XX wieku, aż po prosty, funkcjonalny modernizm,

będący symbolem dynamizmu i nowoczesności odrodzonego państwa polskiego. W publikacji nie brakuje też informacji, kto żył w poszczególnych budynkach – w przestronnych mieszkaniach na pierwszych piętrach właściciele domów i inteligencja, a w ciasniejszych lokalach na wyższych kondygnacjach czy w oficynach najemcy, głównie rzemieślnicy i sklepikarze.

Album *Promenada na południe. Historia ulicy Kościuszki w Katowicach* to napisana ciekawie i przystępnie opowieść o tętniącym życiem, nieustannie rozrastającym i zmieniającym się fragmencie miasta, który z jego peryferii zamieniał się w jeden z najatrakcyjniejszych i najbardziej reprezentatywnych punktów. Współcześnie tytułowa promenada utraciła część dawnego blasku, niektóre z zabytkowych kamienic niszczeją, od lat nieremontowane, nie brakuje też w nich pustostanów. Jednocześnie pojawiają się pomyśły i inwestycje, dające nadzieję na odrodzenie oraz rozkwit tego pięknego, różnorodnego, mającego ogromny potencjał zakątką. Książka powinna szczególnie zainteresować pasjonatów górnośląskiej historii, zwłaszcza tych, którzy dobrze znają prezentowane w niej miejsca. ■

***Promenada na południe. Historia ulicy Kościuszki w Katowicach*, redakcja Magda Chmiel, Katowice – Miasto Ogrodów, s. 287.**

Wydana w 2019 roku *Promenada na południe. Historia ulicy Kościuszki* to element projektu poświęconego historii ulicy Kościuszki w Katowicach. W 2020 roku projekt został rozszerzony o elektroniczne repozytorium wiedzy – Archiwum Cyfrowe – które zawiera setki zeskanowanych archiwalnych dokumentów od szyldów po zdjęcia. Archiwum dostępne jest pod adresem: kosciuszki.medialabkatowice.eu i pozwala eksplorować dokumenty według własnych zainteresowań. Aby zachęcić mieszkańców i turystów do zwiedzania Katowic, w 2021 roku powstał podręczny spacerownik. Główną osią tematyczną są tereny wzdłuż ulicy Kościuszki. Zamieszczono informację o ulicy Kościuszki w podziale na trasy spacerowe (w tym dla rodziców z dziećmi) i wycieczki lokalną komunikacją. W ubiegłym roku zdecydowano o nadaniu projektowi bardziej społecznego charakteru, tworząc Archiwum Historii Mówionej ulicy Kościuszki. Archiwum, na które składają się osobiste historie seniorów o ulicy Kościuszki, jest dostępne na stronie Medialabu Katowice: <https://medialabkatowice.eu/projekty/archiwum-historii-mowionej-ul-kosciuszki-w-katowicach>

Ludzie z innej planety (3)

ZBIGNIEW KADŁUBEK

„[...] na przystankach obserwowałem ludzi z innej planety”

Zygmunt Haupt
w Katowicach w 1937 roku

A zacząłbym tym razem moje bajanie od cytatu z Iwana Bunina: „Nie chcę dużo gadać, powiem tylko jedno: nie chwalcie wy się, na litość Boską, że jesteście Rosjanami! Dziękuję za was naród”. Jo mõm – i moja rodzina – osobiste porachunki z Rusami i my Rusõm si niy dõmy. A by to pierõn szczelõ! Ale piurun nie strzeli. Żaden Zeus Gromowładny nie pierdolnie. Olim zajda osmiorniczki oraz igra z genitaliami. My to musimy zrobić – my musimy powstrzymać Rosjan. I robić to zaczęliśmy.

Ten piękny gest gościnności wobec braci i siostr z Ukrainy jest czymś na miarę cudu Solidarności. Bo w Polsce zdarzają się cuda, ale ponieważ Górny Śląsk należy do innej galaktyki i żyją na Górnym Śląsku ludzie z innej planety, Szczepan Twardoch kupił wozy (nazwijmy je bojowe) i osobiście pojechał porozmawiać z Rosjanami. Można by rzec, że Szczepan Twardoch to fantasta historyczny. Albo taki pisarz, który lubi opisywać strzelanki. Zna się na pistoletach oraz na mordobiciu, pochwała pięściarstwo, a także eksponuje w swoich powieściach przypadkowość ludzkiego losu, gdy nagle kula trafia Ślązaka, którą wystrzelił w jego kierunku powstaniec śląski (całkowicie *bez cufal* nadjechał ze strony Sosnowca).

Wojna byłaby splotem nieszczęsnych zbiegów okoliczności, jakkolwiek pole dla wspomnianych okoliczności najczęściej przygotowuje, co brzmi absurdalnie, wróg, najeźdźca, agresor, nieprzyjaciel. Rosjanin.

Szczepan Twardoch pojechał. Tam, gdzie dużo błota. Tam, gdzie dużo nieszczęść. Tam, gdzie cierpienie rozchełstało się, rozwściekliło, rozkołysało, rozbijało. Ale cierpienie jest zawsze pojedyncze. Nie jest abstrakcją, jakimś pojęciem lub terminem, w który można wkładać różne rzeczy. Nie. Cierpienie boli pojedynczo. Urwana noga boli długo. Naszpikowana ułamkami głowa boli do końca życia. Głosy rakiet, ten świst, dziecko słyszy aż po ostatnie tchnienie. Cierpienie to nie pole semantyczne, lecz pole bitwy. Pole rżenia. Szczepan Twardoch w naszym imieniu pojechał koić i ulżyć. Pisarz – znany w całej Polsce, przekładany na

wiele języków – sam siebie przełożył na język odwagi, siły.

Szczepan Twardoch opowiada o doświadczeniach wojny. Opowiada o tym, jak we Flandrii młodzi chłopcy szczają ze strachu i mają podziurawione hełmy. Szczepan Twardoch nie jest pacyfistą na miarę Remarque’a, bo w tej chwili pacyfizm nie jest nam do niczego potrzebny. Może kiedyś, może gdzieś znowu będziemy pacyfistami. Pokochamy ludzi i zwierzęta, kotki, robaki, a nawet Rosjan. Ale nie teraz. Teraz Szczepan Twardoch pokazał, Szczepan nauczony doświadczeniem, sam ćwiczący się w chołodzie, że trzeba walczyć. No, on jest naprawdę z innej planety. On naprawdę nie potrzebuje wygodnego gabinetu. On naprawdę nie potrzebuje markowym ciuchów, kabrioletów, wianuszka wzdychających saren, po prostu pojechał tam za nas.

Tacy są Ślązacy, tak mocno podziałała na nas stara trauma, a także niezwykła zbieżność ulubionych barw na fladze. Nie, żebym kochał flagi, nie, żebym bardzo się wzruszał, gdy widzę błękit i złoto żółte flagi śląskiej albo – odwróciwszy głowę – flagi ukraińskiej. Nie, żebym korzystał z energii gniewu wpisanego w moje imię. Lecz jest coś takiego, co nagle obudziło do Szczepana Twardocha jakąś całkowicie niewypowiadalną wdzięczność.

Mówię to nie tylko we własnym imieniu, lecz w imieniu wszystkich Ślązaków, którzy kochają prozę Szczepana Twardocha albo zwyczajnie są wielkimi miłośnikami wszystkich śląskich drobin, Dracha. A te drobiny, o których wspominałem, są rozsiane na przykład w śląskiej literaturze, w namiętnościach tekstowych o śląskości Szczepana Twardocha. W *Komisarzy Haniusiku* Marcina Melona, w otaczającym nas

świecie śląskim, który jest niewidoczny, ukryty jak niektóre opcje (fizycy wiedzą, o co chodzi).

Śląsk jest niewidoczny jak Bóg. *Sile-sia semper abscondita*. W jakimś sensie mógłby Śląsk wymyślić jedynie jakiś mistyk, oczywiście nadreński, lub sam Marcin Luter. Tak, jesteśmy niewidoczni, ale, gdy trzeba, zaczynamy się ujawniać, wychodzimy a cienia. Stajemy się pięścią. Wszyscy jesteśmy Twardochami. Twardymi jak *bergi* wydobywane na *grubie*. Spadamy jak lawina ciężkich kamieni na każdego, kto nas znieważa, opluwa albo chciałby do nas strzelić. I bronimy, my, Ślązacy, maleńcy i niewidoczni, ludzkie larwy, wszystkiego, co jest mniejsze, wszystkiego, co jest gwałcone, bronimy wolności, a teraz damy się zabić za Ukrainę.

No, i należałoby skończyć już z tym patosem, jednak nie jest to łatwe. Sięgam przeto do poetyckiej książki i powiem tylko tyle, że „przechowujemy to nowe, które gęstnieje” (Joanna Roszak, książka poetycka pt. *Wewe*). Bo świat, wszechświat, nawet nasza śląska planeta, jak powiedziałby to Iwan Bunin, „linieje”! Wszystko „linieje”! Szerokiej drogi, Szczepan. Szerokiej drogi, Piotrze Kaszuwaro! Szerokiej drogi, księżniczko Annemarie Vanlangendonck! ■



Szczepan Twardoch

Abstrakcyjne Katowice

TOMASZ KOWALSKI

Jestem synem małżeństwa artystów. Mój ojciec, Andrzej S. Kowalski był świetnym malarzem-abstrakcjonistą (choć nie tylko). Wychowałem się w oparach oleju, terpentyny i czasami burzliwych sporów artystycznych. Do tego stopnia wrosłem w sztukę abstrakcyjną, że każdy obraz figuratywny wydawał mi się z gruntu podejrzany.

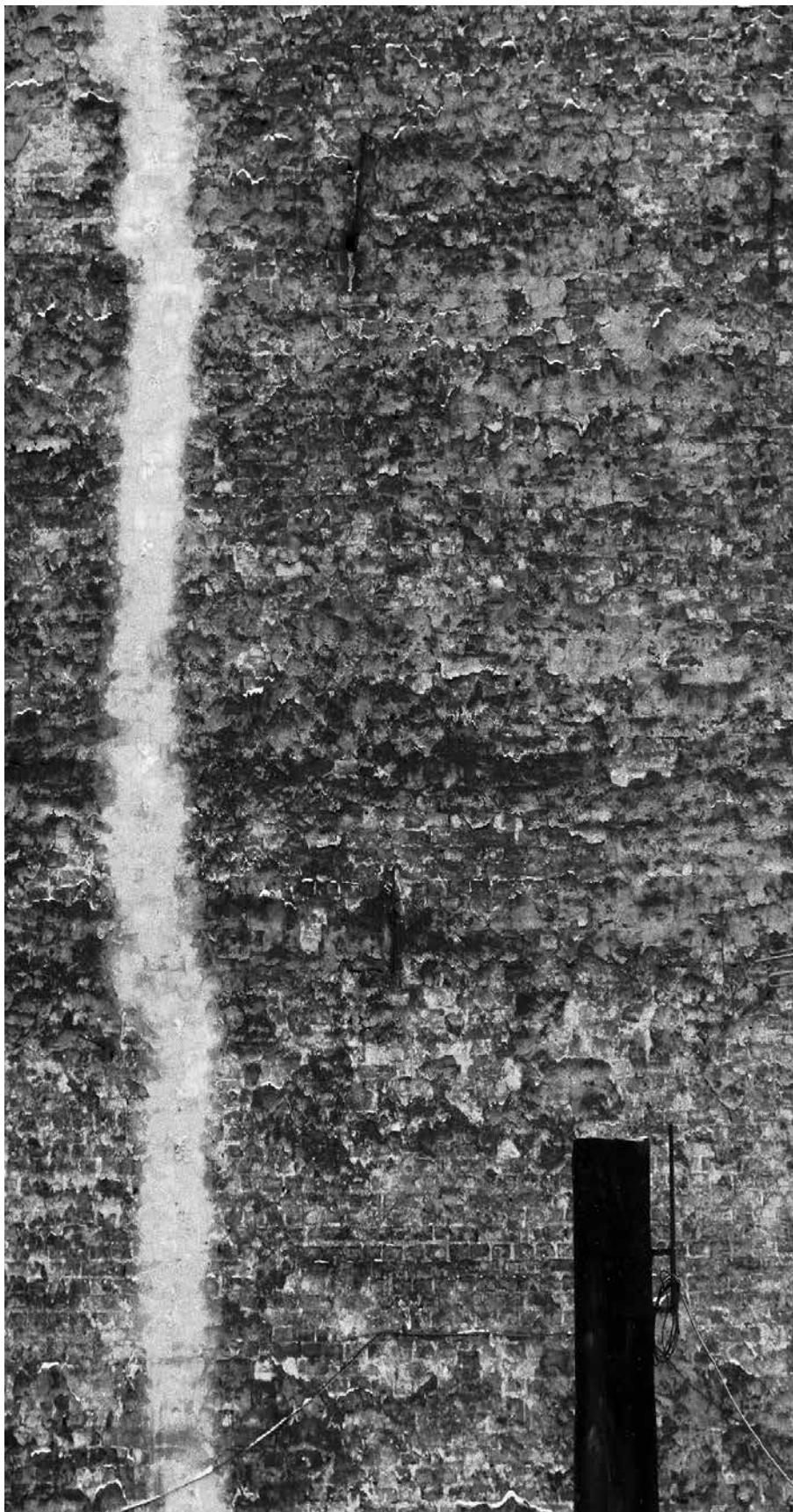
Bardzo często zadawano mi pytanie: co to przedstawia? Kiedyś moja odpowiedź brzmiała: to, co widzisz. Zrozumiałem jednak, po burzliwej dyskusji z kolegą, który usiłował udowodnić, że pewien obraz ojca przedstawia but i że z pewnością taki był zamiar artysty, że właściwa odpowiedź to: samego siebie. Można jeszcze dodać: i nic więcej.

Tu kryje się istota sztuki abstrakcyjnej; kiedy abstrahujemy od treści, szczególnie tych mocno nacechowanych emocjonalnie zyskujemy dostęp do czegoś, co określiłbym jako „czystą graficzność świata”. Oczywiście dobre obrazy figuratywne także posiadają tę warstwę, ale niełatwo do niej dotrzeć; proszę sobie wyobrazić próbę potraktowania pięknego aktu jako obiektu wyłącznie graficznego. To trudne, mnie się kojarzy nieco z fenomenologiczną *epoché*. Można sobie ułatwić życie drogą eliminacji sensów, co też właśnie robi sztuka abstrakcyjna i co ja robię w swoich zdjęciach.

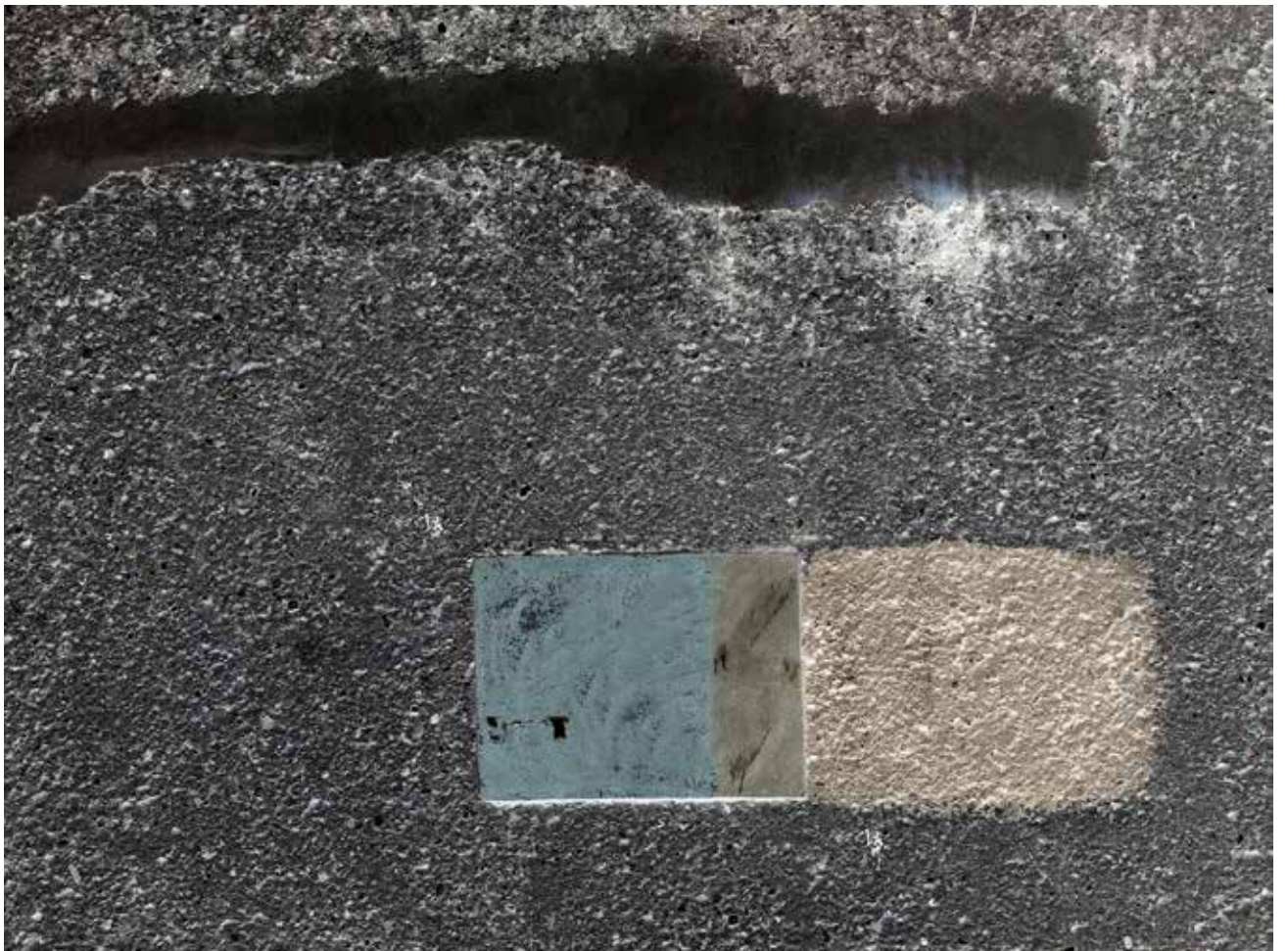
Otóż spaceruję po Katowicach i szukam wyrazistych graficznych motywów, najlepiej w miejscach brudnych i zapuszczonych, o co niestety nie jest w mieście trudno; właśnie tam występują ciekawe kontrasty między surowością architektury wobec raczej organicznego, fraktalnego charakteru zniszczeń.

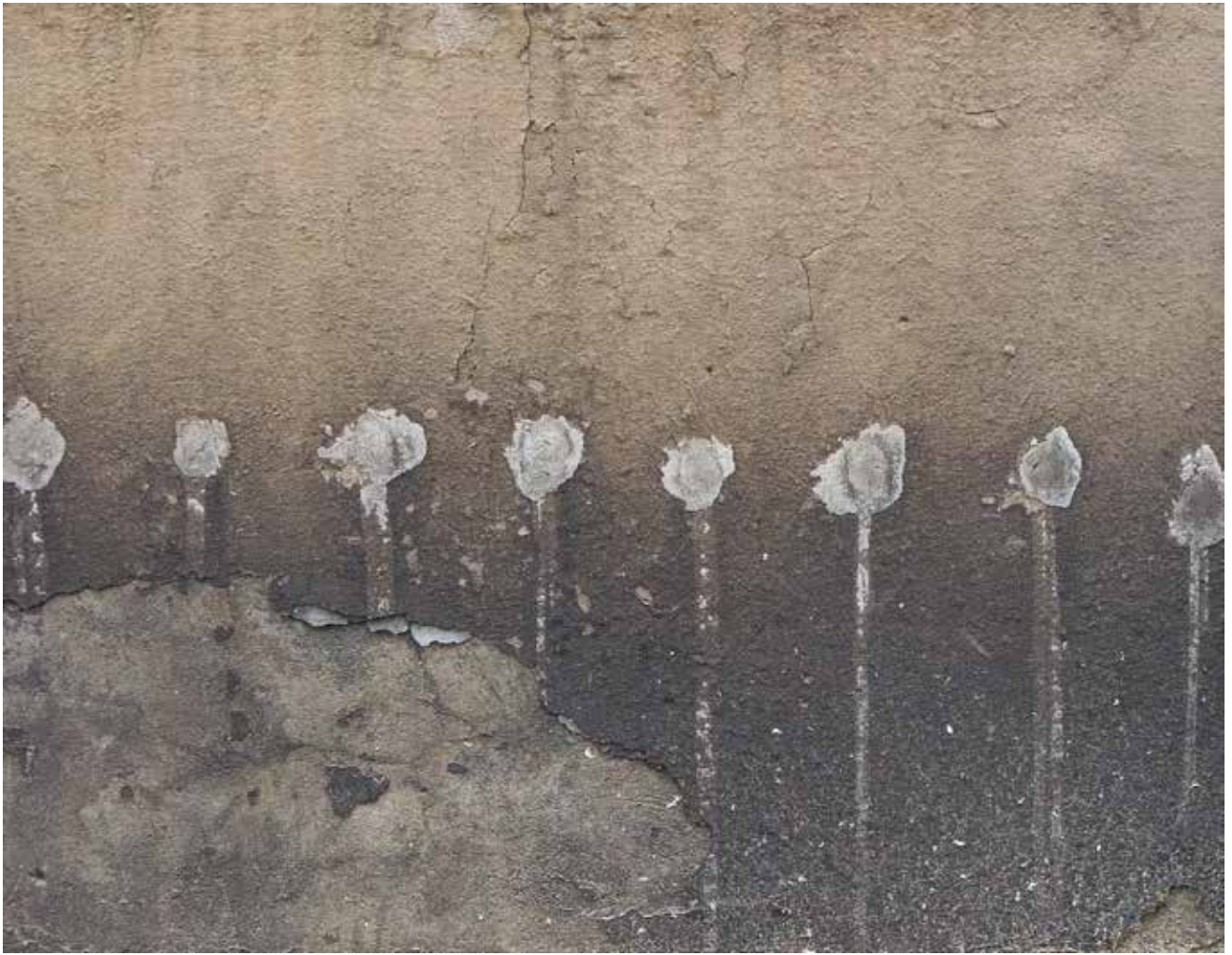
Kiedy znajdę interesujący obiekt, następuje magiczna chwila, koncentrująca to wszystko, co napisałem wyżej: kadrowanie. Tu zostaje usunięty kontekst, tak, że czasami trudno zidentyfikować fotografowany obiekt, pozostaje czysty, beztreściowy obraz.

A ja odczuwam satysfakcję z piękną odnalezionego na zatęchłych, brudnych podwórkach. ■











Iwona, księżniczka Harmonii

PIOTR GRELLA-MOŻEJKO



Sztuka to przejaw samotności wyrzeźbionej w Pięknie, niekoniecznie według Tomasza Manna „dzikim”. To Piękno może zaiste przybierać najrozmaitsze, również przyjemne a zajmujące kształty; w takich przypadkach miast doświadczania – jak w *Święcie wiosny*; *Mörder, Hoffnung der Frauen*; *Cudownym mandarynie*; *Lulu* – brutalnej „dzikości” (a te szalone utwory swoim nowatorstwem nadal biją na głowę prawie wszystko, co się dzisiaj komponuje, przy najmniej w muzyce orkiestrowej), wznosimy się w przestworzach Norwidowej miłości. I cóż z tego, że nierzadko ta miłość nie jest nowa w znaczeniu estetycznym, że jest zakorzeniona w tradycji, że jest na podstawowym poziomie percepcji znajoma, acz w momencie olśnienia – tak w sztuce być powinno – nadal świeża, jeśli prawdziwie szczerą, a nie wykalkulowaną (wtedy to nie miłość tylko manipulacja, najczęściej komercyjna, jak np. w „utworach” pewnego mojego imiennika, który znany jest z bombastycznych i przesładzanych do niemożności dźwiękowych obrzydliw).

Właśnie! W sztuce cenię szczerą, która najczęściej wyraża się rozsądkiem samego zamiaru twórczego połączonego organicznie z niewymuszoną skromnością i ciekawością autora wobec materiału, a potem spełnia się w efektywnym intencjonalnym akcie kreacji pozbawionym fałszu i obłudy, które dominują teraz wszędzie – u neosonorystów, którzy na prawo i lewo imitują dzieła Lachenmanna; w różnej barwy neo – czy postminimalistów, którzy na lewo i prawo powielają gruźlicze modele repetycji; u reprezentantów „Nowej Żłoności”, którzy bez wytchnienia produkują (bo nie – tworzą) karykatury muzyki Ferneyhougha; albo też i u naszych rodzimych, za przeproszeniem, surimpotentów, którzy w koło Macieju wyciskają tę samą cytrynę niezdarne pastiszu, zaś ich muzyka jęczy wzorem Kmicica: „Skończ pan... wstydu oszczędz...” Przy tym wszystkim są to w większości ludzie nie tylko obdarzeni inteligencją, ale i sympatyczni – wobec siebie, albowiem przeciwności namiętnie szuka spełnienia, potwierdzenia, odbicia samej siebie w zwierciadle siostrzanej przeciwności. Dodajmy, że naturalne, prawdziwe nowatorstwo, nowatorstwo wielkiego znaczenia i wielkiej wagi, przejawia się w zwykłej normalności oraz czystej moralności: Charles Ives był poczciwym czło-

wiekiem o wysoce kulturalnych manierach i ciepłym poczuciu humoru; Marian Borkowski (*Śląsk* nr 303) to paragon mądrości i życzliwości; Helmut Lachenmann jest skromny – i nie jest to skromność na pokaz; Brian Ferneyhough skromny nie jest, zna swoją wartość, ale się z nią nie obnosi i nie niszczy innych; Marek Chołoniewski (*Śląsk* nr 317) jest twórcą, któremu talent i poważne osiągnięcia nie zasłaniają potrzeb innych artystek i artystów – niestrudzenie ich wspiera organizując festiwale, koncerty, wydając płyty z ich muzyką; absolutnie wyjątkową, cudowną osobą była Barbara Buczkówna (*Śląsk* nr 278), dla mnie symbolizująca ludzką i artystyczną, chrześcijańską Dobroć, która wynikała z najgłębszej, autentycznej – więc rzadko dziś u nas i w nas obecnej – wiary.

Kiedy słucham muzyki Iwony Kisiel (ur. 1972) cieszę się, że mam do czynienia z muzyką szczerą, uczciwą i uczciwie skomponowaną, zrodzoną ze świadomości jej celów, z rozmysłem ograniczonych, ale za to łatwych do osiągnięcia, w wyniku czego kompozytorka unika nienormalnego stresu, który zwykle paraliżuje twórców chcących za wszelką cenę być wielkimi – i tworzy lepszą niż oni muzykę. W przeciwieństwie do tych niedoszłych geniuszy Iwona mierzy zamiary na siły i podaje nam smakowite dźwiękowe kąski, nie za duże, nie za małe, w sam raz. Kompozytorka świadomie wybrała drogę zachowawczą – w obszarze współbrzmień nie wychodzi właściwie poza akordy septymowe i nonowe, czasami stosuje akordykę jazzową. Jak mi powiedziała: *Wiesz, ja trzymam się [systemu] dur-moll, ale mojego osobistego, przetrwanego przez jazz, bluesa, z moimi septymami i nonami*. Niby nic wielkiego, lecz artystka ma wspaniałe uszy (aż dwoje; większość dzisiejszych kompozytorów ma najwyższej jedno, albo słuchają brzuchami) do rozmieszczania dźwięków składowych w przestrzeni harmoniczej, dzięki czemu uzyskuje brzmienia czyste, rozwibrowane – przestrzenne słyszenie harmonii to rzadki dar; za brak tej umiejętności u siebie narzekał John Cage.

W Paryżu późnych lat dwudziestych i trzydziestych XX stulecia czułyby się jak ryba w wodzie, szczególnie wśród twórców reprezentujących L'École de Paris takich jak Tibor Harsányi, Bohuslav Martinů, Marcel Mihalovici czy Aleksander Tansman, których neoklasycyzm zawsze wzbogacały elementy do-

datkowe, szczególnie w zakresie wyostrojonej harmoniki i antyromantycznej, zredukowanej ekspresji. Te, może uświadomione, może nieświadomione wpływy słycać w większych dziełach: *Koncertie* na skrzypce i orkiestrę smyczkową (2020) skomponowanym dla niesamowitej Agnieszki Maruchy (któs nazwał ten koncert „Hollywoodzkim” i tak już zostało – kompozytorce życzę, iżby zrezygnowała z tego głupiego podtytułu, którego nb., sama nie lubi); napisanym także dla Agnieszki Maruchy i świetnie przez nią wykonanym *Koncertie „Plockim”* na skrzypce i orkiestrę (2021); „Płocki” bo tam prawykonany przez Płocką Orkiestrę Symfoniczną pod dyktando rewelacyjnej Justyny Kwarciańskiej – kolejny wielki talent w polskiej muzyce!); *Sun Island* na orkiestrę smyczkową z towarzyszeniem fletu, oboju, waltorni i trąbki (2022); w tym ostatnim utworze kompozytorka dociera do granic dobrego smaku (czy to czasem nie wysokiej klasy muzyka rozrywkowa?), ale czyni to z wdziękiem, po prostu ładnie. To, że Iwona nie odkryła jeszcze polskie kino jest dla mnie zagadką. Z wycuciem pisze na głos kobiecy, czego dowodzą udane *Trzy pieśni* na sopran i trio fortepianowe do poezji Zbigniewa Herberta (2018) oraz *Sześć pieśni* na sopran i fortepian do słów Marii Pawlikowskiej-Jasnorzewskiej (2009-2010). Jej piosenki dla Olgi Bończyk to perełki lepszej muzy.

Kompozycję studiowała w warszawskiej uczelni pod kierunkiem mojego ulubionego, a zapomnianego Zbigniewa Rudzińskiego, ma też dyplom z wiolonczeli. Ciekawostka (cytuje): „[...] cioteczna prababką kompozytorki była znakomita polska aktorka i śpiewaczka Tola Mankiewiczówna (1900–1985)”. Czyli muzyka w genach, we krwi. Ma również zdolność barwowej wizualizacji muzyki, czyli chromestezji, słyszenia w kolorach. Utalentowana, miła, mądra, wrażliwa – Iwona, księżniczka Harmonii.

O Literce i Porządku

O nowych wierszach Mariana Bednarka

URSZULA BENKA

Tak głośno walnę kilofem języka o ziemię:
hi hi, co za kiepski górnik tu gada:)

Marian Lech Bednarek

Zagadkowa ta Mariana Lecha Bednarka, śląskiego malarza, prozaika i poety, miłośnika performansu, erupcja treści psychicznych jako liter zniemacka ożywionych, samowolnych, wręcz demonicznych.

*bez żadnego natchnienia F mnie dopadło
wieczorem i mówi fefuj fefuj się
a ja pusty
do jednej literki nawet nie dorosłem
mówię fifulko*

*no nie dorosłem
fatalne to fifulko moja
ale obcięło mi coś alfabet w sercu
gdy patrzę na to głupie widowisko życia
i efem teraz z wyciągniętą ręką jestem*

Ma ona cechy da-da, jest zapisem „automatycznym”, ma – jak zgoła najlepsze utwory surrealistu – odniesienia do rzeczywistości ekonomii politycznej kultury, kultury będącej bandyterką ducha. Przypomina też książeczka niniejsza dziecięcą zabawę w tworzenie nowych słów i w wylizczanki. Zarazem bezwiednie nawiązuje do Rimbauda, ponieważ „od Rimbauda zaczyna się wyczulenie na przemiany języka i rozbijanie skamielin mowy. zaczyna się od niego nowoczesna więźność i eliptyczność wiersza, niechęć do grandilokwencji i subiektywnej wylewności”, jak pisano przy okazji wydania *Sezonu w piekle*.

Piekiło iskrzy już w samej mowie, której celem jest porozumiewać się, co równa się przemocy. Każde porozumienie wymusza standaryzację znaków i w konsekwencji redukcję ich do minimum, także sytuacyjnych, aby już absolutnie nic nie pozostawało niejasne, sporne, obojętne, bezużyteczne i nieproduktywne, i aby powstrzymywali kierowanie się uwagi w niepożądaną stronę, co zwykle oznacza jedynie dostrzeżenie innych aspektów. Język kieruje się zasadą *funkcjonować*, a nie *być*. Odrzuca tedy zbędne głoski: raz miękkie, raz nosówki, raz jery, innym znów konsonanty: okazują się rażące dla ucha – to „estetyczne” kryterium konsoliduje grupę w przeświadczeniu, że wszelka obca mowa jest zbyt szorstka, szczielka, głupkowata. Stabilizujemy nawet akcentację. Ograniczamy intonację. Rezerwujemy pewne wyrażenia dla pewnych sytuacji albo rangi, jakiej musi dostąpić mówca. Literatura rezerwowała tematykę odpowiednio do rangi bohatera oraz adresata. Tragedia była przywilejem tylko elit, a komiczność wyłącznie ludu. Otóż wspólnym rdzeniem języków jest strach przed śmiercią: ten strach pcha do porozumień.

Abymy wspólnie móc zabić wroga lub reagować na zagrożenia, potrzeba ścisłych komunikatów w możliwie krótkim czasie, jak czerwone światło na jezdni: ono działa wręcz podkorowo!. Takie skróty są też maskujące, gdy tworzymy wyrazy z samych pierwszych albo ich pierwszych sylab: w slangu przykładowo gangsterskiej młodzieżówki za-

miast *kolega* każdy powie tylko *kolo*, zamiast ziomek *ziom*. W wielocłonowych nazwach państw literka zamiast słowa zaciera absurdalność tego słowa – ludowości albo demokracji albo przedstawicielskich rad robotniczych, od których brutalne reżymy przechwyciły swą legitymizację.

A strach przed śmiercią powoduje też powstawanie odrębnych języków na użytek życia świeckiego – oraz sakralnego. Pewnych pojęć wypowiadać nie wolno lub jedynie raz w danym cyklu sakralnym.

Zapis też dźwiga ciężar wiedzy i przemocy. Kiedy ja zdawałam maturę, dwa błędy ortograficzne oznaczały oblanie polskiego. Oznaczały utratę roku, zamykały drogę na studia i narażały na wezwanie do wojska. Oznaczały pewną ilość prób samobójczych, cięż przypadkowych, awantur domowych, mszczenie się na nauczycielach, zesłizg na margines społeczny. Nawet, gdy błędnie wykonany zapis dotyczył myśli poprawnej albo i odkrywczej. Oddam tu głos Bednarkowi, z komentarza poczynionego już ex post: *No dobrze, dobrze. Ale co dalej? Co z tego wynika?, z tych słówek wypuszczanych przeze mnie na wolność? Chyba to, że język, że literki muszą być ciągle wyzwalane, w ruchu. Nikt nie lubi niewoli, a zwłaszcza język. Cóż, to przecież oczywiste, żadne tam odkrycie Ameryki. Może jedynie w tym, że dałem ponownie wyzwoleć się myśli o Ameryce, która ciągle chce się sama w sobie odkrywać. I która też się męczy ze swoim kurnikiem literek alfabetu. Ko ko ko ko... już słyszę tą gderaninę, to szuranie, szelest, dziobanie, aż ktoś się zlituje i wypuści jakąś literkę na wolność pod samą Statuą Wolności. Ale uwaga! Byłe nie dostał za to w łeb, bo czasy niebezpieczne, wojna, więc pytanie brzmi: co to za wolność? Właśnie, litery wyzwalane to poniekąd afirmacja przemijania, doraźnych konstelacji czy to ludzkich, czy „naturalnych”, swoisty powrót do stanu wyjściowego, do potencji jeszcze niezafiksowanych, co zamieniałoby śmierć w stan otwartości i przeciwieństwo zatrzaśnięcia klamki. Otwartości nawet na sam przez się inny wymiar względnie inny świat. O jakim zdają się szeptać sny i wszelkie nienazywalne ocknięcia się odmiennej świadomości. Bednarek muska tę ewentualność”: *Uciekam w A by poantkować sobie i poalicjować / jak mały szkrab*.*

Zarazem, mamy przecież tylko litery, większość obciążona całym balastem skojarzeń, liter-eufemizmów a więc animujących język gruby, bezpardonowy i nieubłagany. Język-parodię. Onomatopeje-parodie. Ktoś powie, że neologizmy tutaj zbyt łatwo albo zbyt trudno da się rozszyfrować, przypomnę więc, że polszczyzna wzorcowa, opiniotwórcza, tj gazet (jeszcze tak niedawno inteligenta rozpoznawało się jako czytelnika prasy) nie jest dzisiaj w stanie zbudować zdania bez słów wziętych z obcych języków, i choć raz nie odesłać do Google’a, bo zacne słowniki wyrazów obcych stały się nieaktualne. Parodia jako odruch satyryka czy raczej filozofa? A może hierofanta, bo zawsze wprowadzano w misteria mową zagadkową, choćby ułożoną w obcy, apodyktyczny rytm, jak heksametr. Ponoć kultura grecka narodziła się z heksametru. Filozofia to właśnie żart, jasność i klarowność, to żart: filozof myśli onomatopejami. Marian Lech Bednarek zebrał sobie onomatopeje i gra nimi w bierki. Słusznie, to marynarska gra on-

X

X ukryje wszystko
dwoma kreskami
ixować więc się możemy
do największego rozpasania ciemności
gdzie się ukrywają nieznani xpan i xpani



rys. Bogna Skwara

giś magiczna: miała okiełznać falowanie, gdy w morzu za gęsto było od potworów.

Bednarek nie wnika w barwy liter. On z nimi tańczy, przekomarza się, sprzymierza i „ixuje” „do największego rozpasania ciemności”. Tak, kolejne po Rimbaudzie arcydzieło. Zainspirowane korkiem na szosie, konieczności spowolnienia jazdy, wręcz przystawania i bezruchu:

*a ja stoję na czerwonym cierpliwie
i zielonkuję sobie
żeby się wreszcie z tego skrzyżowania*

Czyli trochę, jakby iść za poradą Antony’ego de Mello w *Przebudzeniu*. Co uderza jednak, to zupełnie nietłumione „złe” emocje, zagadkowo przyległe do spokojnych linii na swoim psychicznym ekranie:

żeby się Bogu spodobać

*żeby w zębach wiedziało że zębąć trza
aż poza horyzonty alfabetu*

– to prawda. Tylko, że to są wirujące, rozwibrowane horyzonty, jakaś nieoswojona geometria. Radośnie przerażona, a bez premedytacji konceptualizmu.

*dlatego muszę Radosną Rorinę
przywoływać jakimś cudem
ale gdzie ona jest?*

*bo rorerować mi się chce
rorerować aj aj
na wszystkich rekitach i ryrekitkach*

*a rozbawne to R
jak P podparte kołkiem*

Conrad w Polsce (przed półwieczem)

STEFAN ZABIEROWSKI

Conrad-Korzeniowski od zawsze cieszył się w Polsce – szczególnie wśród inteligencji – dużym zainteresowaniem. Były jednak lata, kiedy zainteresowanie to przeżywało swego rodzaju kulminacje. Tak stało się w roku 1957, w setną rocznicę urodzin tego pisarza, kiedy to w naszym kraju, po liberalizacji politycznej Października 1956, zainteresowanie twórcą *Lorda Jima* gwałtownie odżyło. Wyrazem tego stały się liczne artykuły w prasie kulturalnej oraz konferencja naukowa o charakterze międzynarodowym z udziałem takich znawców Conrada, jak Richard Curle, Jocelyn Baines czy Ivo Vidan, która miała miejsce w Warszawie w grudniu 1957 roku.

Druga kulminacja wypadła na początku lat siedemdziesiątych, kiedy zbliżała się 50. rocznica śmierci Conrada, która przypadła na dzień 3 sierpnia 1974 roku. Jesienią roku 1972, dokładnie w dniach od 5 do 9 września tegoż roku, odbyła się w Polsce międzynarodowa konferencja, której jednym z najważniejszych celów było przygotowanie obchodów 50 rocznicy śmierci Conrada.

Miejscem obrad były trzy ośrodki: Warszawa, Kraków i Gdańsk. Organizatorami konferencji były Komitet Neofilologiczny Polskiej Akademii Nauk, Związek Literatów Polskich, polski PEN Club, Stowarzyszenie Marynistów Polskich, Stowarzyszenie Kultury Europejskiej oraz – grupująca fanów Conrada – Sekcja Conradowska Towarzystwa Przyjaciół Centralnego Muzeum Morskiego, które mieściło się w Gdańsku.

Honorowym gościem konferencji był starszy syn pisarza – Borys Conrad. Z niewielką przesadą można powiedzieć, że przybyła wówczas do Polski elita ówczesnej conradystyki. I tak ze Stanów Zjednoczonych zjawili się profesorowie Eloise Knapp Hay, Ian Watt, Thomas Moser, Edward W. Said, z Anglii – profesorowie Norman Sherry i Cedric Watts, z Kanady dr Gustaw Morf, z Holandii dr Hans van Marle, ze Szwajcarii sędziwy prof. Rene Rapin, zaś Włochy reprezentował dr Mario Curreli i Ugo Mursia, by wymienić najważniejszych uczestników z zagranicy.

Zaś Polskę reprezentowali: prof. Przemysław Mroczkowski, prof. Maciej Żurawski, prof. Aniela Kowalska, doc. Róża Jabłkowska, doc. Barbara Koc, doc. Witold Chwałewik, dr Stefan Zabierowski. Najwybitniejszy z polskich conradystów – dr Zdzisław Najder, który już miał międzynarodową pozycję – występował jedynie jako redaktor miesięcznika literackiego „*Twórczość*”, ponieważ polskie władze komunistyczne pozbawiły

go prawa wykładania na każdej wyższej uczelni w kraju.

Uczestnikami konferencji byli też polscy conradyci stale przebywający na emigracji – profesor i poeta Andrzej Busza z Kanady, a także znany reporter Aleksander Janta ze Stanów Zjednoczonych. Przybyli oni z paszportami obywateli Kanady i USA.

Warto dodać, że w konferencji tej wzięli aktywny udział także ci polscy pisarze, dla których Conrad stanowił przedmiot szczególnego zainteresowania – byli to Jan Parandowski, Andrzej Braun i Leszek Prorok.

Inauguracja konferencji miała miejsce 5 września 1972 roku, w Warszawie, w Domu Literatury na Krakowskim Przedmieściu. Otworzył obrady błyskotliwym przemówieniem znakomity polski historyk literatury, a także miłośnik i znawca Conrada – profesor Julian Krzyżanowski. Później wygłoszono jeszcze dwa referaty – Iana Wata o impresjonizmie w *Lordzie Jimie* oraz Witolda Chwałewika o motywie ciemności we wczesnej twórczości Conrada.

Kolejno – w części warszawskiej – przedstawione zostały referaty prof. Macieja Żurawskiego o związkach Conrada z literaturą francuską oraz prof. Rene Rapin o przekładzie conradowskiego *Tajfunu* przez André Gide'a.

Jednak zasadniczą część obrad miała miejsce w „tym starym grodzie królewskim i uniwersyteckim” – jak określił Kraków Conrad – w dostojnych murach Uniwersytetu Jagiellońskiego – w Collegium Maius i w Collegium Novum. Obrady otworzyli ówczesny rektor Uniwersytetu prof. Mieczysław Klimaszewski oraz dyrektor Instytutu Filologii Angielskiej prof. Przemysław Mroczkowski.

Pierwszy merytoryczny referat wygłosił dr Gustaw Morf z Kanady, autor klasycznej już pozycji w conradystyce – *The Polish Heritage of Joseph Conrad* (1930), który mówił o polskich przysłowiach i zwrotach przysłowiowych w twórczości Conrada. Z kolei prof. Edward Said przedstawił sposoby prezentacji środowiska w twórczości Conrada. Zaś znakomity historyk sztuki prof. Karol Estreicher zaprezentował obraz Krakowa w latach szkolnych Conrada.

Później obrady przeniesione zostały do pięknego domu pracy twórczej Uniwersytetu Jagiellońskiego, usytuowanego w podkrakowskiej Modlnicy. Tu prof. Andrzej Busza poddał analizie retorykę politycznej publicystyki Conrada. Thomas Moser przedstawił związki Conrada z Fordem Madox Fordem przy okazji powieści *Gra losu*. Z kolei dr Najder

scharakteryzował korespondencję Conrada z jego literackim agentem Jamesem B. Pinkerem. Tegoż samego dnia C.T. Watts usiłował odpowiedzieć na pytanie: *Jak wielu Kurtzów jest w „Jądrze ciemności”*, zaś Hans van Marle rzucił nowe światło na pobyt Conrada w Marsylii. Następnego dnia Zdzisław Najder przedstawił i ocenił współczesne i przyszłe studia na temat Conrada oraz zaproponował jak należy obchodzić zbliżającą się pięćdziesiątą rocznicę śmierci autora *Smugi cienia* w roku 1974., potem zaś prof. Mroczkowski zaprezentował charakterystykę międzynarodowego świata bohaterów w pisarstwie Conrada.

Miłym akcentem stało się przybycie na salę obrad delegacji uczniów słynnego krakowskiego liceum Nowodworskiego, zwanego też liceum św. Anny, do którego uczęszczał Konrad Korzeniowski. Delegacja obdarzyła syna pisarza Borysa wiązką kwiatów. Jak informował Andrzej Braun: „Uczestnicy konferencji w czasie pobytu w Warszawie, Krakowie, Zakopanem i Gdańsku mieli możliwość zapanowania się z pomnikami polskiej historii i kultury, z miejscami tudzież obiektami związanymi z życiem pisarza, przy czym szczególnie cenne było wysłuchane w murach Collegium Maius UJ barwnego wykładu prof. Karola Estreichera o Krakowie ze szkolnych lat Conrada”.

Goście mieli też okazję spotkania się z przedstawicielami krakowskiego środowiska literackiego, które reprezentował znany krytyk Włodzimierz Maciąg. Spotkanie to miało miejsce w słynnej willi „Kossakówka”, której właścicielami byli znani polscy malarze historyczni – ojciec Juliusz i syn Wojciech Kossakowie.

Zasadnicze obrady konferencji urozmaicone były zwiedzaniem ważnych dla kultury polskiej miejsc, które w różnym stopniu powiązane były z osobą Conrada. Uczestnicy konferencji poznali piękny renesansowy zamek w Pieskowej Skale, a także podążyli do Zakopanego, gdzie mieli okazję zobaczyć willę „Konstantynówka”, przy ul. Jagiellońskiej, w której, pod opieką swoich kuzynek – Anieli Zagórskiej matki i jej córki, również Anieli (później słynnej tłumaczki dzieł Conrada na język polski), pisarz wraz z żoną i synami spędził ponad dwa miesiące, w 1914 roku, w czasie pierwszej wojny światowej.

W domu tym wybitny autor angielski miał okazję poznanania wielu przedstawicieli polskiej elity intelektualnej, wśród nich pisarzy Stefana Żeromskiego, Tadeusza Nalepińskiego i Jerzego Żuławskiego, malarza Jana Rembowskiego, czy wybitnego przedstawiciela palestry kra-

kowskiej i konserwatywnego polityka dra Teodora Koscha. Będąc w Zakopanem, autor *Księcia Romana* zaangażował się w działalność polityczną na rzecz swojej pierwszej ojczyzny – Polski, która wówczas nie istniała na mapie Europy, przygotowując – przy pomocy dra Koscha – stosowny memoriał, broniący interesów polskich, który miał być przedstawiony władzom Wielkiej Brytanii.

Pobyt na Podhalu stał się też dla uczestników konferencji okazją do zapoznania się z perełką stylu zakopiańskiego, willą „Pod jedlami”, zaprojektowaną przez twórcę tego stylu – Stanisława Witkiewicza, oraz z pięknym drewnianym kościołem w Dębnie, z ciekawą polichromią, której geneza jest przedmiotem sporów historyków sztuki.

Konferencji towarzyszyły dwie wystawy o tematyce conradowskiej. Pierwsza – zaprojektowana przez doc. Barbarę Koc – w Bibliotece Narodowej w Warszawie i druga – dzieło Władysława Berbelickiego – w Bibliotece Jagiellońskiej w Krakowie. Osobliwością tej drugiej była księga gości biblioteki z osobistym wpisem Conrada z dnia 30 czerwca 1914 roku.

Ostatnia część konferencji odbyła się w Gdańsku. Uczestnicy obrad mieli okazję poznania pięknie odbudowanego po zniszczeniach wojennych gdańskiego Starego Miasta. Goście konferencji zwiedzili też Westerplatte, polską placówkę, której bohaterska obrona przed agresją niemiecką uznawana jest przez wielu badaczy za początek II wojny światowej.

Goście uczestniczyli także w spotkaniu w siedzibie głównego polskiego edytora opracowań na temat Conrada – Wydawnictwa Morskiego. Tutaj prof. Sherry – w efektownym wykładzie – zaprezentował rezultaty swoich badań nad źródłami powieści Conrada. Pobyt w tej oficynie stał się okazją do podpisania umów na polski przekład ważnych pozycji conradowskich Normana Sherry'ego: *Conrad's Eastern World* i *Conrad's Western World*. Sfinalizowana została też umowa na polski przekład klasycznej pozycji z zakresu conradystyki – Iana Watta *Conrad in Nineteenth Century*.

Natomiast w pobliskiej Gdyni uczestnicy konferencji, przyjmowani z ceremoniałem morskim, mieli okazję zwiedzenia pięknego żaglowca „Dar Pomorza”, owianej legendą, historycznego statku szkolnego polskiej marynarki handlowej, który właśnie wrócił do Gdyni po odniesionym sukcesie w „Operation Sail”. Rzecz godna uwagi – statek ten spełniał wymagania postawione przez Conrada w *Memoriale w sprawie przystosowania okrętu żaglowego do celów doskonalenia praktyki oficerów marynarki handlowej z portu Liverpool*. Przewodnikiem po statku był doświadczony kapitan żegluga wielkiej, a zarazem znawca i miłośnik Conrada – Józef Miłobędzki.

Czas najwyższy odpowiedzieć na pytanie: Jakie były rezultaty konferencji, która odbyła się przed 50 laty?

Grono polskich conradystów w dyskusji doszło do wniosku, że z perspektywy półwiecza rola tej konferencji musi być oceniana bardzo wysoko. Konferencja bowiem w wysokim stopniu zintegrowała środowiska conradystów. Było to pierwsze na taką skalę spotkanie zachodnich badaczy Conrada z ich polskimi kolegami. Z polskiego punktu widzenia szczególnie znaczenie miała obecność polskich znawców i miłośników Conrada, którzy przybyli z emigracji. W trakcie konferencji badacze Conrada z wielu krajów nawiązali liczne kontakty oficjalne i nieoficjalne, wymieniali swoje poglądy, a także książki i czasopisma, kreslili perspektywy różnych form dalszej współpracy.

Wydaje się, że konferencji tej udało się osiągnąć dwa bardzo ważne cele. Po pierwsze, licznej i reprezentatywnej gromadzie conradystów zagranicznych udało się pokazać polskie tradycje historyczne i kulturowe, z którymi związany był Conrad. Warto zaznaczyć, że z tradycjami tymi na ogół słabo zapoznani byli badacze cudzoziemscy, głównie z kręgu anglosaskiego. Na przykład bardzo zaskoczył ich fakt, że twórczość Conrada była niezmiernie popularna wśród polskiej patriotycznej młodzieży w latach II wojny światowej.

Po wtóre zaś, co było równie ważne, conradystyka polska – w o wiele szerszym niż dotąd zakresie – weszła na forum międzynarodowe, wzbogacając wizerunek Conrada o jego polskie dziedzictwo.

Z dzisiejszej perspektywy widać wyraźnie, że konferencja z roku 1972 stanowiła potężny impuls do rozwoju światowych i polskich badań nad Conradem, których punkt ciężkości przypadał na rok 1974. Jak informował Zdzisław Najder: „Pięćdziesiąta rocznica śmierci Conrada, przypadła w roku 1974, ujawniła raczej niż spowodowała duże i wzrastające w ostatnich latach na całym niemal świecie zainteresowanie naukowe twórczością tego pisarza. Odbyły się liczne zjazdy i konferencje. Nie licząc pomniejszych 5–13 września 1972 Warszawa–Kraków–Gdańsk; 23–25 stycznia 1974 Lubbock, Texas; 15–19 lipca 1974 Canterbury; (główna i najważniejsza impreza rocznicowa); 9 sierpnia–5 września 1974 San Diego; 26–28 września 1974 Kazimierz nad Wisłą (sesja zorganizowana przez UMCS w Lublinie); 8–9 listopada 1974 Sosnowiec (Uniwersytet Śląski); 14–18 listopada 1974 Miami, Floryda”.

Badacz ten uważał za stosowne zwrócić uwagę, że: „Pierwsza z wymienionych konferencji, zorganizowana w Polsce jako wstęp do późniejszych zjazdów rocznicowych odegrała wyraźną rolę przygotowawczą i zapoznawczą. Wygłoszono na tej konferencji kilka bardzo cennych referatów”.

Materiały z konferencji warszawsko–krakowsko–gdańskiej wydane zostały pod redakcją Róży Jabłkowskiej w dwóch odrębnych tomach – *Joseph Conrad Colloquy in Poland*, Wrocław 1976 i *Joseph Conrad Conference in Poland*, Wrocław 1979.

Znacząca reprezentacja polskich conradystów obecna była na konferencjach zachodnich. I tak do Canterbury przybyli polscy conradycy z kraju: doc. Róża Jabłkowska, doc. Barbara Koc i dr Zdzisław Najder, zaś z polonii zagranicznej obecni byli dr Wit Tarnawski, prof. Andrzej Busza (siostrzeniec tego pierwszego) i prof. Adam Gillon.

Warto zaznaczyć, że z wystąpień delegatów polskich szczególną uwagę przychyliły dwa referaty Zdzisława Najdera: wygłoszony w Teksasie *Conrad i Rousseau* oraz przedstawiony w Canterbury – *Conrad a idea honoru*. O pierwszym z tych referatów pisał prof. Przemysław Mroczkowski: „Zdzisław Najder wygłasza jeden z najlepszych referatów konferencji na modny teraz trochę temat przekonania ustrojowych czy »politologicznych« Conrada, zestawiając go z J.J. Rousseau – po to, by go z nim skonstrastować”.

Dziś raczej nie ulega wątpliwości, że oba te teksty Najdera zaliczyć można do czołowych osiągnięć conradystyki światowej.

Rocznice conradowską – rok 1974 – uczczono też w Polsce. Z inicjatywy Związku Literatów Polskich, a przede wszystkim niezamordowanego sekretarza Oddziału Warszawskiego tegoż związku, znanego pisarza Leszka Proroka, ogłoszono Rok Conrada. Kluczowym wydarzeniem tego roku stało się odsłonięcie w Warszawie tablicy pamiątkowej na budynku przy ulicy Nowy Świat 45, w którym jako dziecko mieszkał z rodzicami mały Konradek. Tutaj chłopiec ten przeżywał rewizję i aresztowanie swojego ojca Apolla Korzeniowskiego, a potem odwiedzin taty uwięzionego w Cytadeli warszawskiej.

Tegoż dnia w Domu Literatury miała miejsce sesja krytycznoliteracka, w trakcie której wygłosili referaty prof. Przemysław Mroczkowski (*Conrad – Europejczyk*), doc. Roman Taborski (*Polska rodzina Conrada*), doc. Barbara Koc (*Conrad – pisarz trudny*), dr Stefan Zabierowski (*Pięć interpretacji „Lorda Jima”*).

Warto może w tym miejscu dodać, że doniosłym akcentem jubileuszowego roku 1974 było ukończenie, przygotowywanego od dwóch lat pod redakcją Zdzisława Najdera, zbiorowego, liczącego 27 tomów, wydania *Dzieł Conrada*. Była to wówczas najpełniejsza na świecie edycja utworów autora *W oczach Zachodu*.

Dziś wielu znakomitych uczestników owej konferencji z roku 1972 już nie żyje. Ale większość ich dokonań, przede wszystkim interpretacje utworów Conrada, po dziś dzień zachowało aktualność i nadal inspiruje. I na tym polega znaczenie owej konferencji sprzed 50 lat.

Jeśli można nazwać to życiem

W Walii krokodyle
nie występują, ale
muliste źródła nie
szczędzą łez. Białowłose
kobiety o truskawkowych
twarzach obserwują cię zza
firanek; drżące soprany
rozdzierają kaplice; urzędnicy
pożądliwym wzrokiem rozbierają
sekretarki.

Kto zatrudni
wałkonia z ulicy
dławiącego się
flegmą dowcipu?

Coś do
sprzedania? krzyczy turysta
do tubylca grzebiącego w resztkach
szacunku dla samego siebie.

Kraj

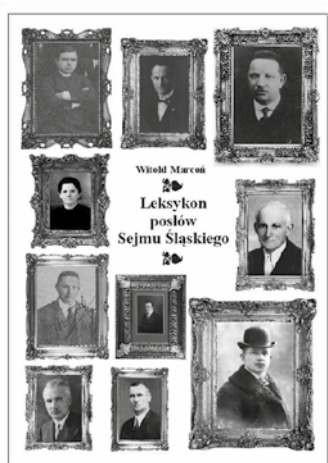
Jako pięćdziesięciolatek wciąż jeszcze
Próbował się oszukiwać. Wychodził w nocy
Na dwór, wyobrażając sobie, że ponury kraj
Między granicą a wybrzeżem
To nadal Walia; stary język
Docierał do niego z podmuchami wiatru;
Wyczuwało się obecność farm,
Zielone wzgórze było ich kalendarzem.

A przecież, pod takim niebem,
Ta ziemia nie miała większego prawa
Do swej nazwy niż byle trup;
Umarła z ran, które sama sobie zadała.
Była jak wyrzucona kość, którą można
Już tylko, o wstydzie! obgryzać.

R.S. THOMAS (1913–2000) – urodzony w Cardiff angielskojęzyczny poeta walijski. Przez większość życia pracował w wiejskich parafiach jako kapłan narodowego kościoła walijskiego. Autor ponad dwudziestu zbiorów wierszy, tłumaczonych na wiele języków. Kandydował do Nagrody Nobla. W Polsce znany z publikacji prasowych w przekładach Andrzeja Szuby i wydanego w 2001 wyboru pt. *Biały tygrys*, autorstwa tego samego tłumacza.



KSIĄŻKI NADESŁANE



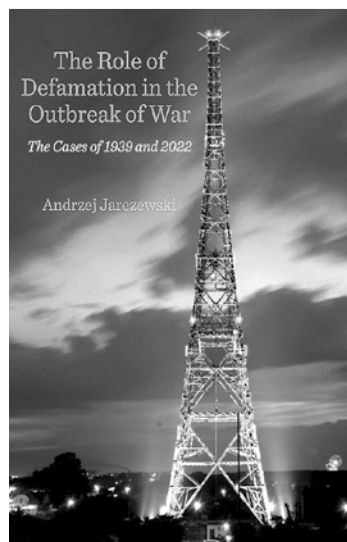
Witold Marconi, *Leksykon posłów Sejmu Śląskiego*. Wydawca: Instytut Tarnogórski i Muzeum Instytutu Tarnogórskiego, Tarnowskie Góry 2022.



Stefan Pastuszewski, *Życziłwa Li-li*. Wydawca: Instytut Wydawniczy „Świadectwo”, Bydgoszcz 2022.



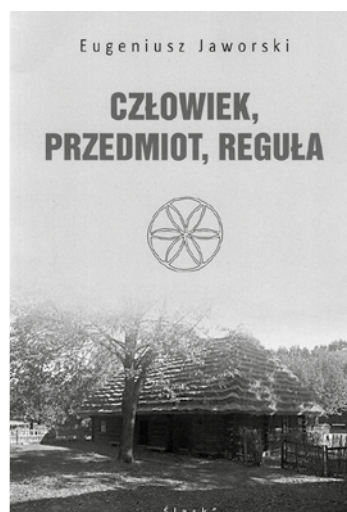
Czesław Slezák, *Wybór wierszy*. Wydawca: „Śląsk” sp. z o. o. Wydawnictwo Naukowe, Katowice 2022.



Andrzej Jarczewski, *The Role of Defamation in the Outbreak of War: The Cases of 1939 and 2022*, Cambridge Scholars Publishing, Newcastle 2023.



Ulica dostępna w rewitalizacji obszarów miejskich. Pod redakcją Agnieszki Labus. Wydawca: „Śląsk” sp. z o. o. Wydawnictwo Naukowe, Katowice 2022.



Eugeniusz Jaworski, *Człowiek, przedmiot, reguła. Studium kultury budowania na Górnym Śląsku*. Wydawca: „Śląsk” sp. z o. o. Wydawnictwo Naukowe, Katowice 2022.

Piękna uroczystość

BIERUŃ STARY. W dniu 9 lutego 2023 roku w Domu Kultury „Gama” w Bieruniu Starym miała miejsce piękna uroczystość wspominająca postać niedawno zmarłego Jana Czempasa (1948–2019), naukowca, samorządowca, a przede wszystkim zakochanego w swojej małej ojczyźnie regionalisty. Organizatorem był starosta powiatu bieruńsko-łędzińskiego przy wsparciu burmistrza miasta Bierunia. Clou spotkania, które zgromadziło pokazną liczbę zaproszonych i przybyłych uczestników, była promocja książki *Z pasją i sercem. Prof. Jan Czempas (1948–2019). Biografia nieliniarna* (Bieruń 2023), autorstwa Grzegorza Sztolera, który w oparciu o materiały pozostałe po zmarłym, jak prowadzone zapiski, maszynopisy, plany, szkice artykułowe oraz publicystykę, stworzył obraz pełen życia, odległy od kronikarskiej biografii. Nie tylko bowiem dokumenty były źródłem opowieści. Także liczne rozmowy, z przyjaciółmi, samorządowcami, żoną Anną. W drugiej części zamieszczone zostały wspomnienia przyjaciół z lat szkolnych, partnerów z samorządu (zmarły był radnym miasta, starostwa oraz wojewódzkiego Sejmiku Samorządowego), a także przedstawicieli środowiska akademickiego, by wymienić prof. Annę Adamus-Matuszyńską (UE Katowice) czy prof. Zygmunta Kadłubka (UŚ). Książkę domyka aneks zawierający okolicznościowe laudacje, przebieg kariery zawodowej, wykaz publikacji i kalendarium życia Jana Czempasa. Każda część jest bogato ilustrowana zdjęciami. Wydawcą tej swoistej księgi pamięci było Stowarzyszenie Rozwoju Zawodowego Śląska i Małopolski, doliczając do swojej kilka lat trwającej serii edycyjnej kolejną udaną pozycję. Zarazem edycję inaugurowane zostały obchody 25-lecia istnienia powiatu bieruńsko-łędzińskiego, który przed ćwierćwieczem wyrwał się z tyskiego zawłaszczenia.

Trzeba jeszcze powrócić do pamiątkowej książki i jej autora. Dr Grzegorz Sztoler z niezwykłą determinacją i imponującą pracowitością troszczy się o pamięć swego Heimatu. Robił to właśnie od zawsze. Warto przypomnieć, iż tylko ostatnio wydał

świetnie udokumentowaną monografię *Międzyrzecza, wioski, w której mieszka Gruss aus Meseritz Szkoła (i wieś) z pocztówki 1825–2020* (Międzyrzecze 2021; współautor Urszula Chrobok-Sztoler) oraz uzupełniającą opowieść w stosunku do wcześniejszych swych naukowych świadectw, lekkie w czytaniu *Po brzeskim Zepłociu* (Brzeźce 2022), obydwie niskonakładowe, a profesjonalnie przygotowane i wydane. Stanowią ozdobę intelektualną miejsc, których przeszłość ocala od zapomnienia. Nie inaczej jest z edycją tu wspomnianą. Znakomicie przygotowana wizualnie przez Mariusza Mikołajczyka, nasycona kunsztownie układającą się w narrację treścią, stanowi pomnik jedyny w swoim rodzaju. Jest spłacaniem długu u mistrza i starszego kolegi, zarazem poprzez nakreślony kontekst, staje się zapisem tworzenia się i krzepnięcia bieruńskiego środowiska samorządowego. Atmosfera tamtejszych dyskusji, sporów i dialogu uchwycona została z wiernością ale i empatią. Będzie stanowić kiedyś ważne źródło, bo to zapis z pierwszej ręki, odtworzony niemal na gorąco. Autor potrafi się wsłuchiwać w milczący na pozór pierwszy i drugi dokument, wyciągać z niego zdarzenia pełne życia, otaczać je wspomnieniowymi wyznaniem, tworząc w ten sposób dzieło niezwyklej urody, pełne ciepła i zgrabnie prowadzonej narracji. Dobrze, że taka książka powstała!

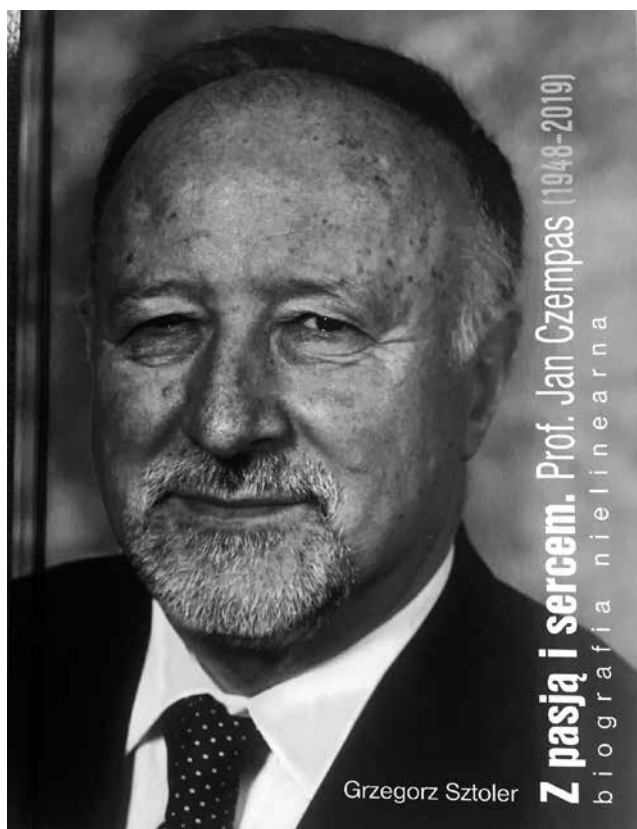
(acz)

Mediateka jest Kobietą 2023

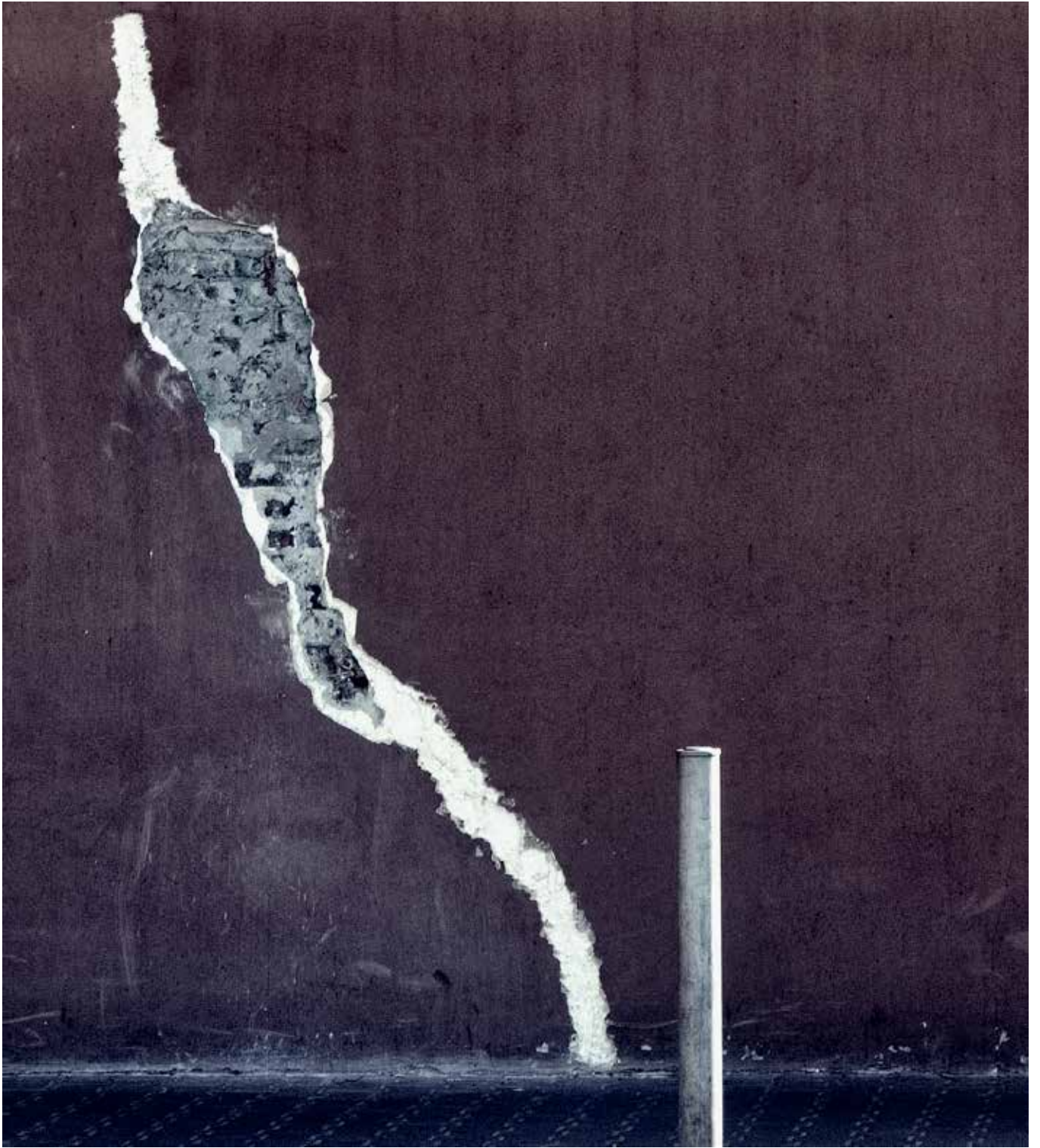
SOSNOWIEC. Projekt „Mediateka jest Kobietą” realizowany w marcu 2022, którego centralnym zagadnieniem była społeczna i kulturowa rola kobiet, okazał się sporym sukcesem. Zagłębiowska Mediateka (ul. Kościelna 11 w Sosnowcu) postanowiła zatem kontynuować inicjatywę stworzoną z myślą o współczesnych kobietach. Tegoroczne wydarzenie również będzie miało charakter interdyscyplinarny. W programie przewidziano m.in. spotkanie autorskie z pisarką i działaczką społeczną Sylwią Chutnik, pokazy filmowe (filmu fabularnego i dokumentalnego), wykład poświęcony sosnowiczance – pierwszej w Polsce kobiecie z tytułem profesora politechniki, prof. Alicji Dorabalskiej, warsztaty prowadzone przez krakowski oddział Centrum Praw Kobiet oraz Fundację Nie będziesz szła sama. W Galerii „Pod Światlikiem” Zagłębiowskiej Mediateki w związku z projektem czynna do końca marca jest wystawa prac Marty Frej

Wszystko przygotowano tak, by z jednej strony pomóc uczestnikom i uczestniczkom oswoić takie pojęcia jak feminizm, emancypacja czy herstoria, ale z drugiej – dać im możliwość dyskusji na temat problemów kobiet w dzisiejszej Polsce, m.in. w związku z projekcją filmu dokumentalnego „O tym się nie mówi” zaproszono do rozmowy nie tylko z pomysłodawców dokumentu z Fundacji Damy Radę, ale i gości, wśród których zasiądą: dr n. med. Maciej Jędrzejko, dr n. med. Marcin Leśniewski, dr Hanna Machińska i prof. dr hab. Eleonora Zielińska. Na wszystkie wydarzenia wstęp jest wolny. Zapisy obowiązywać będą tylko na warsztaty CPK.

Honorowy matronat nad wydarzeniem objęła Senator RP Joanna Sekuła, patronat honorowy sprawuje zaś Prezydent Miasta Sosnowca Arkadiusz Chęciński. Partnerami drugiej edycji projektu „Mediateka jest Kobietą” są: Centrum Praw Kobiet – Oddział Kraków, Fundacja Damy Radę, Fundacja Nie będziesz szła sama, Marta Frej, Studencka Księgarnia Językowa z Sosnowca. Patroni medialni wygarzenia to TVS, Kurier Miejski, Śląsk, Sosnowiec.pl, Sosnowiecki.pl, Afront, Silesia Kultura, 41–200.



Fotografie – w numerze lutowym – na stronach 5 i 7 – są autorstwa Astashow Studio. Za pomyłkę przepraszamy.



*Kobieta
w roli
główniej*

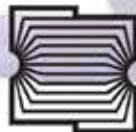
FILMOWE ŚRODY
W MEDIATECE



tytuły filmów

MARZEC 2023
środy, godz. 18:00

Aula Zagłębiowskiej Mediateki
Sosnowiec, ul. Kościelna 11
wstęp wolny



Miejska
BIBLIOTEKA
Publiczna w Sosnowcu